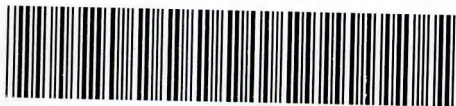


Biblioteka Pedagogiczna CEN

nr inw.: KG - 1452



BC KSK / 1452

MEIR EZOFOWICZ

TOM II

POD ZNAKIEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

PISMA ELIZY ORZESZKOWEJ

REDAKTORZY

AURELI DROGOSZEWSKI
LUDWIK BRUNON ŚWIDERSKI

TOM V



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

ELIZA ORZESZKOWA

MEIR EZOFOWICZ

TOM II

— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium C.S.B.
w Białymstoku

11486

1451/2



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ T. PIOTROWSKI
OPRAWĘ — E. MANTEUFFEL

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

1452 / II

COPYRIGHT BY GEBETHNER I WOLFF

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1 9 3 7

I

Bet-ha-midrasz był to budynek obszerny, widny i dość okazały, stojący przy synagogałnym dziedzińcu, tuż obok domu modlitwy. Przeznaczenia miał on różne. Tu zgromadzano się na mniej uroczyste modły, toczono długie i zapalczywe rozprawy nad przeróżnymi punktami i wyjaśnieniami Talmudu; tu mieściły się księgozbiory bractw, czyli stowarzyszeń mających różne cele, a których każda izraelska gmina posiada w łonie swym znaczną ilość; tu także, w wypadkach wyjątkowych wprawdzie i wyjątkowej surowości wymagających, młodzi ludzie wykraczający przeciw religii lub obyczajom przesiadywali krótszy lub dłuższy czas pokuty, więcej zawstydzającej niż ciężkiej.

Naprzeciw ha-midraszu wznosiła się budowa inna, mniejsza nieco, lecz z tą samą starannością wzniesiona i utrzymywana. Był to bet-ha-kafoł, czyli izba kahalna, miejsce posiedzeń i obrad czysto administracyjnych władz miejscowych. Dalej jeszcze, w skromniejszym już nieco budynku, zawierał się dek-hesz, przytułek dla ubogich, do którego wszyscy głodni, zmęczeni, schronienia i spoczynku potrzebujący kołatać posiadali prawo. Naprzeciw domu modlitwy, w ciasnym, niskim domku mieścił się cheder, czyli szkoła, w której nauczał uczony i czczony reb Mosze.

Podwórze to, słowem, wraz z otoczeniem swym przedstawiało istotną stolicę małego udzielnego państewka. Wszystko tu, poczynawszy od czarnej chatki mędrca-ascety przysiadłej

u samej prawie świątyni aż do widniejącej już z dala obszernej i drzewami ocienionej lecznicy, od wspaniałego domu modlitwy do niziuchnego, szczupłego chederu, odnosiło się do spraw i potrzeb publicznych na celu je mając.

Pierwotne też pochodzenie i cele każdego z budynków tych posiadało myśl jakąś piękną i wysoką: porządku społecznego, miłosierdzia, nauki, wznoszenia ducha ku Bogu lub rozmyślenia nad wysokimi rzeczami. W jaki zaś sposób wynaturzyły się niektóre z pierwotnych pojęć tych i dlaczego niektóre z celów tych pierwotnych przybrały sens i charakter wbrew sprzeczny z tymi, które nadaje im świat cały? Inna to już rzecz i pytać o nią należy historii.

Osiem dni minęło od wieczoru tego, w którym na zielonej łące marzyło, śpiewało i poufnie gwarzyło grono młodych przyjaciół. W dziewiątym dniu, około zachodu słońca, z wnętrza ha-midraszu wyszedł i na wysokim ganku jego stanął Meir. Posłuszny rozkazaniu zwierzchnika rodu swego przepędził on dnie ubiegłe w samotności zupełnej czytając i rozważając talmudyczne księgi, które znał biegle, względem których zrodziły się w umyśle jego mnogie wątpliwości, lecz dla których czci wpojonej mu od dzieciństwa utracić całkiem nie mógł i nie utracił. Pokuta, na którą skazano go, nie była ciężką, nie przyniosła mu najłżejszych cierpień fizycznych, bo w pożywienie nawet, przynoszone mu dwa razy dziennie z rodzinnego domu, czułe i liściowe ręce kobiet wkładały najlepsze kaski. A jednak zmienionym był bardzo. Pobladł i schudł, zarazem przecież wydawał się wyższym i barczystszym. W postawie i wyrazie twarzy jego nie było już ani śladu tej dziecięcej prawie nieśmiałości, która cechowała go przed kilku jeszcze miesiącami. Rozum jego oburzał się może na niesłuszną wymierzoną nań kary; samotność, w której go pogrążono, ponowne wczytanie się w odwieczne księgi, których pełnymi były szafy otaczające ściany ha-midraszu, wytworzyły może w głowie jego

wiele nowych pojęć płacząc i wzburzając je bardziej jeszcze. Co pewna, to że gorąca bladeść jego czoła zdradzała mozolną, bo bezpomocną pracę ducha, a w blasku rozplamieniającym mu źrenice objawiało się namiętne, przemocą tłumione rozdrażnienie. Zadana pokuta chybiła celu. Zamiast uspokoić i ukorzyć burzliwego i zuchwałego młodzieńca, uczyniła go ona zuchwalszym i skłonniejszym do buntu.

Kiedy zszedł z ganku ha-midraszu i zwolna przechodzić zaczął dziedziniec szkolny, widać było, że do uczuć innych łączył się w nim jeszcze i wstyd. Na widok kilku ludzi wkraczających w bramę dziedzińca spuścił oczy i zarumienił się. Ludźmi tymi byli urzędnicy kahalni, którzy śpiesznie dążyli ku zwykłemu miejscu obrad swoich. Ujrzawszy Meira śmiać się zaczęli i wskazywać na niego palcami. Jeden tylko Jankiel Kamionker nie śmiał się i nie spostrzegał nawet Meira. Szedł on prędko bardzo i w pewnym od towarzyszy swych oddaleniu, a wyraz twarzy miał więcej jeszcze zgryziony i zakłopotany niż zwykle. Pośrodku dziedzińca znalazłszy się zboczył nieco z drogi i zamiast wejść za towarzyszami swymi do ha-kahołu, przesunął się pod ścianą dek-heszu, przytułku ubogich. Przesunął się tylko pod ścianą tą, ale wystarczyło mu czasu tego, aby zamienić kilka cichych słów i tajemniczych gestów z człowiekiem jakimś, którego głowa rozczochrana i twarz narzmiła wychylała się przez otwarte okno dek-heszu.

Meir znał człowieka, z którym tajemniczym, krótkim szepcieniem zamienił się Kamionker i zdziwił go nieco poufały stosunek dwóch tych ludzi.

„Nu! — pomyślał — co to za znajomość może być między pobożnym i bogatym reb Janklem a takim włóczęgą i złodziejem, jak furman Jochel?”

Niedługo jednak myślał on o tym. Postępował zwolna i nie w stronę rodzinnego domu swego, do którego znać śpieszno mu nie było, ale w stronę małej uliczki, która dotykając szkolnego podwórza wiodła ku polom. Pragnął znać wyjść

z miasteczka i pójść na ten szeroki, widny rozłóg, który jaśniał ostatnimi blaskami dnia i szemrał z dala lecącymi nad nim świeżymi powiewy. U końca jednak podwórza przystanął. O uszy jego obił się gwar dziwny, złożony z mnóstwa głosów dziecinnych, to zniżających się do szeptu prawie, to podnoszących się do wrzaskliwego i śpiewnego zawodzenia. W głośnym tym i kołyszącym się szmerze dziecinnych głosów ozywały się tu i ówdzie piskliwe jęki i westchnienia zmęczonych jakby i udręczonych piersi, a nad nimi panował głos męski, gruby, to opowiadający niby coś lub czytający, to łąjący i rozgiewający.

Po ustach Meira przewinął się uśmiech szczególny. W uśmiechu tym były: ból, gniew i litość. Stał on tuż obok chederu, w którym nauczał mełamed, reb Mosze, i w którym właśnie kipiał i wrzał ów gwar niezrozumiały, chaotyczny, a posiadający w sobie coś dziwnie smutnego i grubiańskiego zarazem.

Przekornym jakby i gniewnym uczuciem pociągany ku chederowi, Meir wsparł się obu ramionami o niskie otwarte okienko i patrzył przez nie na wnętrze budynku. Wnętrze to ciasne było, ciemne, cuchnące i natłoczone. Pomiedzy niskim, czarnym sufitem, czterema ciasnymi, czarnymi również ścianami i podłogą ukrytą całkiem pod grubą warstwą śmiecia i brudu, w wilgotnym, stęchłym, ciężkim powietrzu kołysała się i wrzała chóralnym, zapalczywym mručeniem szara masa jakaś, której istoty i składowych części nie podobna było rozróżnić przy pierwszym wejrzeniu. Po chwili zaledwie przed wzrokiem patrzącego, niby z mgły czy kurzawy, wyłaniać się zaczynały twarze i postacie dziecinne. Twarze to były różne: jedne — grube, ciemne, chorobliwie nabrzmiałe, inne — białe, drobne, delikatne i prześlicznie zarysowane; jedne — z ustami w półdiotycznie roztwartymi i mętym, sennym wzrokiem, inne — z oczami błyszczącym hamowanym gniewem i wargami drgającymi od nerwowego zniecierpliwie-

nia, inne jeszcze — blade, uważne, pokorne, cierpiące, lecz cierpliwe. Ubiory dzieci tych były różne: od dostatnich surducików znamionujących dzieci bogaczy do spencerków pozbawionych rękawów i szarych, łachmaniastych kapot nędzarzy. Było ich kilkadziesiąt w izdebce mogącej pomieścić wygodnie kilkanaście zaledwie, a wszystkie tłoczyły się i jedne na drugich niemal siedziały na ławach zbyt wąskich i wysokich, twardych, brudnych, wszczegz izby ustawionych.

Chederów podobnych było w Szybowie niemało, ale żaden z nich tak licznie uczęszczanym nie był jak ten, któremu przywodził reb Mosze. Bogacze i nędzarze z równą gorliwością stawali się o miejsce w nim dla dzieci swoich, albowiem reb Mosze był mełamedem nad mełamedami, ulubionym uczniem wielkiego rabina, a przy tym kabalistą biegłym i ascetą, prawdziwym *chachamem*, doskonałym pobożnym.

Nie należy jednak mniemać, aby reb Mosze poniżał się aż do nauczania pierwszych stopni wielkiej nauki najdrobniejsze dzieci gminy. Byłoby to marnowaniem wysokich jego zdolności, które ku czemuś wyższemu już używanymi być musiały. Wyrostki przepełniające cheder jego miały od dziesięciu do dwunastu lat wieku i od siedmiu już lat żywione były świętym chlebem nauki. W chederach innych, niższych, nauczono już ich hebrajskiego czytania i wyłożono im Humesz (Pięcioksiężnicę) z wielu wyjaśnieniami jej i komentarzami, teraz zaś, pod przewodnictwem reb Mosza, wstępowały one na trzeci stopień mądrości, którym jest nauka Talmudu wraz z nieprzeliczoną ilością składających go działów, rozdziałów, poddziałów, paragrafów, punktów spornych, rozstrzygnięć, wyjaśnień, komentarzy, wyjaśnień wyjaśnień i komentarzy nad komentarzami.

Było to już, jak się zdaje, dość szerokie pole dla rozwijania się rozumu i pamięci wyrostków tych, bladych, obrzękłych, zniecierpliwionych albo z pokorą cierpiących; ale reb Mosze w rzeczach religii i nauczania jej nie zwykł był prze-

stawiać na małym. Napełniając rozum i ćwicząc pamięć swych uczniów rozbudzać on jeszcze usiłował fantazję ich przez wprowadzanie ją w zaczarowane krainy przypowieści i alegorii, których pełną jest Hagada, a nawet przez dawanie im do zakosztowania czegoś z wysokiej i mistycznej metafizyki Kabały. Opowiadania te lub czytania stanowiły rodzaj odpoczynku, którego błogość głęboko uczuwać musiały dusze słuchających ich dzieci, które zdarzały się jednak wtedy tylko, gdy mełamed uczył się w dobrym i radosnym usposobieniu ducha.

X W chwili, gdy Meir przypatrywać się zaczął przez otwarte okno odbywającej się we wnętrzu chederu lekcji, uczniowie uczyli się na pamięć wskazanego im na dziś ustępu Talmudu, a nauczyciel siedząc naprzeciw nich na katedrze złożonej z drewnianego stołka wczytywał się ze swej strony w leżącą przed nim na kulawym stole wielką i bardzo starą księgę. Wczytywał się on w księgę tę z zajęciem wielkim i niemniejszą widocznie lubością; błogi uśmiech pojawiać się zaczynał na wargach jego, zaledwie widzialnych wśród ogromnego zarostu, przy czym kołysał się zwolna w tył i naprzód poruszając tym stół kulawy, który kołysał się także. Kołysali się również na ławach swych, każdy nad rozwartą przed nim wielką księgą, uczniowie jego, szemrząc z cicha, to podnosząc głosy, niekiedy, jakby dla przygłuszenia wewnętrznego bólu jakiegoś, uderzając ściśnionymi pięściami o brzegi ławek albo obu rękami chwytając się za głowy i strzepiąc tym więcej jeszcze i tak już w mozole wielkim a rozpacz postrzępione i szczochrane włosy.

Nagle mełamed kołysać się przestał, podniósł rozpromienioną twarz, ujął w obie ręce wielką księgę i z całej siły uderzył nią o stół kulawy. Znaczyło to rozkaz umilknięcia. W mgnieniu oka też umilkli i kołysać się przestali uczniowie. Popodnosili oczy na twarz nauczyciela, jedni z trwogą nadzwyczajną a wzbudzoną mniemaniem, iż przyszła już pora wy-

dawania na pamięć zadanej lekcji, inni ze złośliwą przekorą i tajonym naigrawaniem się.

Ale mełamed nie spostrzegał wrażeń malujących się na twarzach jego uczniów. Nie spostrzegał on i nie widział w tej chwili nic naokoło siebie. Duch jego porwanym został prądem niewymownej słodyczy i uniesionym w krainę zachwycenia. O tyle jednak czuł się mistrzem i obowiązki mistrza rozumiał, iż część zachwycenia swego przelać zapragnął na rozczochrane i strapione głowy swych uczniów.

Podniósł w górę wskazujący palec i z podniesioną twarzą, ze sterczącą brodą, z oczami w ogniu i miodzie czytać zaczął głośno ustęp ze Sziur Komy:

— „Wielki książę świadectwa tak opowiada wielkość Jehowy. Od domu stolicy wielmożności Jehowy do góry jest sto ośmnaście razy dziesięć tysięcy mil. Wysokość jego jest sto sześć i trzydzieści razy tysiąc mil. Od prawej ręki Jehowy do lewej jest siedemdziesiąt siedem razy dziesięć tysięcy mil. Czaszka głowy jego ma trzy razy dziesięć tysięcy wzdłuż i wszerz. Korona na głowie jego ma sześćdziesiąt razy dziesięć tysięcy mil. Podeszwy króla królów mają trzydzieści tysięcy mil. Od pięt jego aż do kolan dziewiętnaście razy dziesięć tysięcy mil; od kolan aż do kłębów liczy się dwanaście razy dziesięć tysięcy i cztery mil. Od bioder aż do szyi dwadzieścia cztery razy dziesięć tysięcy mil. Taką jest wielkość króla nad królami, Pana świata!“

Po wydaniu ostatniego wykrzyknika reb Mosze pozostał chwilę nieruchomy jak posąg na katedrze swej, z rękami podniesionymi a spojrzeniem pływającym w rozkoszy. Uczniowie jego siedzieli również nieruchomi i wlepiali w niego osłupiałe wejrzenia. Wszyscy już teraz bez wyjątku, pokorni i figlarni, wpółdiotyczni i roztropni, szeroko pootwierali usta swe. W podobny sposób opisana wielkość Jehowy w odrętwienie wprowadziła wszystkie umysły.

Mełamed przecież wkrótce ocknął się z ekstazy swej i z rozkazującym głosem zawołał:

— Gej!

Na ten wykrzyk, którego znaczenie dobrze zrozumiałym im było, chłopcy rzucili się znowu do wielkich ksiąg swych, założyli postacie swe i wyśpiewywać poczęli dany im do nauczenia się ustęp Talmudu. Jak brzmiał i co opiewał ustęp ten? Nie zrozumiałoby tego, wśród mieszaniny kilkudziesięciu głosów, żadne nie poświęcone ucho. Meir przecież, który sam zupełnie podobny temu kurs nauk odbywał przed niewiele jeszcze laty, a przy tym obdarzony pamięcią wyborną, nie zeń nie zapomniał, pojął od razu, że dnia tego chłopcy uczyli się VIII rozdziału traktatu Berachot (o błogosławieństwach).

Jednogłośnie tedy, nieprzerwanie, z zapalczywością nadzwyczajną, z umęczeniem wywołującym jęki z piersi a pot na czoła, dzieci czytały i wyśpiewywały:

„Miszna 1. Oto są sporne punkty pomiędzy szkołami Szammaja i Hillela. Szkoła Szammaja mówi: Błogosławić należy dzień (sobotni), a potem wino. Szkoła Hillela twierdzi: Niech błogosławią wino, a potem dzień.

„Miszna 2. Szkoła Szammaja mówi: Umywają ręce, a potem napełniają puhar. Szkoła Hillela twierdzi: Napełniają puhar, a potem umywają ręce.

„Miszna 3. Szkoła Szammaja mówi: Po otarciu rąk składają płótno na stole. Szkoła Hillela twierdzi: Składają je na poduszce.

„Miszna 4. Szkoła Szammaja mówi: Zamiatają pokój, a potem umywają ręce. Szkoła Hillela twierdzi: Umywają ręce, a potem zamiatają pokój.

„Miszna 5. Szkoła Szammaja mówi: Ogień, pokarm i woń. Szkoła Hillela utrzymuje: Ogień, woń i pokarm. Szkoła Szammaja mówi: Stworzywszy jasność ognia. Szkoła Hillela utrzymuje: Stworzywszy jasności ognia...”

Tu rozległ się znowu po izbie podwójny stuk: księgi ude-

rzającej o kulawy stół i kulawego stolika uderzającego o podłogę. Uczniowie zamienili się też znowu w sztywne i milczące posągi. Mełamed toczył po wszystkich ich twarzach spojrzeniem takim, jak gdyby ofiarnikiem był mającym wybrać jedno z tych dzieci na całopalną ofiarę. Wyciągnął na koniec palec ku jednej z ostatnich ławek i zawołał groźnie:

— Lejbele!

Na wołanie to podniosło się spośród towarzyszy wysmukłe, blade dziecko w szarej, długiej surducinie i patrzyło w twarz mełameda ogromną, czarną, osłupiałą źrenicą.

— Kom her! (chodź tu) — zawołał mistrz.

Pomiędzy uczniami zrobił się ruch. Przejszć przez izbę tę nie było łatwo. Chłopcy usuwali się wezwanemu z drogi tłoczając się jedni na drugich, spadając pod ławki i przez tłum popychając towarzysza pięściami.

Lejbele wyszedł na koniec z tłumu i stanął wśród wążuch-nego przejścia rozdzielającego katedrę mistrza z pierwszą ławką uczniów. W obu chudych rękach swych trzymał on wielką księgę, której ciężar co chwilę ręce jego ku dołowi opuszczał; usta miał szeroko roztwarte, a ramiona poruszały się mu od chwili do chwili nerwowym drganiem. Nie patrzył teraz na mełameda. Twarz jego pochylała się ku stronicom pochylającej się wciąż księgi.

Reb Mosze uderzeniem wymierzonym pod brodę podniósł mu głowę.

— Nu — krzyknął — czego ty jak rozbójnik jaki na ziemię patrzysz? Patrzaj na mnie!

Dziecko patrzyło mu znowu w twarz nieruchomą źrenicą, która opływać poczęła łzawą zasłoną.

— Nu! — zaczął mełamed — co mówi szkoła Szammaja, a co mówi szkoła Hillela?

Długie nastąpiło milczenie. Siedzący na pierwszej ławie chłopcy tręcali nieznacznie pięściami w boki współuczniwa szepcząc mu:

— Szprich! szprich! (mów! mów!).

— Szkoła Szammaja — zaczął Lejbele drżącym i ledwie dosłyszalnym głosem — mówi: Błogosławić trzeba wino...

— Dzień! dzień! a potem wino! — zaszepotały z pierwszej ławki litościwe, pomocnicze głosy.

Ale w tejsze chwili ręka mełameda znalazła się w bliskości ucha jednego z podpowiadających tak bezpośredniej, że z piersi właściciela jego wydobył się pisk przeraźliwy, a inni współuczniowie pozamykali usta, a w zamian pootwierali oczy ze strachu i osłupienia.

Reb Mosze zwrócił się znowu do egzaminowanego ucznia:

— Miszna pierwsza! — zawołał — co mówi szkoła Szammaja?

Cichszy jeszcze niż wprzód, trzęsący się głos dziecięcy odpowiadać zaczął:

— Szkoła Szammaja mówi: Błogosławcie wino...

Pięść mełameda opuściła się ciężko na ramię ucznia, z którego rąk wypadła zarazem wielka księga.

Mełamed poskoczył ze swej katedry.

— A szlechter, dummer, ferszoftener bube! Alejdyk geher, szganet! — krzyknął rzucając się ku dziecku. — Ty wielkiej nauki uczyć się nie chcesz i kiedy ja tobie lekcję zadał, mówisz, że szkoła Szammaja każe błogosławić pierwszej wino, a potem dzień... i jeszcze święte książki na ziemię rzucasz... a czy ty nie czytał, że Szammaj kazał błogosławić pierwszej dzień, a potem wino...

Tuż za krzyczącym i miotającym się mełamedem ozwał się głos męski, dźwięczny, lecz drżący jakoś i szyderski:

— Reb Mosze! to biedne dziecko nigdy na oczy swoje wina nie widziało, a w każdym dniu swego życia bicie i głód cierpiało — to jemu i trudno zapamiętać, co pierwszej błogosławić trzeba: wino czy dzień!

Ale reb Mosze przemówienia tego nie słyszał. Obie ściśnione pięści jego opuściły się niezmiernie szybko i po razy

kilka na głowę i ramiona bladego dziecka, a gdy ono nie wydając najłżejszego jęku cichutko tylko osunęło się pod razami tymi na upuszczoną wprzód wielką księgę, podniosły się raz jeszcze, aby opaść na osłonięte podartą surduciną plecy jego. Zanim jednak zdołały dokonać tego, silna ręka jakaś porywczo odepchnęła go na stronę, tak że aż uderzył się on o róg kulawego stolika i przewracając go sam na wznak upadł na ziemię.

— Reb Mosze! — zawołał tenże głos młodzieńczy, popędliwy a szyderski, który wymówił kilka uprzednich wyrazów. — Reb Mosze! — powtórzył. — Czy to nie izraelskie dziecko jest, abyś ty na nie morze złości swej wylewać miał? Czy to nie ubogie dziecko nędzarza jest? czy to nie nasz brat?

Wołając tak Meir, z gorącym rumieńcem na bladej wprzód twarzy, pochylił się nad skurczonym przy ziemi, niemym i nieruchomym dzieckiem i wziął je na ręce. Wnet też zmierzając zaczął ku drzwiom. Odwrócił się jednak raz jeszcze i zawołał:

— Reb Mosze! ty z głów izraelskich dzieci wyjmujesz rozum, a z serc ich wydzierasz litość... Ja słyszałem, jak niektórzy z chłopców tych śmieli się, kiedy ty Lejbele biłeś, a u mnie od śmiechu ich serce pełne łez!

Powiedziawszy to wyszedł z dzieckiem w objęciu. Reb Mosze teraz dopiero obudził się z osłupienia, w które pogrążył go najniespodziewańszy dlań napad. Porwał się z ziemi i krzyknął:

— A merder! rozbójnik! ferszoftener!

I zwracając się ku szkole swej ze ściśniętymi pięściami wołał:

— Gońcie! łapcie! bijcie! kamienujcie!

Nie było jednak nikogo, kto by rozkazów tych wysłuchać i spełnić je mógł. Szkoła świeciła najpiękniejszymi pustkami. Poobalane tylko ławy i porzucane na ziemię księgi świadczyły o gwałtownie dokonanej dezercji kilkudziesięciu chłopców,

k którzy widząc współuczniwa swego wyratowanego spod pięści mistrza, a samego mistrza obalonego na ziemię i walczącego z kulawym stołem, który, acz kulawy, przygniatał go i powstać mu z upadku przeszkadzał, częścią ze strachu, częścią ze swawoli i tęsknoty za wolnością, gromadnie ruszyli się z ław swych i z wraskiem przeraźliwym wyskoczywszy z chederu, czym kto mógł, drzwiami czy oknami, rozsypali się po miasteczku całym, na kształt stada ptaków z klatki uwolnionego.

Cheder był pusty, dziedziniec szkolny był pusty i tylko na ganku bet-ha-kafołu stało poważnie ze sobą rozmawiając kilku urzędników kahalnych. Ku nim to, w poskokach przebywając dziedziniec, chwytając się obu rękami za rozczochraną głowę, krzycząc i dysząc, pobiegł znieważony mędrzec, reb Mosze.

Meir tymczasem szybko idąc niósł w objęciu swym dziecię, po którego chudych policzkach spływały teraz wielkie łzy. Dziwna rzecz przecież! Zza łez ku twarzy Meira wzniesione oczy Lejbelego mniej były martwe i mniej idiotyczne niż zwykle, a po ustach jego drżących od płaczu, pomimo przestrachu i bólu, którego doświadczył, krążył uśmiech. Uśmiechając się dziecię wybawione płakało i patrzyło w twarz wybawiciela swego.

— Morejne! — szepnął po chwili Lejbele.

— Morejne! — powtórzył ciszej i nic więcej powiedzieć nie umiał.

Na rogu biednej uliczki o domkach malutkich i ciemnych Meir postawił dziecię na ziemi.

— No! — rzekł wskazując mu widniejącą z dala chatę krawca Szmula — idź teraz do domu...

Lejbele zmartwiał znowu. Wsunął ręce w rękawy surduciny i stał śród drogi jak nieruchomy posążek. Meir uśmiechnął się i spojrzał w twarz dziecka.

— Boisz się? — zapytał.

— Aha! — odpowiedział mu posążek gardłowym głosem.

Młody człowiek zamiast wrócić, jak miał zamiar, poszedł ku chatce Szmula. Tuż krok w krok za nim, z rękami w rękawach i otwartymi usty, szedł Lejbele.

Dzień kończył się. Na ubogiej uliczce kończyły się teżienne prace. Ludność mizerna, ogorzała, ołachmaniona, cuchnąca wysypywała się przed progi domostw.

Zaledwie Meir kilkadziesiąt uszedł kroków, spostrzegł szczególną zmianę, która wśród ludności tej zaszła względem niego. Dawniej przechodzącego wnuka bogacza Saula witano tu z niskimi pokłonami, bliźsi znajomi przybliżali się doń i z poufałością pełną przyjaźni powierzali mu troski swe, biedy, a niekiedy nawet skrupuły sumienia, inni z okien otwartych lub spod ścian domostw przesyłali mu głośnie i przyjazne *sz o l e m a l e j c h e m!* (pokój tobie).

Teraz zwróciło uwagę jego kilkanaście spojrzeń rzuconych nań, skośnych i niechętnych; kobiety przypatrywały się mu z rodzajem osłupiałej ciekawości i szepcąc między sobą wskazywały nań palcami; jeden nawet z traczów owych, którzy przez miesiąc cały pracowali na dziedzińcu domu Saula i z którymi nieraz dzielił on pracę wesoło i przyjacielsko, nie pozdrowił go, lecz na widok jego smutnie trochę, a trochę niechętnie wsunął się do szarego wnętrza swej chatki.

Meir niecierpliwie wzruszył ramionami.

„Co to jest? — pomyślał — czego oni chcą ode mnie? co ja im złego zrobiłem?“

Dziwnym mu się także wydać mogło, że krawiec Szmul nie wybiegł z chaty swej, jak zwykle bywało, ażeby spotkać go, rzucić się mu do rąk i osypać go gradem podziękowań, pochlebstw, skarg i narzekań. Wszedł jednak do małego domku, a Lejbele pozostał przed progiem i w skurczonej postawie usiadł pod ścianą.

Młody człowiek pochylić musiał głowę, ażeby przejść przez niskie drzwiczki prowadzące z ciemnej sionki, w której

śródmroku ruszały się i białały w kącie dwie kozy, do izby ciasnej i pomimo otwartego na ulicę okienka dusznej i cuchnącej. W progu rozminęła się z nim kobieta chuda, z ciemną, pomarszczoną twarzą. Była to żona Szmula, która wyszła przed próg i milcząc dała siedzącemu przy ścianie dziecku kawał czarnego suchego chleba. Była to wieczerza, którą Lejbele otrzymywał zwykle po powrocie z chederu.

Cała zresztą rodzina Szmula w chwili wejścia Meira do izby spożywała podobną wieczerzę, z tą różnicą, że trzy dorosłe dziewczyny, dwaj mali chłopcy, Szmul sam i stara matka jego do chleba dodawali drobne szczypty cebuli znajdującej się w dość skąpej ilości na wyszczerbionym, czarnym talerzu. Oprócz dwóch chłopców, znacznie młodszych od Lejbelego, którzy przysiadłszy w kącie na ziemi gryźli zawzięcie wydzielone im porcje stwardniałego chleba, dwuletnie dziecko pełzało po podłodze u stóp ogromnego, czarnego pieca, a inne jeszcze, kilkomiesięczne, spało w kolebce zawieszanej na sznurach u belki sufitu i poruszanej przez jedną z dorosłych dziewcząt. Druga dziewczyna krzątała się około kóz w ciemnej sionce, trzecia zaś łamała chleb na drobne kaski, które posypywała cebulą i wkładała w drżące ręce niewidomej matki Szmula. Stara ta, niewidoma matka siedziała na jedynym łóżku, które znajdowało się w izbie, inne bowiem osoby rodzinę składające sypiały na twardych, wąskich ławach lub na ziemi. Ale stara matka posiadała łóżko dość dostatnio usłane, chustka skrzyżowana na piersiach jej cała była i czysta, a wielki czepec okrywający głowę uszytym był z czarnego atlasu i suto nawet wygarniowanym. Siedząca obok niej wnuczka w brudnej odzieży i z rozczochranymi włosy wkładała w ręce jej, a czasem i w usta mniej niż ubogą żywność z powagą taką, jak gdyby ciągle myślała o tym, iż spełnia coś bardzo ważnego. Niekiedy nawet grubą, czarną prawie ręką swą gładziła pomarszczoną, trzęsącą się rękę babki i widząc trud, z jakim

spożywała ona twarde jedzenie, wstrząsała głową uśmiechając się pobłażliwie i zachęcająco...

Jak w obszernym i zamożnym domostwie bogatego Saula, tak w natłoczonej, brudnej, ciemnej izdebce nędzarza Szmula najstarsza w rodzinie kobieta zajmowała miejsce najwygodniejsze i przedmiotem była ogólnej troskliwości i czci. Nigdy albowiem nie widziano wśród Izraela, aby syn, bogacz lub nędzarz, zaniedbał w starości czy w niedoli tych, którzy mu dali życie. „Jak gałęzie od drzewa swego, tak my wszyscy od niej początek bierzemy!“ — powiedział o matce swej zwierzchnik rodziny Ezołowiczów. Chajet Szmul nie umiał wyrażać uczuć swych tak, jak kupiec Saul, lecz gdy matka jego oślepla, w żalu wielkim wyrwał sobie z głowy czarne, kędzierzawe włosy, potem wraz z rodziną swą pościł przez trzy dni, aby za cenę pożywienia, którego się wyrzekł, kupić dla niej stare, rozpadaające się łóżko, potem łóżko to własnymi rękami zbijał i naprawiał, aby do ściany przyparte stać mogło, a otrzymawszy od Sary Ezołowiczówny, żony Bera, czarną atlasową suknię do uszycia odciął spory kawałek cennej materii i uszył z niego dla matki wywatowany i wygarniowany czepec.

Ujrawszy wchodzącego do izby Meira Szmul porwał się ze stolka, na którym siedział i poskoczył ku gościowi. Pochylił się przed nim zwykłym swym niskim, giętkim ukłonem, ale nie pocałował go w rękę jak dawniej i nie zawołał z wielką radością: Aj! co za gość! co za gość!

— Morejne! — zawołał — już ja wiem, co ty dziś zrobił! Bachury biegli tędy z chederu i krzyczeli, że ty mego Lejbele z silnych rąk reba Mosza wyrwał, a jego samego popchnął i przewrócił! Ty to z dobrego serca zrobił, ale to źle, morejne! bardzo źle! Ty przez to wielkiego grzechu dopuścił się i mnie w wielkiej biedzie utopił! Teraz reb Mosze — niech sto lat żyje — nie zechce już mego Lejbele, ani moich młodszych synów do swego chederu przyjąć i oni nigdy uczonymi nie

zostaną! Aj waj! morejne! co ty przez swoje dobre serce sobie i mnie narobił!

— Nade mną ty, Szmulu, nie biadaj! niech już ze mną stanie się, co chce! — z żywością odparł Meir — ale ty ulituj się nad swoim własnym dzieckiem i w domu przynajmniej nie bij jego. On dość już w chederze cierpi...

— Nu! jakto cierpi! to co, że cierpi! — zawołał Szmul. — Pradziady, i dziady, i ojcowie moi do chederu chodzili i cierpieli! i ja chodziłem i cierpiałem tak samo! a co robić, kiedy trzeba!

— A czy ty, Szmulu, nigdy nie pomyślałeś sobie, że może inaczej trzeba? — łagodniej już zapytał Meir.

Szmulowi oczy zaświeciły.

— Morejne! — zawołał — ty grzesznych słów w chacie mojej nie wymawiaj! Moja chata bardzo biedna jest, ale w niej, dziękować Bogu, wszyscy świętych zakonów strzegą i rozkazów starszych słuchają! Chajet Szmul biedny jest bardzo i z pracy dwóch rąk swoich utrzymuje żonę, ośmioro dzieci i starą, ślepą matkę! Ale on czysty przed Panem i ludźmi, bo święte zakony on wiernie chowa. Chajet Szmul sabaty święci, koszerów pilnuje, wszystkie naznaczone szemy i tefile do Pana Boga krzycząc i jęcząc odmawia, a chazaru on nigdy na oczy swoje nie widział i z gojami on przyjaźni żadnej nie trzyma, bo wie, że Jehowa jednych tylko izraelitów kocha i strzeże i że izraelici tylko duszę w sobie mają. Tak robi biedny chajet Szmul, bo tak Pan Bóg przykazał, i tak robili pradziady, dziady i ojcowie jego!...

Gdy cienki, giętki i zapalczywy Szmul wszystko to wypowiedział, Meir zapytał go łagodnie i z namysłem:

— A czy pradziady, dziady i ojcowie twoi szczęśliwi byli? A czy ty sam, Szmulu, szczęśliwy jesteś?

Na zapytanie to ozwało się znowu w Szmulu z żywością całą poczucie nędz przenoszonych.

— Aj! aj! — zawołał — takiego szczęścia żeby nieprzyja-

ciele moi nie mieli! Skóra przyschła do kości moich, a w sercu moim ja zawsze wielkie bólesci czuję...

Tu w jęklivą mowę krawca wmieszał się odgłos odzywającego się w najciemniejszym kącie izby ciężkiego westchnienia. Meir obejrzał się, a widząc szarzącą w zmroku pomiędzy ogromnym piecem a ścianą postać jakąś wysoką i barczystą zapytał:

— Kto tam taki?

Szmul żałośnie skinął głową i ręką.

— Ot! — rzekł — to furman Jochel zaszedł do mojej chaty; my z sobą dawno znajomi!

W tej chwili wysoka i barczysta postać poruszyła się z kąta, w którym nieruchomo dotąd stała, i zbliżyła się do rozmawiających.

Jochel był mężczyzną potężnej budowy ciała, pomimo to wydawał się znędzniałym i przygnębionym. Spencerem bez rękawów, podartym i brudnym przyodziany, stopy miał on bose i poranione, włosy rude, ogromne, splątane, usta obrzękłe i idiotyczne, oczy ze spojrzeniem zuchwałym, a jednak często spuszczać się ku ziemi. Przystąpił do stołu i wziął z talerza szczyptę cebuli, którą przysypał kęs czarnego chleba trzymany w ręce.

— Meir! — rzekł śmiało patrząc na młodzieńca — ty mój dawny znajomy! ja stryja twego Rafała woziłem, kiedy onjechał po ciebie, małego sierotę, a potem przywiozłem jego i ciebie do Szybowa.

— Ja ciebie, Jochelu, i później widywałem — rzekł Meir — ty porządnym furmanem byłeś... cztery konie miałeś...

Uśmiechnął się obrzękłymi usty terażniejszy mieszkaniec hek-deszu.

— Nu — rzekł — to prawda! ale mnie potem nieszczęście przytrafiło się! Ja chciałem jeden wielki interes zrobić... i ten interes mię zgubił. A jak on mię zgubił, to mnie drugie nieszczęście przytrafiło się...

— To drugie nieszczęście, Jochelu — rzekł Meir — to był grzech twój... Na co było tobie konie ze stajni purycy w nocy wyprowadzać?

Zapytany rozśmiał się cynicznie.

— Jakto na co? — rzekł — ja chciał je sprzedać i dużo zarobić...

Szmul litościwie wstrząsał głową.

— Oj! oj! — westchnął — Jochel jest biednym, bardzo biednym człowiekiem! On trzy lata pokuty swojej w turmie odsiedział, a teraz, jak jego stamtąd wypuścili, on nie ma żadnego zarobku i musi w hek-deszu siedzieć...

Jochel ciężko westchnął znowu, ale wnet potem energicznie podniósł głowę.

— Nu — rzekł — cóż robić? Może i ja będę miał prędko wielki zarobek...

Słowa te włóczęgi-nędzarza przypomniały Meirowi tajemniczą, krótką rozmowę, którą przez okno hek-deszu prowadził on przed godziną z możnym Kamionkerem. Uderzyła go zarazem zmiana, którą słowa Jochela wywołały na twarzy Szmul. Delikatna, blada, ruchliwa twarz ta zadrgała mnóstwem drgnień nerwowych, objawiać mogących zarówno gwałtowną radość lub boleść. Zarazem oczy jego roziskrzyły się i ręce zatrzęśły.

— Nu! — zawołał — co to można wiedzieć, co z człowiekiem jutro stanie się! Kiedy on dziś bardzo biedny jest, to jutro może on być bardzo bogatym! Co to można wiedzieć? Może i chajet Szmul wybuduje sobie kiedy piękny dom przy rynku i będzie wielki handel prowadził!

Meir uśmiechnął się smutnie. Bezzasadne, jak mu się zdawało; nadzieje dwóch biedaków budziły w nim litość. Patrzył on teraz w zamyśleniu na widniejące przez okno za niskimi domostwami szerokie rozłogi pól.

— Ty, Szmulu — rzekł — z pewnością nie zbudujesz sobie nigdy wielkiego domu przy rynku i Jochel nie znajdzie tu so-

bie wielkiego zarobku! Nu! co to dziwnego? Was tu tylu jest w jednym miejscu, że nikt dobrego zarobku mieć nie może. Ale ja sobie myślę: żebyście wy nie cisnęli się tu wszyscy na tych brudnych, małych uliczkach, i żebyście wy rozsypali się po szerokim świecie, i żebyście wy wielkich zarobków nie spodziewając się pracować zaczęli koło ziemi, jak pracują chrześcijańscy chłopci, toby wam może lepiej na świecie było.

Mówił to w zamyśleniu i mniej, jak się zdaje, myśląc o dwóch ludziach toczących z nim rozmowę, jak o całej tej tłumnej ludności, która w tej chwili napępiała powietrze nieopisaną wrzawą zmieszanych razem modłów krzykliwych, kłótni kobiecych, hałasów dziecinnych i nieokreślonych jakichś, niewyraźnych lamentów, zawodzeń i westchnień.

Ale krawiec Szmul usłyszawszy słowa gościa dwa razy we wzburzeniu wielkim podskoczył i dwa razy jarmułkę na głowie swej targnął i przekrzywił.

— Morejne! — zajęczał — jakie brzydkie słowa z ust twoich wychodzą! Morejne! czy ty chcesz wszystko w Izraelu do góry nogami przewrócić?

— Szmulu! — popędliwie zawołał Meir — to jest prawda! Kiedy ja patrzę na nędzę waszą i na cierpienia dzieci waszych i kiedy ja we własne moje serce patrzę — to ja bym wtedy chciał wiele rzeczy w Izraelu do góry nogami przewrócić!

— Gwałt! — chwytając się obu dłońmi za głowę krzyknął gwałtowny i wrażliwy Szmul — ja nie chciał temu wierzyć! ja ludziom tym, co to gadali, w oczy pluł, ale teraz ja sam już widzę, że ty, morejne, złym izraelitą jesteś i że tobie święty zakon nasz i obyczaje pradziadów naszych niemiłe!

Meir drgnął cały i wyprostował się.

— A kto to mówił, że ja złym izraelitą jestem? — zawołał z pałającymi oczami.

Szmul zmiarkował się w uniesieniu swym. Złagodniał nieco i do Meira bardzo blisko przystąpił. Nikt słyszeć nie mógł tego, co mówić miał, bo Jochel stał już znowu w głębokim

cieniu pieca przeżuwając głośno chleb z cebulą, a kobiety i dzieci wysypały się z chaty na ulicę. Jednak mówił on bardzo cicho i z wyrazem takiej grozy na twarzy, jakby słowa jego zawierały w sobie tajemnicę potężną i groźną.

— Morejne! ty darmo pytać się będziesz: kto to mówi? Jak liście na drzewach szeleszczą, tak usta ludzkie szepczą, a nikt nie zgadnie, który liść poruszył się i które usta zagadały. O tobie, morejne, cały naród złe rzeczy mówić zaczął! O tobie mówią, że ty sabatów nie strzeżesz, przekłete książki czytasz, obrzydliwe pieśni śpiewasz, młodzieńców izraelskich przeciw świętemu zakonowi buntujesz, uczonych i bogaczy nie szanujesz i...

Tu wstrzymał na chwilę szybką mowę swą Szmul, a potem zaledwie już dosłyszalnym, wstydlwym szeptem dodał:

— I z karaïmską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzymasz!

Meir stał jak skamieniały. Zbladł, a oczy pały mu coraz goręcej.

— Kto to wszystko mówi? — powtórzył stłumionym od wzruszenia głosem.

— Morejne! — odpowiedział Szmul rozkładając oba ramiona rozpaczonym gestem. — Ty za pokutę siedział przez cały tydzień w bet-ha-midrachu, a my wszyscy biedni ludzie, co przy uliczce tej mieszkamy, dowiedziawszy się o tym wielki gwałt zrobili! I byli tu i tacy ludzie, co chcieli iść do dziada twego, Saula, i do samego rabina, prosić ich, aby oni z ciebie ten wielki wstyd zdjęli. Tracz Judel chciał iść, i furman Baruch chciał iść — nu! — i chajet Szmul także chciał iść! Ale potem zaczęły się pomiędzy ludźmi gadania różne. A jak my z tych gadań dowiedzieli się, za co ciebie ukarali, to między nami zrobiło się cicho. My powiedzieliśmy sobie: „Choć on dobry i litościwy bardzo, i pyszny z nami, nędzarzami, nie był, i wiele nam w biedach naszych pomagał, ale kiedy on zakonu świętego nie strzeże, to niech stanie się tak,

jak powiedział zejde jego, wielki bogacz, i niech on ukaranym będzie!”

Umilkł na koniec zdyszany długim i szybkim mówieniem Szmul, a Meir patrząc mu w twarz pałającym, przenikliwym wejrzeniem zapytał:

— A żeby mię bogacze i uczeni ukamienować kazali, wybyście znów powiedzieli: „Niech się tak stanie“?

Szmul przeraził się zrazu strasznym przypuszczeniem Meira tak bardzo, że aż o parę kroków odskoczył.

— Gwałt! — zawołał — na co takie brzydkie rzeczy przypuszczać sobie do głowy!

Potem jednak dodał spokojniej:

— Nu! Morejne! żebyś ty świętego zakonu naszego nie strzegł...

Nie dokończył, bo przerwał mu Meir pełnym uniesienia głosem:

— Szmulu, a czy wy wszyscy wiecie, co jest święty nasz zakon? Co w nim jest boskie rozkazanie, a co ludzkie wymyślenie?

— Szaa! — syknął z cicha Szmul — nas ludzie słuchają! ja nie chcę, morejne, żeby w mojej chacie spotkała ciebie nieprzyjemność!

Meir rzucił spojrzenie za okno i zobaczył, iż w istocie kilku dojrzałych mężczyzn obsiadało długą, wąską ławę stojącą u ściany domostwa Szmulu. Ludzie ci nie podsłuchiwali bynajmniej, owszem, rozmawiali nawet sobie, ale parę ostatnich wykrzyków Szmulu i Meira usłyszeli znać, bo nachylili twarze ku otwartemu okienku i patrzali we wnętrze izby oczami współdziwionymi i współniechętnymi. Meir niecierpliwie rzucił ramionami i nie żegnając Szmulu zmierzał ku wyjściu. Ale gdy był już przy progu, Szmul rzucił się ku niemu i schyliwszy szybko giętką swą postać w rękę go pocałował.

— Morejne! — szepnął — ja ciebie bardzo żałuję! Ty upamiętaj się! U ciebie serce bardzo dobre, ale głowa bardzo

zła! W niej ogień pali się! Aj waj! co ty z melamedem dziś zrobił! Morejne! ty upamiętaj się i nie rób zgorszenia w Izraelu!

Trzymając wciąż rękę Meira w twardej swej dłoni podniósł ku niemu twarz nerwowo znów drgającą i dodał śpiesznie:

— Morejne! żebyś ty nie był pod takim strasznym oskarżeniem, ja bym dziś przed tobą serce moje otworzył. Bo dziś chajet Szmul ma wielkie kłopoty! On sam nie wie, co zrobić! On może zostać się takim biednym na całe życie, jakim jest, i może zrobić się bogatym! On może być bardzo szczęśliwym i bardzo nieszczęśliwym, bo do niego przychodzi teraz wielkie szczęście i w ręce jemu lezie, ale on lęka się jego brać, bo ono wygląda tak, jak nieszczęście!

Meir ze zdumieniem patrzył na nędzarza czyniącego mu w ten sposób zagadkowe jakieś półzwierzenia. Ale w tej chwili zza czarnego pieca ozwał się gruby, chrypiący głos Jochela:

— Szmul! czy ty będziesz milczał? Kom her!

Szmul z drgającą wciąż, nieprzytomną prawie twarzą odskoczył od Meira, który zamyślony i z pałającym okiem wyszedł na ulicę.

Tu na widok jego schmurzyły się widocznie twarze siedzących u ściany ludzi. Paru z nich pozdrowiło go krótko i obojętnie, nikt, jak zwykle bywało dawniej, nie wstał przed nim i nikt nie postąpił ku niemu, aby towarzyszyć mu i poufnie z nim rozmawiać przez całą długość ulicy.

Tylko spod ściany domu podniosło się dziecię w szarej, długiej surducinie i zaledwie Meir o parę kroków oddalił się od proga domostwa, postąpiło za nim. Ręce miało ono wsunięte w rękawy odzieży i oczy zmęczone, przymykające się niemal od senności. Szło jednak, a że młody człowiek postępował krokiem wzburzonym i szybkim, ono także przyspieszało kroku.

Tak jeden za drugim idąc, Meir i Lejbele przebyli długą uliczkę i znaleźli się wkrótce na pustych gruntach rozdzielających ostatnie domostwa miasteczka z karaimskim wzgórzem.

Zmierch panował już zupełny, ale w chacie Abła karaima nie paliło się żółte światelko małej świeczki. Nie spano w niej jednak, bo zaledwie Meir zbliżył się do otwartego jej okna, zarysowała się w nim wysmukła postać Gołdy.

Pozdrowili się wzajem milczącym skinieniem głowy.

— Gołda! — rzekł Meir z cicha, lecz pośpiesznie — czy ciebie żadna nieprzyjemność od nikogo nie spotkała? czy tobie nikt nic złego nie zrobił?

Dziewczyna milczała chwilę, a potem odpowiedziała wzajemnym pytaniem:

— Dlaczego ty, Meir, zapytujesz mnie o to?

— Bo ja lękam się, żeby tobie jaka krzywda nie stała się. Ludzie zaczęli o tobie gadać!

Gołda wzgardliwie nieco wzruszyła ramionami.

— Ja o ich krzywdy nie dbam — rzekła — ja z krzywdą razem wyrosłam i ona jest siostrą moją.

Umilkli na chwilę. Meir wydawał się wciąż niespokojny.

— Dlaczego u was dziś ciemno w chacie? — zapytał.

— U mnie wełny nie ma do przedzenia, a zejde modli się sobie w ciemności.

W istocie, w kącie izby szemrał drżący głos modlącego się Abła.

— A czemu ty wełny nie masz do przedzenia? — zapytał Meir.

— Odniosłam Hanie Witebskiej i Sarze, żonie Bera, to, co dla nich uprzedłam, a one mi więcej roboty nie dały.

— Czy one tobie nic złego nie powiedziały? — porywczo zapytał Meir.

Gołda milczała znowu przez chwilę.

— Ludzkie oczy mówią czasem gorsze rzeczy jak usta — wymówiła spokojnie.

Widocznie skarżyć się nie chciała ani obwiniać nikogo. Być może zresztą, iż mało obchodziło ją wszystko, co się tyczyło jej samej, i że umysł jej był czym innym zajęty.

— Meir! — rzekła — ty w tych dniach wielką nieprzyjemność miałaś...

Meir usiadł na małej, wąskiej ławce stojącej pod otwartym oknem, oparł głowę na dłoni i westchnął ciężko.

— Największą zgryzotę ja dziś miałem — odpowiedział. — Lud mój odwrócił twarz swoją ode mnie i za wroga swego mnie ogłosił... Kędy przechodzę, widzę na miejscu przyjaźni — nieprzyjaźń, a ci, którzy przede mną serca swoje otwierali, mają mnie teraz w podejrzeniu...

Gołda smutnie pochyliła głowę, Meir mówił po chwili dalej:

— Ja już teraz nie wiem sam, co robić i jakim być... wielkie wątplenie duszę moją objęło. Jeżeli ja będę mówił i robił według serca mego, lud mój znienawidzi mnie, i różne nieszczęścia na mnie spadną... a jeżeli będę mówił i robił przeciw sercu memu, sam siebie znienawidzę i żadne szczęście miłym mi nie będzie... W ha-midrassu siedząc ja sobie myślałem: „Lepiej zgodę ze wszystkimi trzymać, na głupie i złe rzeczy oczy zamykać i spokojnie sobie żyć...“, ale z ha-midrassu wyszedłszy ja zaraz nie mogłem wytrzymać i za jedno biedne dziecko bardzo na siebie obraziłem mełameda, a przez mełameda wszystkich starszych i cały lud... Ot, co ja dziś zrobiłem! A teraz znów myślę sobie: „Na co to przyda się? Czy przez to mełamed nie będzie biednym dzieciom rozumu z ich głów wyjmować i zdrowie ich ciałom odbierać?...“ Co ja mogę? ja jeden... młody... żony i dzieci jeszcze nie mam i interesów wielkich nie prowadzę... to nade mną wszyscy wszystko mogą, a ja nie nad nikim... Moich przyjaciół prześladowają za to, że oni ze mną przyjaźń trzymają... oni zleką się i mnie porzucają... Ciebie zaczęli już prześladować za to, że ty serce swoje połączyłaś z moim sercem i głos swój dałaś za towarzysza mo-

jemu głosowi... i ja ciebie przez to zgubię... Może już lepiej oczy i usta zamknąć... smutkowi i tęsknocie kazać, żeby z serca szły precz... i żyć tak, jak oni wszyscy żyją?...

Coraz ciszej mówił to Meir; w głosie jego czuć było, że pierś mu targały srogie bóle niepewności i zwątpienia.

Dość długie potem zapanowało milczenie, a w tejże chwili za wzgórzem, u stóp którego stała chatka, ozywać się poczęły szczególne jakieś szmery. Zrazu słabo tylko rozróżnić można było wśród szmerów tych turkoty kół cicho sunących po piaszczystym gruncie, przyciszone rozmowy i tłumne stąpania ludzkie.

Po chwili jednak coraz wyraźniejszymi i bliższymi stawały się odgłosy te, a wśród ciszy głębokiej, która w miejscu tym panowała, posiadały w sobie coś tajemniczego.

— Co to jest? — prostując się wyrzekł Meir.

— Co to jest? — powtórzyła spokojniej Gołda.

— Mnie się zdaje — zaczął młody człowiek — jakby z tamtej strony góry wiele wozów jechało i stanęło...

— A mnie się zdaje, jakby w tej górze huczało coś i stukało...

Istotnie, zdawać się mogło, że stąpania ludzkie odzywały się teraz w samym wnętrzu wzgórza, a oprócz nich słychać tam było stuk rzucanych jakby czy ustawianych ciężkich przedmiotów.

Trwoga odmalowała się na twarzy Meira. Spojrzał głęboko w twarz Gołdy.

— Zamknij okno i zarygluj drzwi! — rzekł pośpiesznie — ja pójdę zobaczyć, co tam takiego.

Widocznie lękał się o nią. Ale dziewczyna wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

— Na co ja mam okno i drzwi zamykać! One są bardzo słabe i choćbym je zamknęła, każdy, kto dotknie się do nich silną ręką, otworzy je sobie.

Meir okrążał już wzgórze i wkrótce znalazł się po dru-

giej jego stronie. Widok, który tam ujrzał, nappełnił go zdziwieniem.

Na piaszczystych zagonach stały półkřęgiem wzgřrze otaczając wozy jedno- i dwukonne naładowane drewnianymi beczkami najrozmaitszych rozmiarów. Około wozów ruszało się mnóstwo ludzi: wieśniaków-chrześcijan i izraelitów. Wieśniacy zdejmowali beczki z wozów i wtaczali niektóre z nich w głęboką jamę wytworzoną naturalnie czy sztucznie we wnętrzu wzgřrza, izraelici zaś krążyli pomiędzy wozami, przypatrywali się beczkom, uderzali w nie lekko palcami, a potem skupiali się dokoła człowieka, który stał przycisnięty do ściany wzgřrza i toczyli z nim przyciszone, lecz nadzwyczaj żywe rozmowy.

Pośród izraelitów tych Meir poznał kilku znanych mu z widzenia sąsiednich szynkarzy, człowiekiem zaś, który przyciskał się do wzgřrza i wiódł z nimi tajemnicze, choć zapalczywe jakieś targi i umowy, był Jankiel Kamionker.

Wieśniacy dokonywujący pracy przemieszczania beczek lub stojący nieruchomo u wozów milczeli ponuro. Silna, odurzająca woń alkoholu rozchodziła się po równinie i przejmowała na wskrós powietrze letniego wieczoru.

Zdziwienie Meira krótko trwało. Zaczął on znać domyślać się znaczenia sceny, na którą patrzył, i widać było, że powziął postanowienia jakieś, bo w zamiarze jakby zbliżenia się do Kamionkera postąpił parę kroków naprzód. Lecz nagle od ściany wzgřrza oderwała się i drogę mu zagrodiła wysoka, barczysta postać człowieka z bosymi nogami i rozczochranymi włosy.

— Czego ty tu idziesz, Meir? — stłumionym szeptem wyrzekł człowiek ten.

— A czemu ty, Jochelu, iść mi nie pozwalasz? — odpowiedział Meir i chciał ominąć stojącą mu na drodze przeszkodę, ale Jochel przytrzymał go silnie za rękaw od surduta.

— Czy ty już na tym świecie żyć nie chcesz? — szeptał. —

Mnie ciebie żał, bo ty dobry jesteś, i ja tobie mówię: idź ty sobie stąd!

— A jeżeli ja ciekawy jestem wiedzieć, co to tutaj takiego reb Jankiel ze swymi szynkarzami i z tymi beczkami robi?

— A co tobie do tego? — zaszeptał raz jeszcze Jochel — niech twoje oczy nie widzą i twoje uszy nie słyszą tego, co tutaj reb Jankiel robi! On wielkie interesy robi i ty jemu nie przeszkodzisz... A na co tobie przeszkadzać? czy ty będziesz z tego korzyści jakie miał? czy ty co przeciw niemu możesz?

Meir stał chwilę jak oniemiały. Potem odwrócił się i poszedł z wolna w inną stronę.

— Czy ja co mogę? — wymówił drgającymi wargami.

Przechodząc mimo chaty Abła karaima zobaczył Gołdę, która stała jeszcze w oknie. Skinął ku niej głową i wymówił:

— Śpij w pokoju!

Ale ona zawołała go:

— Meir! tu jakieś dziecko siedzi na ziemi i śpi.

Meir zbliżył się i spostrzegł w istocie u końca ławki, na której siedział był przed chwilą, skurezoną na ziemi, szarą postać dziecięcą.

— Lejbele! — rzekł ze zdziwieniem.

Nie widział chłopca, który tu za nim przyszedł i cicho za nim też usiadł. Teraz spał on głęboko, łokcie wspierając na podniesionych kolanach, a głowę trzymając w obu dłoniach.

— Lejbele! — powtórzył Meir i położył dłoń na głowie śpiącego.

Dziecię obudziło się, otworzyło senne oczy i wznosząc je ku twarzy pochylającego się nad nim młodzieńca uśmiechnęło się.

— Czego ty tu przyszedłeś, Lejbele? — uśmiechając się też zapytał Meir.

Dziecko namyslało się chwilę, potem odpowiedziało:

— Za tobą...

— Tate i mame nie wiedzą, gdzie ty podziałeś się...

— Tatele już śpi, i mamele już śpi... — zaczął Lejbele przechylając głowę na obie strony i wciąż uśmiechając się.

— I kozy już śpią... — dodał po chwili i na wspomnienie zapewne tych najlepszych towarzyszek swoich zaśmiał się głośno.

Ale z ust Meira zniknął przelotny uśmiech wywołany uśmiechem dziecka. Wyprostował się, westchnął i pochylając głowę wymówił do siebie:

— Co mnie teraz robić?

Gołda obu dłońmi objęła swoją głowę, podniosła twarz i smutnymi oczami patrzyła w gwiaździste niebo. Po chwili szepnęła z cicha i nieśmiało:

— Ja zejdy spytam się! Zejde bardzo uczony jest... on całą Biblię na pamięć umie.

— Spytaj się! — odpowiedział Meir.

Dziewczyna zwróciła się ku ciemnemu wnętrzu chaty i zawołała:

— Zejde! Co Jehowa czynić każe człowiekowi, od którego lud odwraca twarz swoją za to, że on przeciw sercu swemu robić i mówić nie chce?

Na zapytanie to Abel przerwał modlitwę odmawianą półgłosem. Przywykł był znać do częstych zapytań wnuczki i do udzielania na nie odpowiedzi, bo milczał długo w rozważaniu słów jej czy w przypominaniu sobie słów świętych zatopiony. Potem w ciemności napełniającej wnętrze chaty ozwał się stary, trzęsący się, lecz podniesiony nieco głos jego:

— Jehowa rzekł: „Uczyniłem cię, proroku, stróżem Izraela! Słuchaj mowy mojej i powtarzaj ją ludowi twemu. Jeżeli czynić to będziesz, nazwę cię wiernym sługą moim, lecz jeśli milczeć będziesz, na głowę twoją spadną nieszczęścia Izraela!”

Stary głos wymawiający słowa te umilkł, a Meir słuchał jeszcze z podniesioną, pobladłą twarzą i żarzącym się okiem.

Po chwili wskazał palcem ku temu punktowi ciemnej izby, w którym znowu szemrać poczyniała modlitwa starca i drżącym głosem rzekł:

— To jest prawda! Przez usta jego przemówił stary zakon mojżeszowy! prawdziwy nasz święty zakon!

W oczach Gołdy świeciły wielkie łzy, ale nie widział ich Meir. Zatopiony w myśli jakiejś, która objęła i rozpląmieniła całą jego istotę, z wolna skinął on głową ku młodej dziewczynie w znak pożegnania i odszedł.

Ona pozostała u otwartego okna i patrzyła za odchodzącym. Postawa i twarz jej były spokojne, ale po ciemnej, chudej twarzy łzy perliste płynęły jedna za drugą.

— Prorokowi Ozjaszowi głowę ścięli... Proroka Jeremiasza z Palestyny wygnali... — szeptała.

Meir zaś o kilkanaście kroków od małej chatki znajdując się z podniesioną ku niebu bladą twarzą wymówił:

— Rabbi Akiba za prawdę swoją w wielkich męczarniach umarł!

Oczy Gołdy szeroko otwierały się, aby móc jak najdłużej dojrzeć pośród wieczornych ciemności oddalającą się z wolna postać młodzieńca. Powoli splotły się jej ręce, a usta zwilżone łzami szepnęły:

— Jak Ruth powiedziała świekrze swojej Noemi, tak niech ja powiem tobie, światłości duszy mojej: „Bóg twój jest Bogiem moim, lud twój jest moim ludem, a smutek mój ja dam za towarzysza twemu smutkowi i duszę moją rozwiodę z ciałem razem z duszą twoją!...”

W ten sposób dzieci te, przejęte na wskrós technieniem starych dziejów i podań Izraela, które im całą mądrość świata zastępować musiały, z nich czerpały dla siebie naukę, pociechy, męstwo i łzy.

II

Na świecie dniało zaledwie, ale w domostwie Jankla Kamionkera, oprócz dzieci najmniejszych, nikt już nie spał. Wschodzący dzień ważnym miał być dla właściciela zajezdnego domu, był to albowiem jeden z głównych w roku dni targowych sprowadzających do miasteczka tłumy okolicznej ludności wszech stanów i stopni społecznych. Toteż dwie córki Jankla, dorosłe, silne, brzydkie i rozczochrane dziewczyny, z pomocą czternastoletniego brata Mendela, gapiowata i złośliwa twarz którego nosiła na sobie ślady długoletnich już studiów w chederze reb Mosza odbywanych, uprzątały z lekka dwa paradne pokoje przeznaczone dla najdostojniejszych gości, przybrane w żółte, odwieczne, kulawe sprzęty, popielate od brudu firanki i w gliniane wazony, z których wyrastały ciemne jakieś karykatury roślin.

Obok paradnych apartamentów tych znajdowała się ogromna izba szynkowna, w której zazwyczaj w dniu podobnych zjazdów, zgromadzały się, piły i tańczyły tłumy wieśniaków. W izbie tej dziewczka służąca próbowała czyścić nigdy nie wyczyszczające się długie, wąskie stoły ustawione dokoła ław otaczających ściany i rozniecała skąpy ogień w głębokim i czarnym jak otchłań piecowisku, ranek bowiem chłodny był, a wielką, niską szynkownię napełniało powietrze stęchłe i wilgotne.

W mieszkaniu Jankla, w pierwszej od wejścia izbie, u dwóch okien wychodzących na plac targowy, pusty jeszcze zupełnie i mgłą poranną okryty, stały dwie osoby: Jankiel

i żona jego, Jenta. Twarzami zwrócenii ku oknom odmawiali oni oboje długie modlitwy poranne.

Jankiel, w takim już ubraniu, w jakim zwykle dnie całe przepędzał, więc w długim, wyszarzanym chałacie i grubej czarnej chustce w koło szyi okręconej, modlił się głośno:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię poganinem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mię kobietą!

Wymawiając to śpieszącymi się i drżącymi od żarliwości ustami kołysał postać swą w tył i naprzód namiętnymi ruchy. A w tejsze chwili Jenta, w szafirowym kaftanie bez rękawów i krótkiej spódnicy, spod której ukazywały się stopy w ciemnych pończochach i płytkim obuwiu, składała przed oknem krótkie, szybkie pokłony i znacznie ciszej od męża swego wymawiała:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!

Jankiel zarzucił sobie na piersi i plecy lekką płachtę płócienną, u czterech końców której wisiały białe sznurki, i mówił:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, któryś oświecił nas przykazaniami swoimi i dał nam zakon o cycelach!

Jenta z krótkim pokłonem zaszeptała głośniejsze:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który oswobadzasz więźniów i prostujesz tych, co zgięci są w łęk!

Jankiel przebierał palcami nici wiszące u rozpostartego przed nim na stołku tałesu mówiąc:

— Wielkim jesteś, Boże, Panie świata! bardzo wielkim! Oblokłeś się wielkością i światłością jako płaszczem!

Jenta kłaniając się wciąż wdychać ciężko zaczęła:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata — szeptała — który dajesz siłę zmęczonemu, sen z oczu a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Wziął na koniec Jankiel ze stołka taśes swój, a owijając się płaszczem tym z białej, miękkiej materii o żałobnych szlakach podniósł twarz wysoko i zawołał:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś oświecił nas przykazaniami swymi i rozkazał nam oblekać się w cycele!

Potem jeszcze kołysząc się wciąż i poruszając ustami włożył na głowę rzemień ze sporym guzem przylegającym do czoła, a inny podobny okręcając w koło palca swego wymówił:

— Zaręcę cię z Sobą na wieki! zaręcę cię z Sobą w prawdzie, miłości i łasce! zaręcę cię z Sobą w wierze, przez którą poznasz Pana!

Tak byli oboje zatopieni w modlitwach swych, że nie usłyszeli rozlegających się za nimi kroków męskich i śpiesznych.

Meir Ezofowicz przeszedł szybko izbę, w której modlili się Jankiel i żona jego, i minawszy izdebkę napełnioną łózkami, skrzyniami i kołyskami, w których spało jeszcze dwoje małych dzieci, uchylił z cicha niskie drzwiczki prowadzące do izdebki kantora.

Szaro tu jeszcze było od porannego świtania. W błękitnym zmroku tym, który napełniał izdebkę, twarzą zwrócony ku oknu stał Eliezer i modlił się także. Usłyszał on wejście przyjaciela, bo zrazu głowę ku niemu zwrócił, modlitwy swej jednak nie przerwał. Owszem, wzniósł nieco w górę białe swe ręce i jakby wezwać chciał przybyłego do wspólnych modłów, głośniejszymi wymówił:

— Boże Izraela! zagaś płomienny gniew Twój i zdejm niedolę z głowy ludu Twego!

Meir stanął o parę kroków za modlącym się przyjacielem i odpowiedział słowami, którymi zazwyczaj lud odpowiada kantorowi intonującemu modlitwy:

— Spójrz z niebios i ujrzyj, jakośmy stali się pośmiewi-

skiem i wzgardą między narodami; jako jagnię wiedziono nas na męki, hańbę i zniszczenie!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twojego; nie zapomnijsze Ty i o nas! — intonował znowu Eliezer.

W ten sposób odpowiadając sobie wzajem dwaj młodzi ludzie odmawiali wspólnie jedną z najpiękniejszych modlitw, które kiedykolwiek z rozbolełych serc ludzkich podnosiły się do nieba. W modlitwie tej słowo każde jest łzą, a każda strofa akordem opiewającym tragiczne dzieje wielkiego ludu.

— O! wyrzecz się pomsty swej i litość okaż wybranemu Twemu! — mówił kantor.

Meir odpowiadał:

— Obroń nas, Panie, i nie oddawaj nas w ręce okrutnych! Bo i po cóż mówić mają ludzie: „Kędyż ich Bóg!”

— Usłysz jęk nasz i nie oddaj nas w ręce wrogów pragnących zgładzić imię nasze! Wspomnij, coś zaprzysiągł przodkom naszym: „Rozmnożę potomstwo wasze jako gwiazdy”, a teraz z wielkiego mnóstwa pozostało już nas tak mało!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twego; nie zapomnijsze Ty i o nas!

— O straży Izraelowa, chroń ostatki Izraela, ażeby nie zginął jedyny lud, wierzący w jedyne imię Twoje i mówiący: „Pan nasz, Bóg jedyny!”

Postawy dwóch przyjaciół były wśród modlitwy tak różne, jak różnymi były ich charaktery. Eliezer wznosił w górę drżące nieco ręce, błękitne oczy jego zachodziły wilgocią miękkiego wzruszenia, a wiotka postać chwiała się mimo woli, zdjęta jakby rozmarzeniem czy zachwytem. Meir stał prosto i nieruchomo, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z ognistą źrenicą utkwioną w błękitnawe obłoki i głęboką zmarszczką na czole, która całej twarzy jego nadawała wyraz tłumionego gniewu i bólu. Obaj jednak modlili się całym sercem, z wiarą głęboką w to, że straż Izraelowa, Bóg jedyny, słyszy ich głosy.

U końca modlitwy dopiero rozdzieliły się ich duchy. Eliezer intonował prośbę za izraelskich uczonych i mędrców.

— Podtrzymuj, Ojcze nasz niebieski, mędrców Izraela z żonami, dziećmi i uczniami ich, wszędzie gdziekolwiek przebywają oni! Wołajcie: Amen!

Meir nie wymówił: Amen. Milczał chwilę, a gdy kantor milczał także odpowiedzi czekając, Meir podniesionym nieco głosem i drżącymi usty mówić zaczął:

— Braci naszych z domu Izraelowego poddanych ubóstwu i grzechom, gdziekolwiek przebywają oni, wywiedź z oków na swobodę, z ciemności na światłość jak najprędzej! Wołajcie: Amen!

— Amen! — zawołał Eliezer i zwrócił się twarzą ku przyjacielowi.

Wyciągnęli ku sobie ręce i uścisnęli je wzajem.

— Eliezer! — rzekł Meir — ty dziś nie tak wyglądasz, jak tydzień temu!

— I ty, Meirze, nie tak wyglądasz! — odpowiedział kantor.

— Nad naszymi głowami jeden tylko tydzień przepłynął, ale czasem jeden tydzień to więcej jak dziesięć lat...

— Ja przez ten tydzień wiele przeniosłem — szepnął kantor.

Meir nie skarżył się.

— Eliezer — rzekł — daj mi *More Nebuchim*.¹ Ja po tę książkę przyszedłem dziś do ciebie tak rano. Mnie tej książki bardzo teraz potrzeba!

Eliezer stał z pochyloną głową.

— U mnie tej książki nie ma już! — wyrzekł z cicha.

— A gdzież ona jest? — zapytał Meir.

— Książki tej, Meirze, którą my tutaj tyle razy czytaliśmy, z której głowy nasze piły światłość, a serca nadzieję, na całym

świecie już nie ma! Ją ogień pożarł, a prochy jej na śmietnisko wyrzucono...

— Eliezer! ty zląkłeś się i oddałeś ją na pożarcie ognio-
wi! — zawołał Meir.

— Moje ręce nie mogłyby popełnić takiego morderstwa; żeby nawet usta moje rozkazywały im uczynić to, one by ust moich nie posłuchały. Ale tydzień temu przyszedł tu ojciec mój i z wielkim gniewem rozkazał mi, ażebym oddał mu tę „przekłętą“ książkę, którą my razem w sabat czytaliśmy na łące. Ja milczałem. On krzyczał: „Czy u ciebie jest ta książka?“ — powiedziałem: „U mnie“, ale kiedy znowu zapytał się mnie: „Gdzie ona jest?“ — ja milczałem. Biłby mię, ale wspominając na mój urząd w synagodze i na wielką miłość, którą lud ma dla głosu mojego, lękał się dotykać ciała mego. Zaczął tylko wszystko rozrzucać w izbie, a jak pościel rozrzucił, to i książkę znalazł. Chciał ją nieść do rabina, ale ja wtedy do nóg jemu upadłem i prosiłem, żeby on tego nie robił, bo nie pozwolono by mi za to śpiewać przed Panem i odebrano by mnie tę miłość, którą lud ma dla mnie za to śpiewanie moje. Ojciec sam tego zląkł się, bo on dumny bardzo z tego, że syn jego taki młody ma już wielki zaszczyt w synagodze, i on myśli, że za to, iż syn jego Panu śpiewa i ludowi słowa modlitwy podaje, Pan jemu powodzenie w interesach dawać będzie i grzechy jego przebaczać. Nie poniósł książki do rabina, ale ją sam w płomienie rzucił, a jak ona paliła się, śmiał się i skakał z radości...

— I ty, Eliezer, patrzałeś na to i nic nie robiłeś?... — drżącym głosem zapytał Meir.

— A co ja miałem zrobić? — odszepnął kantor.

— Ja bym książkę tę na piersi mojej położył... ja bym ją ramionami mymi do siebie przycisnął... ja bym powiedział ojcu: „Kiedy ty ją do ognia rzucać chcesz, rzućże razem i mnie!...“

Słowa te Meir mówił z iskrzącym się wzrokiem i płomie-

¹ „Przewodnik błędzących“, dzieło Mojżesza Majmonidesa.

niem rumieńca na czole; Eliezer stał przed nim smutny, zawstydzony, z pochyloną twarzą i spuszczoneym wzrokiem.

— Ja nie mogłem — szepnął — ja lękałem się, żeby mnie od ołtarza Pana nie odepchnięto i przed ludem za bezbożnego nie ogłoszono... ale popatrz na mnie, Meir, i zobacz, czy pisanie mistrza naszego ja nie kochałem tak, jako duszy mojej... odkąd jego nie ma już w izdebce mojej, twarz moja pobladła, a powieki zaczerwieniły się od łez...

— O, łzy, łzy, łzy twoje! — zawołał Meir siadając gwałtownie na stolku i czoło ujmując w obie dłonie. — O! te łzy, łzy, łzy twoje, Eliezer! — powtarzał szczególnym głosem, sztyderskim niby, niby łzawym — one przez wiekiistość płynąć mogą, a nie dobrego nie uczynią ani tobie, ani mnie, ani izraelskiemu ludowi! Eliezer! ja ciebie kocham jak brata! ty żrenica w oku moim! ale ja łez twoich nie lubię i na powieki twoje od nich zaczerwienione patrzeć nie mogę! Eliezer! nie pokazuj ty mi nigdy łez swoich, ale pokaż ty mi choć raz ogień w oczach swoich i siłę w tym głosie swoim, dla którego lud taką miłość czuje, że byłby jemu posłuszny jak dziecko matce...

Złorzeczając w ten sposób łzom przyjaciela Meir sam oczy miał pełne łez. Nie chciał może ukazać ich, bo zakrył twarz dłońmi. Zakołysał też boleśnie postać swą i mówił dalej:

— Oj! oj! oj! Eliezer! co ty zrobiłeś książkę tę ojcu swemu na spalenie dając! Skąd my teraz drugie źródło mądrości dostaniemy! Gdzie my teraz głos jedynego mistrza naszego usłyszemy! Płomienie pożarły duszę dusz naszych, a prochy jej na śmietnisko wyrzucono... rozniosą je wiatry na wszystkie strony, a jeżeli dusza mistrza naszego zobaczy je lecące tak na zginienie, zasmuci się i rozniewa bardzo i powie: „Oto drugi raz wyklęli mnie ludzie!“

Mówiąc tak nie mógł już utaić namiętnego płaczu, który go porywał. Łzy bujne i gęste przenikając mu przez palce spadały na chropowatą powierzchnię stołu. Nagle przestał wyrze-

kać i płakać. Umilkł i nie zmieniając postawy pogрузił się w cichym żalu czy rozmyślanu.

Eliezer otworzył okno.

Na piaszczystym gruncie rynku snuły się tu i ówdzie różowe i złotawe ścieżki. Były to pierwsze promienie słońca, które wschodzić zaczynało. Jedną ze świetlistych ścieżek tych postępował ku domostwu Kamionkerów zmierzając wysoki, barczysty, bosonogi człowiek. Ciężkie stąpania jego ozwały się wkrótce w bliskości okna, przy którym siedzieli dwaj młodzi ludzie. Meir podniósł twarz, a chociaż głowa idącego człowieka o rozczochranych włosach i nabrzmiałych ustach mignęła mu tylko przed oczami, poznał, że był to Jochel.

W parę minut potem tuż za otwartym oknem przeszli szybko dwaj ludzie czarno ubrani. Jeden wysoki był, poważny i błogo uśmiechniony, drugi niski, żwawy i ze zmarszczonym czołem pod gęstwiną popielatych od siwizny włosów. Byli to morejne Kalman i Abram Ezofowicz.

Dążyli tu znać oni nie przez plac, na którym widać ich wprzód było, ale drogą jakąś uboczną, ukrytą za ścianami i podwórzami domostw, bo ukazali się nagle skądciś, zza węgła niskiego zajezdnego domu. Szli blisko obok siebie, lecz nie rozmawiając ze sobą, śpiesznie, a jednak cicho. Z chodu ich, milczenia i z samej twarzy Abrama, schmurzonej i niespokojnej, znać było, że życzyli sobie gorąco, aby nikt ich tu przybywających nie widział. Przebywszy elastyczny od nagromadzonego śmiecia grunt, który rozdzielał okna domostwa od podjazdowych słupów, zniknęli, jak przed chwilą Jochel, w sieni głębokiej, mrocznej jeszcze zupełnie i będącej zarazem stajnią.

Eliezer oderwał w tej chwili wzrok od nabożnej książki, którą czytać zaczął i spojrzawszy na Meirą zawołał:

— Meir! dlaczego twarz twoja zrobiła się taką srogą? Ja u ciebie takiej srogiej twarzy nie widziałem nigdy!

Mogło się zdawać, że Meir nie usłyszał nawet wykrzyku

przyjaciela. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię szepnął on do siebie:

— Stryj mój Abram! Stryj mój Abram! biada domowi naszemu! wstyd i hańba domowi Ezofowiczów!

W izbie przyległej, cienkimi, niskimi drzwiami rozdzielonej z izdebką kantora, ozwały się teraz głośnie i tłumne szmery. Naprzód Jankiel krzyknął tam na żonę, aby wyniosła i wyprowadziła dzieci, potem załopotano po podłodze przydeptane, płytke obuwie Jenty; dzieci rozbudzone zapłakały, a gdy coraz przeraźliwszy wrzask oddalał się w głąb domu, tuż za ścianą ozwały się stapania kilku ludzi, śpieszne i głośnie posuwanie drewnianych stołków i na koniec stłumiony, lecz dość głośny, bo gwałtowny, szept rozpoczynającej się rozmowy.

Meir wstał nagle ze stołka.

— Eliezer! — rzekł śpiesznie — idźmy stąd!

— Dlaczego my mamy stąd iść? — zapytał kantor odrywając się znowu od nabożnego czytania swego.

— Bo ściana ta cienką jest... — zaczął Meir.

Nie dokończył i umilkł nagle, bo za ścianą dał się słyszeć gwałtowny wykrzyk stryja jego, Abrama:

— Ja o tym nic nie wiedziałem! ty, Jankielu, nic mi o tym nie powiedziałeś.

Jednocześnie zabrzmiał żółciowy, przykry śmiech Jankiela.

— Bo u mnie rozum w głowie jest! — zawołał — ja wiedziałem, że u ciebie, Abramie, zgoda na interes taki trudna będzie! Ale jak ja sam interes ten załatwię...

— Sza! — syknął Kalman, a dwa głosy, które podniosły się były przed chwilą, zaczęły znowu szeptać.

— Eliezer! idź ty stąd! — zawołał Meir.

Kantor nie rozumiał nic.

— Eliezer! czy ty chcesz czcić ojca swego, jak przykazano jest na górze Synaj?

Syn Kamionkera westchnął.

— Ja płacząc proszę Jehowy, abym mógł czcić ojca mego...

Meir rękę jego pochwycił.

— Nu, to idź stąd! idź stąd! bo jak zostaniesz tu jeszcze trochę, nigdy już... nigdy... nigdy czcić ojca swego nie będziesz...

Młody człowiek mówił to z takim uniesieniem, że Eliezer zbladł trochę i zmieszał się bardzo.

— A jak ja pójdę teraz stąd? — szepnął. — Jeżeli oni o wielkim sekrecie rozmawiają...

Tu znowu zabrzmiał za ścianą głośniejszy nieco wykrzyk Jankiela:

— Chajet Szmul, nędzarz, i furman Jochel, złodziej... oni obydwaj grube pieniądze wezmą...

— A chłopci, co wódkę wieźli? — zawołał Abram.

Jankiel zaśmiał się.

— Oni u moich szynkarzy z ciałami, duszami i dobytками swymi w kieszeniach siedzą...

— Szaa! — syknął znowu flegmatyczniejszy i ostrożniejszy od towarzyszy swych Kalman.

Tym razem Eliezer drżeć już począł. Przebłysk domysłu jakiegoś w umyśle jego zaświtał.

— Meir! Meir! — zaszeptał z niezwykłą sobie gwałtownością — ja chcę stąd iść, ale tamtędy, koło nich, lękam się... bo oni domyślą się, że ja z ich sekretu dowiedziałem się czegoś...

Meir blady był jak chusta.

— Eliezerze! bracie mój! — zawołał — ja nie chcę, aby serce twoje pękło od żalości.

Mówiąc to jedną ręką odsunął stół przy oknie stojący, drugą popchnął przyjaciela ku otwartemu oknu.

— Okno niskie — szepnął. — Idź! Idź do szkoły! Padnij twarzą przed Panem, módl się i płacz!

W mgnieniu oka Eliezer zniknął z izdebki. Wtedy Meir wyprostował się i rzekł do siebie:

— Nu! teraz ja im pokażę się! Niech wiedzą, że tu były uszy, które słyszeć mogły!

Mówiąc to otworzył niskie drzwiczki i wszedł do sąsiedniej izby.

Tu pod ścianą na trzech blisko ku sobie przysuniętych stołkach siedzieli trzej ludzie. Rozdzielał ich mały stół z prostego białego drzewa. Jankiel i Abram wspierali się na nim łokciami i nisko pochylali ku sobie głowy. Kalman siedział wyprostowany, wspaniały, błyszczący od okrywających go sajet i atłasów jak zwykle. Jankiel twarz miał płonąca od ceglastych, gorączkowych rumieńców, Abram był blady. Oczy pierwszego połykiwały ostro, chciwie, złośliwie, wzrok drugiego spuszczał się ku ziemi, w trosce jakby i srogiej niepewności. Ale plastycznego spokoju Kalmana nie zachwiać nie mogło. Policzki jego rumieniły się zwykłą czerstwością, a na pulchnych wargach spoczywał wiekuisty miodowy uśmiech doskonałego zadowolenia.

Gdy Meir otwierał drzwiczki, do uszu jego doszły jeszcze wyraźnie słowa stryja jego, Abrama:

— A jeżeli cały dwór spali się razem z podwałem?¹

— Aj! aj! aj! — odszepnął szydlerczy Kamionker — wielka bieda! Jeden edomita więcej żebrakiem robi się!

Nagle mówiący umilkł i zatrzęsł się cały od trwogi czy gniewu. Zobaczył otwierające się drzwiczki i wchodzącego przez nie Meira. Zobaczyli go też dwaj towarzysze jego. Uśmiechnięte usta Kalmana otworzyły się szeroko, czoło Abrama zmarszczyło się groźnie.

Meir widział wrażenie, które sprawiło wejście jego. Przystąpiwszy próg zatrzymał się na chwilę i wzrok utkwiał w twa-

¹ Podwał — miejscowa nazwa składu spirytualnych napojów wyrobionych w gorzelnii lub browarze.

rzy stryja swego. Wzrok to był przenikliwy, śmiały, ale zarazem taki jakiś pokorny, smutny i błagalny, że spotkawszy się z nim oczy Abrama niespokojnie zamigotały i spuściły się ku ziemi. Głowa jego, szarą siwizną okryta, pochyliła się także, a ręce opadły na kolana i drżeć zaczęły.

Meir z wolna przeszedł izbę i wnet znalazł się w innej, w której nikogo nie było oprócz stojącego pomiędzy ścianą a piecem Jochela. Stał on tam w wyczekującej jakby postawie, plecami łachmaniastego spencera wycierał nędzną pobiałą ścianę, a bezmyślnymi oczami spoglądał na bosc swe stopy.

Za odchodzącym ozwał się wykrzyk Jankiela:

— A ferszoltener! (przeklęty).

Abram i Kalman milczeli długo.

— Dlaczego ty, Jankielu, w takie złe miejsce nas przyprowadził? — flegmatycznie zapytał potem Kalman.

— Dlaczego ty nas nie ostrzegłeś, że za tymi drzwiami może kto być i słyszeć? — gwałtownie zaszeptał Abram.

Jankiel tłumaczył się, że za drzwiami tymi była izdebka syna jego, kantora, który dla interesów zupełnie obojętny jest, wcale ich nie rozumie, a czytając zawsze i modląc się nie w koło siebie nie słyszy.

— Skąd ja mogłem wiedzieć, że ten przeklęty dzieciak tam był? Którędy on wszedł? chyba przez okno, jak złodziej?

— Nu! — rzekł po chwili namyślając się i ośmielając — a co to szkodzi, że on słyszał? On Izraelitą jest! naszym! On pary z ust przeciwko swoim wypuścić nie będzie śmiał!

— On może śmieć — zauważył Kalman. — Ale my na niego oko mieć będziemy i jeżeli jego usta choć jedno słowo z siebie wypuszczą, zegnijemy go w łęk...

Abram wstał.

— Róbcie, co chcecie — rzekł porywczo — ja do tego interesu należeć nie chcę...

Jankiel rzucił na niego zjadliwe spojrzenie.

— Nu — rzekł — i owszem. Dla mnie i dla Kalmana za-

robek będzie większy... bo czyje ryzyko, tego i korzystać powinna być...

Abram usiadł. Ciężka walka malowała się na twarzy jego, wrażliwej, nerwowej, zbruzdzonej namiętnościami w różne kierunki.

Jankiel, który trzymał w ręku kawałek kredy, zaczął pisać nią na małej czarnej tabliczce.

— Osiem tysięcy wiader — mówił — po cztery ruble wiadro, trzydzieści dwa tysiące rubli. Trzy w trzydziestu dwóch tysiącach... dziesięć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć rubli sześćdziesiąt sześć kopiejek i jedna trzecia... Po sześćset rubli od każdego wezmą Jochel i Szmul, nu! dla nas będzie po dziesięć tysięcy sześćdziesiąt sześć rubli sześćdziesiąt sześć kopiejek i jedna trzecia.

Abram wstał znowu. Nic jednak nie mówił. Patrzył w ziemię i w obu rękach miał chustkę. Po chwili nie podnosząc oczów zapytał:

— A kiedy to nastąpi?

— To bardzo prędko nastąpi! — odpowiedział Jankiel.

Abram nic już więcej nie mówiąc i nie żegnając towarzyszy szybkim krokiem wyszedł z izby.

Śród obszernego placu zaczynał się ruch, gwar i turkot przybywających na wielki targ wozów i ludzi. Ludność całego miasteczka stała już na nogach gotując się do sprawiania w dniu tym licznych i najróżnorodniejszych interesów. W domu Ezofowiczów nikt też już nie spał; wstano tam także wcześniej niż zwykle.

W tej stronie domu, którą zamieszkiwali z rodzinami swymi Rafał i Ber, słychać było kilka głosów męskich rozmawiających ze sobą żywo, głośno i wesoło. Wymieniano tam różne przedmioty handlu i przy każdym z nich stawiano liczne szeregi cyfr. W rozmowę tę mieszało się od czasu do czasu opo-

wiadanie jakieś, śpiewnym głosem wypowiedane, a po nim następowały wykrzyki zdziwienia, tłumne zapytania albo wesołe śmiechy. Czuć tu było pokój i zadowolenie ludzi pracujących gorliwie około dobrobytu swego i rodzin swych, lecz troskę o sprawy życiowe osładzających sobie wzajemną otwartością, ufnością i przyjaźnią.

W dużej, widnej bawialnej izbie pachnącej jedliną, której gałązkami usypano dnia tego podłogę staranniej jeszcze niż zwykle wymyta i wymiecioną, na starej żółtej kanapie przed stołem zasłanym barwistą serwetą siedział Saul w odświętnym ubraniu z błyszczącej sajety, w aksamitnej czapeczce na srebrzystych włosach i zwolna szczerosrebrną łyżeczką popijał woniejącą, wyborną herbatę. Ogromny, błyszczący jak złoto samowar nie stał poranku tego, jak zwykle, na szafie, przez szyby której przeglądały dostatnie naczynia kuchenne i stołowe, lecz żarzył się węglami i buchał parą w sąsiedniej izbie wielkiej, czystej, ławami i stołami dokoła ostawionej, a jaszkrawo oświetlonej szerokim płomieniem ogniska roznieconym w wielkim kuchennym piecu. Nastawienie ogromnego samowaru tego, szerokość kuchennego ogniska, żwawe krzątanie się około niego niewiast i dość licznej służby domowej, a także odświętne ubranie Saula i niepokalana białość firanek ozdabiających okna bawialnej izby objawiały, że w domostwie bogatej rodziny kupieckiej spodziewano się dnia tego licznych gości i na przyjęcie ich czyniono wesołe i uprzejme przygotowania.

Teraz przecież ranek był wczesny jeszcze i stary Saul siedział sam jeden lubując się widocznie atmosferą ładu i dostatku, która go otaczała, jak też odgłosami rozmów i krzotań się napełniających od szczytu do podstaw dom obszerny i ludny. Była to jedna z chwil, dość częstych zresztą, które poważnemu patriarchalnego starożytnego rodu w całej pełni uczuć dawały wszystkie łaski i dostojeństwa obficie zlane przez Jehowę na błogosławioną starość jego.

Zaledwie jednak otworzyły się drzwi od sieni, a przez nie wszedł do izby Meir, pierzchnęła błogość napętniająca przegaste źrenice i rozjaśniająca zbrudzone czoło Saula. Widok wnuka przywiódł mu znać na pamięć bolący cień jakiś, o którym wśród wdzięcznego rozpamiętywania kwiatów żywota swego zapomniawszy był przez chwilę. Pierwsze też spojrzenie na młodego człowieka sprawiało wrażenie fałszywej, a raczej smutnej i burzliwej nuty wmieszanej w akord harmonijny i wesoły. Troska i niepokój malowały się na pobladłej twarzy jego, a w oczach płonął ogień wzburzonych uczuć i myśli. Wszedł do izby śmiało i prędko, ale gdy spotkał się wzrokiem ze spojrzeniem dziada, pochylił twarz i zwolnił nieco kroku. Niegdyś zbliżał się on do dobroczyńcy i ojca ojca swego z ufnością i pieszczotą ulubionego dziecka. Teraz jednak czuł, że pomiędzy nim a starcem tym, który wypiaśtował dzieciństwo i młodość jego, wznosiła się coraz wyższa i twardsza zaporą. Wiedział też, że zaporę tę wzniosł sam słowami i postępkami swymi; tęskno mu było za dawną czułością przygasyłych oczów tych, które teraz patrzyły nań surowo i gniewnie; toteż zbliżył się do dziada ze spuszczoną smutnie powieką, stanął przed nim w nieśmiałej postawie i proszącym, pokornym prawie głosem rzekł:

— Zejde! ja bym chciał z tobą o jednej ważnej rzeczy pomówić!

Na widok nieśmiałości tej, z jaką ulubione mu niegdyś dziecko zbliżało się do niego, na przyciszony i proszący dźwięk jego głosu, Saul mniej surowym stał się, a więcej smutnym.

— Mów! — odpowiedział krótko, lecz łagodnie.

— Zejde! czy pozwolisz mi zamknąć drzwi i okno, aby nikt rozmowy naszej posłyszeć nie mógł?

— Zamknij! — odpowiedział Saul i z pewnym już niepokojem oczekiwał dalszej rozmowy z wnukiem.

Meir zamknął drzwi i okno, a blisko dziada stanawszy zaczął:

— Zejde! ja wiem, że słowami moimi przyniosę tobie znowu zmartwienie i kłopot. Ale do kogóż udać się mam? Ty dla mnie byłeś ojcem i dobroczyńcą... do ciebie naprzód ciągnie mnie serce w każdej zgryzocie mojej...

Głos jego zadrżał. Widać mu było z twarzy, że głęboka czułość serca ciągnęła go do kolan i w ramiona starca tego, który zmiękczonej widocznie, z rozbłysłym nagle okiem, odpowiedział:

— Mów wszystko! Chociaż ja mam przyczyny gniewać się na ciebie, bo ty nie jesteś takim, jakim pragnie widzieć cię dusza moja, nie zapomnę ja nigdy o tym, że jesteś synem syna mego, który prędko bardzo z oczów moich zniknął... Jeżeli ty kłopot jaki masz, ja go z głowy twojej zdejmę, a jeżeli tobie kto krzywdę jaką wyrządził, ja stanę naprzeciw krzywdziciela twego i ukarzę go za ciebie...

Na Meira słowa te wywarły wpływ ośmielający i pocieszający.

— Zejde! — rzekł śmielszym już głosem — na głowie mojej, dzięki tobie, kłopotu żadnego nie ma i mnie nikt krzywdy żadnej nie wyrządził. Ale ja o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się i nie wiem sam, co z nim robić. Zataić go w sobie ja nie mogę, bo jeżeli ja go zataję, na świecie stanie się wielki jeden grzech, a na cały lud izraelski wielki wstyd spadnie. Więc ja sobie pomyślałem, że o sekrecie tym tobie, zejde, powiem, żebyś ty z siwymi włosami swymi i z powagą swoją, którą nad duszami ludzkimi masz, grzechowi i wstydowi na przeszkodzie stanął...

Teraz już Saul wpatrywał się w twarz wnuka wół z ciekawością, wół z niezadowoleniem.

— Nu! — rzekł — lepiej daleko tym ludziom jest, którzy żadnych sekretów strasznych nie przenikają i nigdy o nich ust swoich nie otwierają. Ale ja boję się, że kiedy ty nie otworzysz serca swego przede mną, otworzysz je przed innymi ludźmi

i znowu z tego nieprzyjemności jakie wypadną... Mów! jaki to jest ten straszny sekret?

Meir odpowiedział:

— Sekret ten jest taki: Jankiel Kamionker trzyma w posesji od Kamiońskiego dziedzica wielką gorzelnię jego... On w tej gorzelni wypędził sześć tysięcy wiader wódki, ale nie sprzedawał jej przez całe lato. On jej nie sprzedawał dlatego, że cena niska była. Teraz cena podskoczyła w górę i on ją sprzedać chce, ale podatku, który od niej rząd bierze, zapłacić nie chce...

— Mów ciszej! — przerwał nagle Saul, którego twarz zdradzała wzrastający niepokój.

Meir głos zniżył do szeptu prawie:

— Żeby podatku nie zapłacić, Kamionker wódkę tę wykrał ze dworu i przeszłej nocy przewiózł ją pod karaimskie wzgórze, gdzie ją szynkarze z różnych stron targowali i rozkupywali... Ale on pomyślał sobie: „A co będzie, jak urzędnik przyjedzie rewidować podwał i wódki nie znajdzie?... Wielka będzie odpowiedzialność za to i wielki sąd...” Jak on tak pomyślał, to on dwóch ludzi najął... Zejde! on dwóch nędzarzy pieniędzmi skusił...

— Sza! — zawołał nagle przyciszonym głosem Saul. — Milcz, i niech żadne słowo więcej z ust twoich nie wyjdzie! Już ja końca twojej mowy domyśliłem się!

Ręce starca drżały, siwe brwi jego zsunęły się i zjeżyły. Meir umilkł i pełnymi niespokojnego oczekiwania oczami patrzył na dziada.

Saul milczał długo, potem nie podnosząc spuszczonego powiek niepewnym głosem wymówił:

— Twoje usta kłamstwo wyrzekły. To nie może być!

— Zejde! — zaszeptał Meir — to prawda jest taka, jak te słońce, co dziś na niebie świeci! A dlaczego to nie może być! Czy ty, zejde, nie słyszałeś, że wypadki takie przytrafiały się już zaprzeszłego roku i przeszłego roku w różnych stro-

nach... Takie wypadki, zejde, przytrafiają się coraz częściej, a od nich każdemu prawemu izraelicie serce ściska się od bóleści, a czoło pali się od wstydu!...

— Skąd ty to wszystko możesz wiedzieć? Skąd ty to wszystko tak dobrze możesz rozumieć? Ja tobie nie wierzę!

— Skąd ja to wszystko mogę wiedzieć i rozumieć? Zejde! ja w twoim domu chowałem się. A do twego domu wielu zawsze ludzi przychodziło i przyjeżdżało: żydów i chrześcijan, kupców i panów, bogatych i biednych... Oni z tobą o interesach rozmawiali, a ja słuchałem i rozumiałem. Czemuż ja teraz nie mam rozumieć?...

Saul milczał znowu. Najsprzeczniesze uczucia malowały się na twarzy jego, głęboko zaniepokojonej. Nagle gniew na wnuka wezbrał mu w piersi.

— Ty zanedto rozumiesz! — zawołał — ty zanedto ciekawy jesteś! Dusza twoja pełna niespokojności niespokojność wszędzie roznosi! Ty mnie spokój mojej starości trujesz! Ja dziś szczęśliwy byłem, dopóki ciebie oczy moje nie zobaczyły! Jak ty wszedłeś, weszła z tobą zgryzota!

Meir pochylił głowę.

— Zejde! — rzekł smutnie — za co ty mnie łajesz? Ja nie ze swoim interesem do ciebie przyszedłem...

— A na co tobie do cudzych interesów mieszać się? — z dziwnym jakimś wahaniem się w głosie zawołał znowu starzec.

— To nie jest cudzy interes! — żywiej już odparł Meir. — Kamionker Izraelitą jest... on nasz... a na co on brzydkimi postępками swymi duszę Izraela psuje i sławę jego przed światem plami?... Zejde! i dla ciebie interes ten cudzym nie jest! Syn twój, Abram, do interesu tego należy!

Saul podniósł się nagle z kanapy i znowu na nią opadł.

— Syn mój, Abram! — zawołał.

Potem bystrym, przenikliwym spojrzeniem przeszył twarz Meira.

— Ty nie kłamiesz?

— Ja widziałem i słyszałem... — szepnął Meir.

Saul namyślał się długą chwilę.

— Nu! — rzekł z wolna — ty masz prawo skarżyć się przede mną na stryja swego! On brat twego ojca i z jego postępków spaść może wielkie nieszczęście i wielka hańba na ciebie i cały ród nasz. W rodzie Ezofowiczów takich paskudnych rzeczy nigdy nie bywało i ja synowi memu zabronię do interesu tego należeć...

— Zejde! powiedz ty także Kamionkerowi i Kalmanowi, żeby oni tego nie robili!

— Ty głupi jesteś! — rzekł Saul — czy Kamionker i Kalman są synami mymi albo mężami moich córek? Oni mię nie posłuchają!

— Jeżeli oni nie posłuchają — zawołał Meir — to ty, zejde, oskarż ich przed dziedzicem Kamiońskim... oskarż ich przed sądem!

Saul podniósł na wnuka wzrok nagle roziskrzony.

— Twoje rady głupie są! — zawołał z wybuchem — twoje serce napojone żółcią i piołunem przeciw narodowi własnemu! Co to! ty z dziada swego donosiciela chcesz zrobić! ty chcesz, żeby dziad twój głowy braci swych, Izraelitów, niebezpieczeństwu poddawał!

Chciał jeszcze coś mówić, ale w tej chwili otworzyły się drzwi i do izby weszło kilku Izraelitów przybyłych z sąsiedztwa na targ szybowski. Byli to poważni i zamożni kupcy lub dzierżawcy sąsiednich dóbr wiejskich. Saul przypodniósł się nieco na ich powitanie, ale oni szybko ku niemu podeszli za ręce go ściskali i wraz z uprzejmymi pozdrowieniami oświadczały, iż celem przybycia ich do Szybowa były mniej interesa, które tu dnia tego sprawiać mieli, jak chęć odwiedzenia mądrego i wysoce przez nich szanowanego reba Saula. Reb Saul na grzeczności gości wzajemnymi grzecznościami odpowiadał, poważnym gestem wskazał im krzesła dokoła stołu

stojące, a sam nie opuszczając poczęstnego miejsca swego na żółtej kanapie w ręce chude i pomarszczone głośno klasnął. Hasło to wywołało z sąsiedniej izby hożą dziewczkę służącą, która na srebrnej tacy kilka szklanek herbaty wniosła i przed gośćmi je ustawiła. Oni za gościnność przyjęcia sędziwemu gospodarzowi z uśmiechami i ukłonami dziękowali, herbaty, której mocna woń rozeszła się po izbie, z wyraźną przyjemnością zakosztowali i wnet o interesach swych handlowych i sprawach rodzinnych żywe opowiadania i rozmowy wieść zaczęli.

Meir ujrzawszy, że daremnie oczekiwałby teraz na możliwość dalszego rozmawiania z dziadem, usunął się do wielkiej kuchennej izby, w której wrzało teraz jak w garnku. Tu także znajdowali się goście, całkiem tylko niepodobni do tych, których w bawialni ugaszczwał naczelnik domu.

Na ławach u ścian stojących siedziało tu kilkunastu mężczyzn w ubogich, znoszonych ubraniach, a córka Saula, Sara, wraz z synową jego, żoną Rafała, uprzejmie z nimi rozmawiając częstowały ich czarkami miodu, wielkimi, białymi chałami i dymiącym się w misach krupnikiem. Siedzący na ławach ludzie odpowiadali uprzejmym gospodyniom domu wesoło, ale trochę nieśmiało, a za ofiarowane im pożywienie pokornie bardzo dziękowali. Pochodzili oni bowiem z ubogiej klasy okolicznych pachciarzy, szynkarzy, faktorów, przekupniów trudniących się drobnym handlem. Ciemne twarze ich, chude ciała i zgrubiałe ręce objawiały życie ubóstwa, trosk i ciężkiej walki o byt. Najdrobniejszy pieniądz wydany za domem na konieczne pożywienie byłby dla nich wydatkiem i uszczerbkiem znacznym; przybывая też na targi do Szybowa dążyli oni wprost ku domostwu Ezofowiczów, którego drzwi szeroko i gościnnie otwierały się przed nimi zawsze, a w którym ugaszczanie ich chętne i dostatnie zwyczajem było trwającym od paru już setek lat.

Dwie kobiety więc, w jedwabnych spódnicach wysoko podniesionych, w złotych kołcach i kwiecistych czepcach, z uśmie-

chami na rumianych ustach, krzątały się żwawo pomiędzy piecem kuchennym, z którego buchał jaskrawy blask ognia, a otwartymi oknami, u których obsiadali ławy pokorni i wdzięczni ich goście. Ale i za oknami jeszcze ukazywały się tłumnie tam nagromadzone twarze i wyciągające się ręce. Tam już był zbiór braci najuboższych, na targ przybyłych nie w celu handlów i zarobków, ale dla obudzenia miłosierdzia szczęśliwszych swych współwyznawców. Z łachmanów, które ich okrywały, poznać można było żebraków, różnymi kolejami losu w ostateczne ubóstwo strąconych, a których miłosierdzie publiczne, jakkolwiek w gminie szybowskiej dość szeroko rozwinięte, ogarnąć sobą nie zdołało. Ludziom tym dziewczki służące rozdawały przez okna chleb, zsiadłe mleko i drobną miedzianą monetę. Gwar dziękczynień ich i błogosławieństw wnikał do izby i błogo znać rozlegał się w sercach dwóch gospodarujących kobiet, bo uśmiechały się one coraz weselej i dumniej i z głębokich kieszeni swych wyjmowały coraz nowe garście miedzianych monet.

Ale i w innej stronie izby kuchennej wesołe i gwarne odbywały się sceny. Gromadka dziatwy domowej, z kilkunastu chłopców i dziewcząt najróżniejszego wieku złożona, skupiła się tam pod ścianą, w odświętnych ubiorach i z odświętnymi łakociami przy ustach. Starsi chłopcy milcząc przypatrywali się przybyłym i przybywającym wciąż obcym ludziom i ciekawie rozmów ich słuchali; dziewczynki zdawały się, przeciwnie, nic nie widzieć dokoła siebie, tak zajęte były barwnymi spódniczkami, w które je przybrano, sznurami paciorek, które otaczały ich szyje, i długimi wstęgami, którymi związane im płowe lub czarne warkocze. Działwa najmłodsza pełzała po ziemi wrzaskliwie śmiejąc się albo płacząc, a wszystko to żarliwie zjadało złociste obwarzanki albo wielkie kawały chleba błyszczące grubą warstwą miodu. Tuż obok gromadki tej pra- i praprawnuków siedziała na ławie prababka Frejda. Dnie dzisiejszemu podobne gwarem swym i tłumem napły-

wających do domu obcych twarzy wstrząsały drżącym jej umysłem i budziły w nim wspomnienia dawnej przeszłości. W dniach takich przed pamięcią prastarej kobiety migotały obrazy własnej przeszłości jej, obrazy dni, w których szczęśliwą małżonką ukochanego Hersza swego będąc tradycje i zwyczaje domu jego przyjęła ona za swoje i do utrzymania ich w całej świetności przykładła się całą siłą serca swego, głowy i rąk. Toteż i dziś złotawe źrenice jej przytomniej niż zwykle spoglądały dokoła, a na wargach zaledwie widzialnych rozkwitał uśmiech doskonałego zadowolenia. Wnuczki obudziły ją wcześniej niż zawsze, podniosły z łóża, przyoblekły w najkosztowniejszą i najkwiecistą szatę, a teraz przed wprowadzeniem jej do bawialni, gdzie zwykle miejsce swe u okna na najparadniejszym w domu fotelu zająć miała, strój jej uzupełniały. Czarnooka Lijka spinała zawój prababki diamentową gwiazdą, jedna z młodszych sióstr jej wkładała w jej uszy olbrzymie kolce z brylantów, druga owijała pomarszczoną jej szyję sznurami pereł i ciężki złoty łańcuch układała na piersi, aby jak najpiękniejsze układał wzory wśród śnieżnej bieli fartucha. Czyniąc to wszystko uśmiechały się młode dziewczyny, odchyłały nieco głowy dla lepszego przyjrzenia się własnemu dziełu, niekiedy spoglądały figlarnie w złotawe źrenice prababki albo głośnie całusy składały na pomarszczonym jej czole. Pachciarze, arendarze, ubodzy przekupnie spoglądali na grupę tę złożoną ze stuletniej rodzicielki rodu i strojących ją hożych dziewcząt, kołysali głowami w podziwie nad wielką starością jej, bogactwem jej klejnotów i otaczającą ją miłością; z ust ich wychodziły cmokania i wykrzyki zachwyty, a oczy pełne były rozrzewnienia i czci.

Druga za to strona domu, ta, w której przed kwadransem rozlegały się żywe i wesołe rozmowy dojrzałych członków rodziny, pustą teraz była i cichą zupełnie.

Meir przeszedł wąski korytarz i otworzywszy drzwi mieszkania stryja swego, Rafała, spotkał się w progu z wybiega-

jącym stamtąd młodym swym bratem stryjecznym i przyjacielem, Chaimem. Dziecinna jeszcze prawie twarz Chaima, ocieniona kędzierzawymi, złotawymi włosy, ożywioną była i rozpromienioną niezmiernie.

— Gdzie stryj Rafał? — zapytał go śpiesznie Meir.

— Gdzie on ma być? — z nadzwyczajnym pośpiechem odpowiedział młody chłopak. — Poszedł z Berem woły na rynku kupować!

— A ty, Chaim, gdzie idziesz?

Chłopak zapytania tego nie usłyszał nawet. Niecierpliwie usunął z drogi brata i wkładając na głowę czapeczkę z wesołym nuceniem wybiegł z domu. Jego także rozweselił gwar i ruch dnia tego i nęciły ku sobie tłumne widowiska i różnorodne targi miejskiego rynku.

Meir wyszedł na ganek i rozejrzał się po obszernym placu. Targ rozpoczynał się zaledwie, ale obok kilkudziesięciu wozów, które zebrały się po samym jego środku, zobaczył on Bera zawzięcie już rozprawiającego z gromadką wieśniaków, u której targował kilka rosłych, u wozów stojących wołów. Rafała Meir dostrzegł także. Stał on na ganku jednego z domostw otaczających rynek wraz z kilku poważnymi kupcami przybyłymi z sąsiedztwa i toczył z nimi ożywioną rozmowę, której treść poznać można było po gestach żywych, którymi poruszały się ręce ich, liczące jakby na palcach przewidywane na dziś wydatki i zyski.

Zbliżać się do dwóch tych ludzi, najpoważniejszych po Saulu w rodzinie, i chcieć z nimi rozpoczynać rozmowę nie tyczącą się bezpośrednio spraw dnia dzisiejszego daremnym by było. Meir wiedział o tym i daremnych prób nie czynił. Świat cały, tak pstro i ruchliwie otaczający go dnia tego, widział on jak przez mgłę lub sen. Dziwnym wydawało mu się, że nikt spomiędzy ludzi tyłu nie myślał o tym, o czym on nie mógł przestać myśleć, choćby chciał.

„Co mi do tego? — mówił sobie w duchu. — Co ja mo-

gę?“ — dodawał i smętnym wzrokiem spoglądał dokoła, a ktokolwiek by wtedy patrzył na niego, rzec by mógł, iż zdruzonym on był albo zmęczonym. Lecz w głębi piersi wrzało mu i kipiało. Nie zdawał sobie sprawy z uczuć swych, ale czuł, że czekać w milczeniu pory, w której wszystko w miasteczku uspokoi się i ucichnie, a za miasteczkiem błysnie na niebie ognista łuna pożaru — nie podobna mu będzie.

— Co ten człowiek zawinił nam? — mówił do siebie.

Myślał o dziedzicu Kamiońskim.

Wzrok jego, niepewny, zwątpiały, błędząc dokoła rynku padł na ganek przyozdabiający dom kupca Witebskiego. Na ganku tym stał sam właściciel domu w rozwartym z przodu półkrótkim surducie, z błyszczącym łańcuchem na atlasowej kamizelce. Palił on cygaro i spoglądał na rozpoczynający się wśród rynku ruch targowy ze spokojną miną człowieka, który w ruchu tym żadnego udziału brać nie zamierza. W istocie, handlując przeważnie drzewem, które w ogromnych ilościach skupowywał u właścicieli wiejskich kilku powiatów, Witebski spraw żadnych na targu szybowskiem mieć nie mógł. Zbyt wytwornym był zresztą i przekonany o ważności prowadzonych przez się interesów, aby w pstry motłoch ten, zajęty detaliczną sprzedażą zboża i bydła, mieszać się chciał.

Meir zbiegł ze wschodów ganku i szybko zmierzał ku Witebskiemu, który ujrawszy go uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął doń szeroko roztwartą rękę.

— Aj! aj! — zawołał — rzadki gość! miły gość! Nu! ja wiem, że ty do tego czasu przyjść tu nie mogłeś, ażeby rodzicom narzeczonej swojej pokłon oddać! Srogi zejde w bet-ha-midrassu siedzieć kazał i Talmud czytać! Nu! nic to nie znaczy! Zejde dobry jest, kochany staruszek! On nie ze złego serca ciebie ukarał i ty nie ze złego serca zgrzeszył! Zwyczajnie młody... poswawolił trochę... Nu! chodź do naszego salonu, a ja zaraz swojej żonie powiem, żeby przysłała i przyjmowała ciebie, jak kochanego zięcia!

W ten sposób przemawiając światowy kupiec uśmiechał się wesoło, poglądał na przyszłego zięcia swego przyjaźnie i za rękę trzymając wiódł go z sobą do salonu. Tam przed zieloną rypsową kanapą zatrzymując się figlarnie spojrzał mu w oczy i dodał:

— Że ty, Meirze, skromny jesteś i narzeczonej swojej wstydzisz się, to dobrze! ja to lubię! ja sam taki byłem i nasi wszyscy młodzieńcy takimi powinni być! Ale moja córka edukowana jest i na wielkim świecie żyła, gdzie zwyczajne inne są. Ona bardzo dziwi się i płacze, że narzeczonego swego nie zna, wtedy gdy ślub i wesele za miesiąc już nastąpić mają. Nu! ja pójdę, przyprowadzę ją tutaj! Okna pozamykam, żeby nikt nie widział, że wy tu razem jesteście. Pogadajcie z sobą trochę... poznajcie się...

Mówiąc to chciał odejść, ale Meir przytrzymał go za rękaw surduta.

— Rebe! — rzekł — mnie teraz nie narzeczona i nie wesele w głowie siedzą! ja do ciebie z innym zupełnie interesem przyszedłem...

Witebski spojrzał przenikliwie w poważną i pobladłą nieco twarz młodego człowieka i spochmurniał nieco.

— Nie ze swoim interesem ja do ciebie, rebe, przyszedłem... — mówił dalej Meir, ale Witebski mowę mu przebił:

— Jeżeli to nie twój i nie mój interes, to na co my mamy o nim mówić!

— Bywają na świecie takie interesy — odparł młody człowiek — które do wszystkich należą i wszyscy o nich mówić i myśleć powinni.

Mówiąc tak miał zapewne na myśli to, co w cywilizowanym języku nosi imię spraw publicznych. Nazwy tej nie znał, ale głęboko i gorąco czuł rzecz, którą ona wyraża.

— Ja dziś o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się...

Witebski poskoczył z fotela, na którym usiadł był przed chwilą.

— Ja o żadnym strasznym sekrecie wiedzieć nie chcę! — zawołał. — Po co ty masz mi o nim mówić? Ja nie ciekawy!

— Po to, rebe, żebyś ty jemu na przeszkodzie stanął...

— A na co ja mam stawać? a co mnie do tego? a dlaczego ty do mnie z takim gadaniem przyszedł?

— Dlatego, rebe, że ty bogaty jesteś i pięknie mówić umiesz i z całym światem zgodę trzymasz, nawet z samym wielkim rabinem, który aż uśmiecha się, jak ciebie zobaczy. Twoje słowo wiele może i żebyś ty chciał...

— Ja nie chcę! — przerwał Witebski ze stanowczością w głosie i chmurą na czole. — Ja bogaty jestem i zgodę ze wszystkimi trzymam, to prawda, ale ja tobie coś powiem, Meir.

Tu zniżył głos i dodał:

— Żebym ja w sekrety ludzkie wdawał się i interesom cudzym na przeszkodzie stawał, ja bym ani bogaty nie był, ani zgody z nikim nie znalazł i mnie by nie było tak dobrze na świecie, jak teraz jest...

— Rebe! — po chwili namysłu rzekł Meir — mnie bardzo miło słyszeć, że tobie na świecie dobrze jest, ale ja bym nie chciał, żeby mi dobrze było przez krzywdę ludzką...

— Nu! a kto mówi o krzywdzie? — uśmiechając się rzekł Eli — ja nigdy nie krzywdzę nikogo... ja handluję uczciwie i wszyscy, z którymi handluję, kontenci ze mnie są i przyjaźń dla mnie mają... Ja, dziękować Bogu, wszystkim ludziom śmiało w oczy patrzeć mogę i na majątku, co go dla dzieci moich zbieram, nie ma łzy ani szkody cudzej...

Meir z uszanowaniem głowę przed mówiącym pochylił.

— Ja wiem, rebe, że tak jest, jak powiedziałeś. Ty interesy swoje uczciwie prowadzisz, a uczciwością swoją i tym rozumem, który ci Przedwieczny dał, honor domowi Izraela przynosisz. Ale mnie się zdaje, że kiedy człowiek sam uczciwym jest, to on na cudzą nikczemność obojętnie patrzeć nie powinien, bo kiedy on może przeszkodzić krzywdzie ludzkiej,

a nie przeszkodzi, to tak jest, jakby on sam krzywdę tę sprawił. Ja dowiedziałem się, że człowiekowi niewinnemu przez jednego z braci naszych Izraelitów wielka krzywda stać się ma... Sam ja nie nie mogę, ale szukam ludzi takich, którzy mogą niewinnego od nieszczęścia ratować...

Tu najniespodzianie w świecie przerwał mówiącemu głośny i wesoły śmiech Witebskiego, który wstał z fotelu i żartobliwie gościa swego po ramieniu poklepał.

— No, no! — rzekł — już ja widzę, że u ciebie, Meir, gorąca głowa! Ty chcesz z niej kłopot jakiś wyjąć i w moją głowę go włożyć! Nu! ja tobie bardzo pięknie za prezent ten dziękuję, ale go od ciebie nie wezmę! Daj pokój! po co my mamy życie sobie truć, kiedy dzisiejszy dzień może być dla nas bardzo wesoły? Ot, siadaj tu sobie na tym fotelu, a ja pójdę i narzeczoną twoją tobie przyprowadzę. Ty nie słyszałeś jeszcze jej muzyki!... aj! aj! jak ona gra! Dziś nie sabat i ona będzie mogła pograć sobie trochę, a ty posłuchasz...

Mówiąc to z ożywieniem i figlarnością w głosie i wzroku odejść chciał, ale Meir przytrzymał go znowu za rękaw odzienia.

— Rebe! — zawołał — wysłuchaj ty mię przynajmniej...

Witebskiemu niecierpliwie trochę oczy błysnęły. Śmiejąc się jednak odpowiedział:

— Aj! aj! Meir! jakim ty swawolnikiem jesteś! Ty chcesz starszych od siebie ludzi gwałtem przymuszać do tego, czego oni robić nie chcą. No! ale ja ci to przebaczam i idę, żeby narzeczoną twoją tu zawołać...

Mówiąc to posunął się znowu ku drzwiom, ale Meir raz jeszcze zastąpił mu drogę.

— Rebe! — zawołał — ja ciebie nie puszcze, póki ty mię nie wysłuchasz! Bo do kogóż ja więcej udam się? Dziś wszyscy zajęci gośćmi i interesami swymi... ty jeden, rebe, nic nie robisz i czas masz...

Umilkł, bo Witebski przestał uśmiechać się i z chmurą

niezadowolenia na pogodnym zazwyczaj czole poważnym gestem dłoń mu na ramieniu położył.

— Słuchaj, Meir — rzekł — ja tobie coś powiem. Ty na niedobrą drogę wszedłeś. Wszyscy ludzie głośno o tym gadają, i są tacy, co bardzo na ciebie za to gniewają się, ale ja tobie pobłażam. Pobłażam ja tobie dlatego, że sam nie zawsze tak myślę, jak wszyscy, i wiem, że niektóre rzeczy u nas, w Izraelu, inaczej być powinny, niż są. Nu! ja tak myślę, ale ja tego nigdy nie mówię i po sobie nie okazuję! Na co ja mam mówić i okazywać? co ja pomogę? Jeżeli to Pan Bóg rzeczy te takimi zrobił, to ja sprzeciwiając się Jemu obróciłbym Go przeciw sobie, a jeżeli to ludzkie wymyslenia i omyłki są, to i beze mnie przyjdą ludzie tacy, co je przerobią. Moja rzecz siebie, swojej familii i swoich interesów patrzeć. Czy ja sędzia? ja i nie rabin! Więc ja sobie milczę, Panu Bogu i ludziom dogadzam, nikomu w drogę nie włożę i spokojnie sobie żyję. Ot, jak ja robię, i chciałbym, żebyś ty, Meirze, tak samo robił. Ja bym i tobie rad swoich nie dawał i pozwalałbym tobie żyć według swoich chęci, ale kiedy ty mężem mojej córki masz zostać, to ja na ciebie oko muszę już mieć...

— Rebe! — przerwał Meir, któremu w rozognionych źrenicach migotać zaczynały łzy rozdrażnienia — nie gniewaj się na mnie za zuchwałe słowo, które ja tobie powiem. Ja córki twojej za żonę swoją nie pojme i mężem jej nigdy nie będę!...

Witebski osłupiał ze zdumienia.

— Nu! — zawołał po chwili — a to znów jaką ja nowość słyszę? Czyż dziad twój nie umówił się ze mną o moją Merę, a potem czy nie przysłał od ciebie dla niej zaręczynowych prezentów?

— Dziad mój umówił się z tobą — drżącym głosem odpowiedział Meir — ale on to zrobił przeciw mojej woli.

— Nu! — z najwyższym już zdumieniem zawołał Witebski — a dlaczego? Co ty masz przeciw córce mojej?

— Ja, rebe, przeciw niej nic nie mam, ale mnie serce

do niej nie ciągnie. I ona także, rebe, nie chce mię... Ja przechodząc koło waszych okien, słyszałem raz, jak ona płakała i skarżyła się, że ją chcą za prostego, ciemnego Żyda wydać. Nu! to prawda! ja prosty, nieedukowany Żyd... ale jej edukacja mnie także nie w guście... Po co na nią i na mnie łańcuchy nakładać?... My już nie dzieci i wiemy, czego żąda dusza nasza, a czego nie żąda...

Witebski osłupiałym wciąż okiem na mówiącego patrzył. Obie ręce podniósł ku głowie i zawołał:

— Czy moje uszy dobrze słyszały? czy mój rozum dobrze słowa twoje zrozumiał? Ty nie chcesz mojej córki? ty nie chcesz mojej pięknej i edukowanej Mery?

Rumieniec wytrysnął mu na czoło. Łagodny i dyplomatyczny światowiec zmienił się w obrażonego i rozgniewanego ojca. Lecz w tejże chwili ze stukiem i tuż przy rozmawiających roztworzyły się drzwi prowadzące do dalszych pokoiów mieszkania i w progu, z twarzą w ogniu i płomiennymi oczami, zjawiła się pani Hana. Kończyła znać ona przed chwilą toaletę swą, ale nie skończyła jej jeszcze, nie miała bowiem na sobie zwykłej jedwabnej sukni, ale tylko krótką, czerwoną spódniczkę i luźny szary kaftan. Przednia część jej peruki starannie już była ufryzowana i uczesana, ale z tyłu wisiał nie spleciony jeszcze i sznurkiem tylko u głowy związany warkocz. W progu zjawiła się i krzyknęła:

— Ja wszystko słyszałam!

I nie mogła mówić dalej, tak była wzburzoną. Pierś jej dyssała szybko, z oczów sypały się iskry. Poskoczyła na koniec ku Meirowi, ramiona szeroko roztworzyła i krzyknęła:

— Co to? ty córki mojej nie chcesz? ty, prosty, ciemny Żyd z Szybowa! ty nie chcesz za żonę swoją wziąć takiej pięknej panny, z taką wielką edukacją! Pfuj! głupiec, miszugiener! rozpustnik!

Witebski próbował miarkować uniesienie żony przytrzymując ją za łokieć i sycząc jej w same prawie ucho:

— Sza! Hana! Sza!

Ale cała dystynkja układu, cała dbałość o estetyczne wyglądanie osoby własnej opuściły w tej chwili najzupełniej panią Hanę. Miotła się wciąż przed Meirem, ściśnioną pięścią wygrażała mu przed samą prawie twarzą i krzyczała:

— Ty Mery nie chcesz? ty córki mojej nie chcesz? Aj! aj! jaka bieda! my przez to ze zgryzoty poumieramy! Ona sobie już męża nie znajdzie i po tobie oczy wypłacz! Oj! oj! tyle biedy, że jej głupi, ciemny Żyd szybowski za żonę wziąć nie chce! Ja ją do Wilna powiozę i za jenerała, za grafa, za samego księcia ją wydam! Pfuj! co ty sobie myślisz? że dziad twój, Saul, bogaty kupiec jest i że ty sam po ojcu wielki majątek masz, to już ty wielki puryc i tobie wszystko można! Ja pokażę twemu dziadowi i twojej całej rodzinie, że my o was tyle dbamy, co o stary pantofel!

Eli okna i drzwi starannie zamykał, a pani Hana ku komodzie jesionowej w pobliżu fortepianu stojącej poskoczyła, szufladę odsunęła i z niej pudełka różne z kosztownościami wyjmować zaczęła.

— Na! — krzyknęła rzucając pudełka na ziemię — na! masz nazad swoje prezenty! Zanieś je tej karańskiej dziewczynie, z którą romans prowadzisz! Ona dla ciebie żoną będzie jak raz!

— Sza! — rozpaczliwie już syknął ku żonie Witebski i pudełka z kosztownościami z ziemi podnosić zaczął. Ale wyrwała mu je z rąk pani Hana.

— Ja to sama dziadowi jego odniosę i zaręczyny zerwę — mówiła.

— Hana! — perswadował mąż — ty głupstw tam narobisz... ja sam pójde i rozmówię się z Saulem.

Ale pani Hana nie słyszała nawet słów męża.

— Pfuj! — krzyczała — ten głupiec, ten wariat, ten rozpustnik mojej córki nie chce! jemu karańska dziewczyna od mojej córki lepsza! Nu! to i chwała Bogu, że my jego po-

zbędziem się! ja Merę do Wilna powiozę i za wielkiego barona wydam!

Było już koło południa, gdy Meir domostwo Witebskich opuścił, ścigany łajaniem i złorzeczeniami pani Hany, a cichymi wymówkami i pojednawczymi słowami Elego.

Na rynku wrzał już w całe pełni ruch targowy. Obszerna przestrzeń okrytą była wozami, ludźmi, końmi i byłem tak ściśle, że najmniejszy choćby przedmiot nie pomieściłby się już w tłumie tym gęstym, pstrym, krzyczącym tysiącami głosów i mrowiącym się tysiącami głów ludzkich i zwierzęcych. Znajdował się wszakże w jednej stronie rynku kątek mniej nieco natłoczony. Wznosiła się tam dość wysoka ściana lichopobielonej budowy jakiejś, a pod białawą ścianą tą siedział na ziemi starzec przygarbiony w szarym, podartym, długim ubraniu, z grubą czerwonawą chustką okręconą w koło szyi. Nogi okryte obuwem znoszonym i opylonym przykrywały całkiem prawie, zgromadzone dokoła nich w znacznej ilości kosze i półkoszki z łozy uplecione, słomiane kobiałki i tym podobne okazy koszykarskiej roboty.

Był to Abel karaim.

Jakkolwiek dzień był letni i słoneczny, głowę okrywała mu wielka czapka, obłożona lisim futrem, żółtym i puszystym, spod niej spływały na plecy i ramiona jego gęste pasma białych włosów, a długa, żółtawa broda szerokim wachlarzem rozkładała się mu na piersiach. Promienie słońca padały na twarz jego, okrągłą, małą i zaledwie spod ogromnego zarostu widzialną; sierść lisiego futra opuszczała się mu na pomarszczone czoło, lecz od rażących blasków dnia nie chroniła oczu, których też nabrzmiałe i czerwone powieki mrużyły się, całkiem prawie zakrywając źrenice.

Obok starego Abła stała Gołda, wysmukła, prosta, poważna jak zawsze, z koralowym naszyjnikiem swym spuszczone

nisko na szarą koszulę i z opływającym plecy kruczym war-koczem.

O kilka kroków przed dwojgiem ludzi tych stały rzędy wozów obciążonych zbożem, drzewem i najrozmaitszymi prze-robami drobnych produkcji wieśniaczych; pośród wozów ry-czały woły i krowy, beczwały cieleta, rżały konie, uwijali się drobni faktorzy i przekupnie, z krzykiem wielkim targowali się o ceny towarów swych barczyści i łokciami w koło siebie tłum rozpychający wieśniacy. W tłumie tym nic więcej słyhać nie było jak krzykliwe wymienianie cyfr różnych, zacięte tar-gi, grube śmiechy, wszczynające się coraz kłótnie, wrzaskliwe płacze dzieci i piskliwe krzyki kobiet, a z całą wrzawą tą mie-szał się stary, chrypiący głos Abła, prawiącego niezmordo-wanie prastare izraelskie powieści. Kipiąca dokoła niego wrzawa nie zastraszała go znać, ale owszem, podniecała, bo im głośniejszą stawiała się, tym więcej on głos swój wysilał i podnosił, tak że słowa jego przez kipiątek ten wzburzonych gwarów przepływały wyraźne, choć drżące.

— A kiedy Mojżesz zstąpił z góry Synaj — mówił, a ra-czej wyśpiewywał donośnie stary, drżący głos Abła — z obli-cza jego biła światłość taka, że lud upadł na twarze i zawołał jako jeden człowiek: „Mojżesz! powtórz nam słowa Przed-wiecznego!“ I stała się wtedy na niebie i ziemi wielka ci-sza; grzmoty umilkły, błyskawice pogasły i wichry pokładły się na ziemię, a Mojżesz zawołał do siebie siedemdziesięciu izraelskich starców i kiedy oni otoczyli go, jak gwiazdy ota-czają księżyc, powtarzać zaczął ludowi słowa Przedwiecznego.

W tej chwili wyłonili się z wrzaskliwego tłumy dwaj lu-dzie poważnie, choć dość ubogo wyglądający i przechodzili koło opowiadającego Abła. Szli śpiesznie, ale wymówione imię Mojżesza dosłyszawszy stanęli i spojrzeli na Abła.

— On znów opowiada! — rzekł jeden.

— On zawsze opowiada! — dodał drugi.

Uśmiechnęli się, ale dalej nie poszli. Owszem, kobieta ja-

kaś i dwóch czy trzech wyrostków obok nich stało. Kobieta stanęła w nasłuchującej postawie i zapytała:

— Co on takiego opowiada?

— Historię i zakon izraelskiego ludu — spokojnie odpowiedziała Gołda.

Wyrostki pootwierali usta, kobieta bliżej ku Ablowi pochyliła głowę, dojrżeli mężczyźni uśmiechali się, ale stali i słuchali. Abel mówił dalej:

— Kiedy lud usłyszał rozkazania Pana, jednym głosem krzyknął: „Pełnić je będziemy!“ Wtedy Mojżesz oparł o górę Synaj dwanaście kamieni, wypisał na nich rozkazania Pana, a do ludu powiedział: „Izraelskie pokolenia, wszyscy, starzy, młodzieńcy, kobiety i dzieci, i każdy człowiek z Izraelowego domu, i cudzoziemiec, co się pomiędzy wami znajduje, i ten, co ścina drzewo, i ten, co czerpie wodę, przychodźcie wszyscy zawierać przymierze z Jehową, abyście zaprzysięgli pełnić rozkazania Jego, tak jak On przysiągł dotrzymać wam obietnic swoich!“

— Nu! — odezwał się pomiędzy otaczającymi głos jakiś — on piękne rzeczy pięknie opowiada.

— I ten, co ścina drzewa, i ten, co czerpie wodę... — powtórzył człowiek jakiś w nędznym ubraniu, westchnął przy tym i rzucił okiem ku roziskrzonym obłokom.

Kobieta z pochyloną ku Ablowi głową przysłuchująca się słowom jego uważnie wydobyla z kieszeni bezbarwnej spódnicy brudną chustkę i rozwiązawszy węzełek znajdujący się u jednego z jej końców rzuciła na kolana Abła wielką miedzianą monetę.

Za kilku osobami tymi stało teraz już kilka innych. O kilka zaledwie kroków od nieruchomej gromadki tej zajądło kupczyli, klócili się, krzyczeli ludzie żądni zarobku i zysku: żydzi i chrześcijanie, niewiasty, mężowie i podrastające zaledwie dzieci, lecz tu, pod białawą ścianą wysokiego płotu, kilkanaście jednostek od szumiącego tłumu tego oder-

wanych w milczeniu i skupieniu myśli, z uśmiechami na twarzach a westchnieniami w piersiach, mimo woli przerzuciło się duchem w świat inny, duchowy, wśród którego migotały obrazy i rozlegały się głosy prastarej, wspaniałej, świętej przeszłości.

Zdawać się mogło, że Abel czuł tę zwróconą na siebie uwagę otaczającej go gromadki i że mu wszystkie oczy te w jego twarz wlepione rozpały serce i zapładniały pamięć. Zza czerwonych, mrużących się powiek źrenice jego błysnęły srebrzyście, ze zmiętego czoła zsunęła się w tył nieco puszysta czapka lisia, a gdy podniósł głowę, żółtawe pasma długiej brody jego rozłożyły się szerzej jeszcze i podniosły się aż na ramiona. Wyglądał wtedy jak stary, wpółślepy lirnik radujący i doskonalący pieśniami swymi duszę narodu. Śpiewnym też, przewlekłym a donośniejszym niż kiedykolwiek głosem mówić on zaczął znowu:

— Kiedy Izraelici przeszli Jordan, Jozue położył na miejscu tym dwa wielkie kamienie i wypisał na nich dziesięcioro rozkazów Jehowy. Jedna połowa ludu oparła się o górę Geryzim, a druga o górę Hebal, a wszyscy usłyszeli mocne głosy, które wołały tak, aby je każdy człowiek z izraelskiego domu uchem swoim słyszeć mógł: „Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto pokłon odda fałszywym bogom i kto czcic nie będzie ojca swego i matki swojej! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto zażąda majątku cudzego albo ślepego wprowadzi na drogę fałszywą! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto skrzywdzi cudzoziemca, sierotę i wdowę, kto kłamstwo włoży do ucha bliźniego, a o niewinnym powie: „Niech umrze!“ A kiedy mocne głosy do uszu Izraelitów wszystkich słowa te włożyły, lud cały odpowiedział tak, jakby wszystkie usta jednymi ustami i wszystkie głosy jednym głosem były: „Niech się tak stanie!“

— Niech się tak stanie! — zaszepotało w koło Abła kilkanaście ust, które przed kwadrantem jeszcze porwane wirem

powszednich potrzeb i trosk zapamiętałe walczyły o szeląg straty lub zysku.

Przez skupioną gromadkę przebiła się teraz chrześcijańska wieśniaczka. Podjęła z ziemi jeden z koszów nagromadzonych dokoła Abła i o cenę jego zapytała. Gołda udzieliła jej odpowiedź zwykłym swym spokojnym głosem. Wieśniaczka targować się zaczęła, ale Gołda nie odpowiedziała już jej po raz drugi. Nie dlatego, aby odpowiadać nie chciała, ale dlatego, że słów jej, dość grubo jednak i krzykliwie wymawianych, nie słyszała nawet. Wzrok jej utkwiał w jednym punkcie rynku, na czoło i twarz całą wybuchnął płomienny rumieniec, a na ustach poważnych rozkwitał uśmiech dziecięcy prawie i razem namiętny. O kilkadziesiąt kroków od miejsca, na którym znajdowali się Abel i wnuczka jego, wynurzył się z tłumu Meir i swobodniejszym nieco przejściem szybko postępując zmierzał prosto ku nim. Nie widział ich jednak; patrzył prosto przed siebie oczami, w których malowały się pośpiech i niepokój; minął Abła i Gołdę nie spostrzegłszy ich nawet i wszedł w bramę synagogalnego dziedzińca.

Przez synagogalny dziedziniec niewiele łatwiej było przejść dnia tego jak przez plac targowy.

Meir dążył ku czarnej chatce rabina Todrosa, ku niej też parł się tłum ludzi różnego wieku i wyglądu. Im bliżej było chatki tej, tym większy panował ścisk i natłok, a wśród natłoku tego tym mniej rozmawiano i ciszej, ostrożniej stąpano. Nie było tu, jak na targowym rynku, krzyków, kłótni, śmiechów, roztrącań się wzajemnych, nie było też twarzy namiętnie rozognionych, ani oczu połyskujących gorączką zysku, ani gestów porywczych i grubiańskich. Gęsty tłum płynął ku niskiej lepiance w uroczystym milczeniu przerywanym niesmiałymi tylko szeptami.

Meir wiedział, gdzie i po co dążył tłum ten i z jakich żywiołów był on złożonym. Stałych mieszkańców Szybowa nie

było tu wcale albo było niewiele bardzo; posiadając bowiem w bezpośredniej bliskości swej wielkiego rabina nie potrzebowali oni oczekiwać dni szczególnych, aby móc cieszyć się radami, naukami i samym widokiem jego. Lud zalegający teraz synagogalne podwórze składał się z mieszkańców bliskich, dalszych i dość nawet oddalonych okolic Szybowa. Zamożnych kupców, ludzi w ubraniach znamionujących dostatek i pewien wyższy stopień światowej ogłady znajdowała się tu ilość pewna, ale bardzo nieznaczna. Ogromną większość stanowiły ciała mizerne, obleczone w suknie zszarżane i ubogie, twarze blade, ciężką walką o byt napiętnowane, cierpiące i cierpliwie. Była to zresztą prawdziwa mozaika twarzy starych, młodych, półdziecięcych, niewieścich i męskich.

W bliskości już chaty znajdując się Meir zatrzymał się chwilę.

— Po co ja tam pójde? — rzekł do siebie — on mię teraz słuchać nie zechce!

— Nu — dodał zaraz — a do kogóż ja pójde?

Po chwilowym namyśle zmieszał się znowu z tłumem i wkrótce znalazł się u roztwartych na oścież drzwi czarnej lepianki.

Za roztwartymi drzwiami, w ciasnej, ciemnawej sionce stał istny mur z pleców ludzkich złożony i panowało najgłębsze już milczenie przerywane tylko trudnym oddechem kilkunastu piersi. Meir wśród muru tego torował sobie drogę, co przychodziło mu tym łatwiej, że większą część ludzi tłoczących się w sionce składali ubodzy i pokorni goście, tak uprzejmie przed parą godzinami częstowani w zamożnej kuchni Ezofowiczów. Spostrzegłszy członka rodziny, pod dachem której znajdowali częstą i chętną gościnność, rozstępowali się oni, jak mogli, aby mu przejście pomiędzy sobą umożliwić. Z pośpiechem to jednak czynili i roztargnieniem wielkim, gdyż wzroki ich skierowane były ku wnętrzu izby sąsiadującej z sionką. Ażeby dojrzeć i dosłyszeć, co się we

wnętrzu izby tej działa, wspinali się oni na palce, wyciągali szyje i szeroko roztwierali oczy rozpromienione, zdumione, ciekawe, pożądliwe i zarazem trwożne. Ile razy uszu ich dosięgnął ułamek jaki rozmów tam wiedzionych, na ustach ich uwiedłych i bladych od biedy, choroby i pracy rozkwitały uśmiechy błogości niewymownej, tak jakby słowa i same nawet dźwięki głosu uwielbianego mędrca były wonną oliwą gojącą wszystkie rany ich życia.

Izba, w której drzwiach roztwartych także stanął teraz Meir, wyglądała dość dziwnie. W głębi jej na ławie umieszczonej pomiędzy ścianą a ciemnym od starości stołem siedział Izaak Todros, w ubraniu i postawie którego nie znać było świąteczności żadnej. Miał on na sobie tę samą co zawsze długą suknię, zszarzaną i podartą, a głowę jego przykrywała zrudziała czapka, na tył głowy zsunięta w ten sposób, iż zmięty daszek jej sterczał mu nad czołem żółtym, ocienionym ogromną gęstwiną włosów kruczych, z lekka tylko przyprószonych siwizną. Przygarbiony jak zwykle, górną połową ciała naprzód podany, siedział on w nieruchomości zupełnej i tylko czarnymi oczami wodził po twarzach i postaciach kilkunastu istot ludzkich, które stłoczone u przeciwległej ścianie podnosiły ku niemu wzroki nabożne, złęknięte, błagalne.

Pomiędzy szczupłym, zgarbionym, nieruchomym mędrce siedzącym na ławie a kilkunastu istotami tymi, które dopuszczonymi już zostały przed obliczność jego, znajdowała się przestrzeń kilku kroków, której nikt bez wyraźnego wezwania przekroczyć nie śmiał, i krzyżowały się dwa odmienne rodzaje światła. Jedno ze światła tych, błękitne od pogodnych obłoków i złociste od słońca, wnikało tam przez otwarte okno, drugie, jaskrawe, rażące, dymne, buchało z komina, na którym paliło się szeroko rozniecone płomienie.

✕ U komina, na podłodze okrytej grubą warstwą brudu siedział nieodstępny uczeń i sługa rabina — mełamed nad mełamedami, pobożny i mądry reb Mosze. W grubej koszuli

swej, opasany powrozem, siedział on na nagich swych piętach i przykładając coraz drewek do ognia sypał garście ziół suchych do wody gotującej się w kilku garnkach. Zajęty czynnością tą, jak się zdawało, aptekarską, pełnił on także urząd woźnego. Wywoływał spomiędzy ludu znajdującego się w izbie i sionkach tych, na których, według mniemania i woli jego, przypadała kolej zbliżenia się ku mistrzowi.

Teraz wyciągnął on gruby, ciemny swój palec ku cisnącym się do ściany ludzkim postaciom i ochrypłym głosem zawołał:
— Szymszel, arendarz!

Wezwany, noszący przeinaczone i zepsute z biegiem czasu imię Samsona, w najmniejszej mierze nie przypominał powierzchownością swą imiennika swego, poetycznego bohatera i potężnego atlety Biblii. Mały, suchy, ogniście rudy, wysunął się on z tłumu i stanąwszy na środku izby pochylił białą, piegowaną twarz swą aż prawie do samej ziemi.

✕ — Pozdrawiający mędrca pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — zawołał jęklwym i drżącym głosem.

Nie tylko zresztą głos jego drżał, ale drżały mu także ręce i ramiona, a gdy podniósł nieco twarz swą, błękitne źrenice jego obiegać poczęły izbę z niepokojem i zmieszaniem bliskim obłędu.

Izaak Todros siedział jak skamieniały. Oczy tylko jego utkwiły w przerażoną twarz stojącego przed nim ryżego człowieka i po chwili dopiero, gdy człowieczek ten w przerażeniu swym do słowa przyjść nie mogąc milczał ciągle, mędrzec wydobył z siebie dźwięk gardłowo-nosowy i przeciągle zawołał:

— Nu!

Szymszel podniósł ramiona i ze wsuniętą w nie głową mówić zaczął:

— Nassi! niech światłość twoja oświeci ciemności moje! Rabbi! ja wielki grzech popełniłem i serce moje drży od strachu, kiedy usta moje przed tobą grzech ten opowiedzieć ma-

ja! Nassi! ja jestem bardzo nieszczęśliwy człowiek... żona moja, Ryfka, zgubiła duszę moją na wieki i chyba ty, rabbi, nauczysz mię, jak ja ją teraz od wielkiego grzechu tego oczyścić mam!

Zająknął się tu pokorny pokutnik i po chwili dopiero zebrał się na odwagę i siły nowe.

— Nassi! ja i żona moja, Ryfka, i dzieci nasze siedliśmy przeszłego piątku do sabatowej uczty. Na jednym stole stała u nas misa z mięsem, a na drugim stole stał garnek z mlekiem, które żona moja, Ryfka, dla najmniejszych dzieci naszych zgotowała. Moja żona, Ryfka, czerpała mleko z garnka i łyżką nalewała je najmniejszym dzieciom na miski. A kiedy ona to robiła, u niej raz ręka zatrzęsła się i kropla mleka z łyżki upadła na te mięso, co było w misie... Aj waj! głupia kobieta! co ona zrobiła! Ona mięso strefiła i zrobiła je nieczystym...

Znowu utknął w mowie swej trwożliwy Samson, a mędrzec bez najłżejszego poruszenia w postawie lub mrugnięcia okiem zapytał:

— Nu, a co ty z tym mięsem zrobiłeś?

Zapytany głowę swą znowu bardzo nisko pochylił i nie zmieniając postawy tej wyjąkał:

— Rabbi! ja z niego jadłem, i żona moja, i dzieci moje z niego jadły!

Tym razem z płomiennych oczu Todrosa posypały się iskry.

— A dlaczego ty nieczystości tej na śmietnisko nie wyrzucił? — krzyknął. — Dlaczego ty obrzydliwością tą usta swoje i dzieci swoich zanieczyścił?

Po chwili milczenia głos pokorny, drżący, po ziemi jakby czołgając się odpowiedział:

— Nassi! ja biedny bardzo jestem, lichą karcznię w arendzie trzymam i zarobku z niej mam niewiele! A u mnie w domu sześcioro dzieci jest i ojciec stary, który przy mnie

mieszka, i dwoje wnuków sierot, którym ojciec i matka odumarli! Rabbi! mnie trudno bardzo wyżywić siebie i rodzinę moją i my raz w tydzień tylko, w święty wieczór sabatu, mięso jemy! Koszerne mięso drogie... więc ja go każdego piątku trzy funty kupuję, a z tych trzech funtów jedenaścioro nas je i siły swoje wzmacnia! Rabbi! Wiedziałem ja, że przez cały tydzień my już nic do ust naszych nie włożym prócz chleba, cebuli i ogórków... to ja tego mięsa pożałowałem i choć na nim była kropla mleka, jadłem z niego i jeść z niego pozwoliłem rodzinie mojej...

W ten sposób żalił się i obwinał zarazem mizerny Samson, a mistrz słuchał go z nachmurzonym i groźnym obliczem.

Potem mówić zaczął. Mówił z gniewem i oburzeniem zrazu, a jednak nieruchomy i sztywny pozostał. Szyję tylko ku wylękłemu i upokorzonemu Szymszelowi wyciągając wpijał weń coraz ognistsze i groźniejsze wejrzenie. Długo, obszernie i subtelnie tłumaczył, skąd pochodzi zakaz mieszania potraw mięsnych z mlecznymi, co o zakazie tym pisali różni tanaici i rabini wielcy i jak pisanie ich tłumaczyli, objaśniali i komentowali późniejsi niezliczeni następcy ich; jak wielkim przestępcą jest człowiek taki, który z zakazem tym rozmijając się do ust swych wkładać śmie kęs mięsa, na który upadła kropla mleka.

— Grzech twój ogromnym jest w obliczu Pana! — zagrmiał na koniec ku stojącemu wciąż w kornej postawie pokutnikowi. — Ty dla łakomstwa swego zerwałeś przymierze, które Jehowa zawarł z wybranym ludem swoim, przekroczyłeś jedno z sześciuset trzynastu przykazań, które spełniać powinien każdy prawy izraelita, i zasłużyłeś na to, aby na ciebie spadło przekleństwo, którym Elizeusz przeklął prześladowające go chłopięta i którym Jozue Nawin przeklinał miasto Jerychon! Ale za to, że ciało tylko twoje zgrzeszyło, a dusza pozostała wierzącą w świętość zakazu jedzenia mięsa z mlekiem,

i za to, że ty z wielkim żalem do mnie przyszedłeś i przede mną upokorzyłeś się, ja ci ten ogromny grzech twój przebaczam i tylko rozkazuję, żebyście, ty i żona twoja, i dzieci twoje, przez cztery tygodnie ani mięsem, ani mlekiem ciał swoich nie karmili, a pieniądze, które wydajecie na mięso i mleko, ubogim rozdali. A kiedy cztery tygodnie przejdą, dusze wasze oczyszczone zostaną z wielkiego plugactwa, które na nich osiadło, i będziecie żyć w pokoju i pobożności razem ze wszystkimi braćmi izraelitami. Wołajcie: Niech się tak stanie!

— Niech się tak stanie! — zabrzmiały chórem głosy tych, którzy znajdowali się w izdebce, i tych, którzy napełniali sionkę, i tych jeszcze, którzy tłocząc się dokoła lepianki chciwymi oczami zaglądali do wnętrza jej przez otwarte okno.

Mały, rudy Samson, oswobodzony od ciężaru tłoczącego mu sumienie w sposób straszliwy, chociaż z innej strony obarczony pokutą czterotygodniowego postu mającego do ostateczności obostrzyć i tak już wieczny post wszystkich dni jego, ze łzami rozrzewnienia w oczach, z dziękczynnym szeptem na ustach cofnął się ku sionce i zniknął w napełniającym ją tłumie.

Wtedy reb Mosze wyciągnął znowu ku stojącym pod ścianą ludziom wskazujący palec i zawołał:

— Reb Gerszon, mełamed!

Na wołanie to z tłumy wypłynął człowiek krępy i zgarbiony, z czarnym włosiem rozrzuconym w nieładzie na wielkiej, schylonej głowie, z twarzą chmurną i zadumaną. Był to kolega reb Mosza, umysłowy przewodnik izraelskiej dziatwy, w miasteczku blisko Szybowa położonym żyjący i uczący. Stał on na środku izby z grubą księgą rozwartą w obu rękach i według zwyczaju pozdrowiwszy mistrza zaczął w te słowa:

— Rabbi! dusza moja znalazła się dwa dni temu w wielkim kłopotcie. Bachory moje czytały w świętej księdze, że wie-

czorne szemy odmawiać rozkazanym jest do końca pierwszej straży. „Nu! — zapytały mnie bachory moje — a co to takiego pierwsza straż? Kto przed kim i gdzie tę straż trzyma?” Jak oni tak zapytali się, usta moje oniemiały. A dlaczego one oniemiały? Dlatego że ja nie wiedziałem, co im odpowiedzieć mam. Do ciebie, rabbi, przyszedłem, żeby na ciemny rozum mój spłynął promień twojej mądrości. Powiedz ty mi, rabbi, jakie to straże są, według których izraelita każdy mierzyć powinien długość modlenia się swego, gdzie i przed kim one straż trzymają i co ja o tym powiedzieć mam bachorom moim?

Chmurny, zgarbiony człowiek mówić przestał, a zgromadzenie całe z ciekawością nadzwyczajną wlepiło oczy w zapytywanego mędrca i odpowiedzi jego czekało. Odpowiedź ta dała się słyszeć wkrótce. Nie zmieniając postawy swej, sztywnie naprzód podanej, najlżejszego nie czyniąc poruszenia Izaak Todros mówić zaczął:

— A jakie mogą być straże te, o które ty mnie zapytujesz? Anielskie to są straże. A gdzie aniołowie straże te trzymają? W niebie je one trzymają. A przed kim one je trzymają? Trzymają je one przed tronem Przedwiecznego! Kiedy dzień kończy się i zmrok zapada, aniołowie dzielą się na trzy wielkie chóry. Pierwszy chór staje u tronu Przedwiecznego i straż przed Nim trzyma aż do północy, i wtedy jest pora odmawiania modlitw wieczornych. Drugi chór przychodzi o północy i trzyma straż aż do świtu, a o świcie, kiedy kolor biały od koloru bladobłękitnego odróżnić można, przychodzi chór trzeci i straż przed tronem Przedwiecznego trzymać zaczyna. Wtedy jest pora modlitw porannych...

Umilkł mędrzec. W tłumie ozwały się ciche cmokania i sykania objawiające podziw i zachwyt. Gerszon mełamed jednak nie ruszał się jeszcze z miejsca swego. Ze wzrokiem wlepianym w ciężką rozwartą księgę ozwał się on znowu:

— Rabbi! spuść na ciemny rozum mój jeden jeszcze pro-

mień swojej mądrości i rozprosz nim wątplenie, które ogarnęło duszę moją... Blisko miasteczka, w którym ja żyję, jest dwór bogatego jednego pana. Do dworu tego chodzą czasem niektóre bachory moje i różne rzeczy tam słyszą. Raz jeden bachor mój wróciwszy ze dworu opowiadał w miasteczku, że słyszał, jak we dworze mówiono, skąd pochodzi grzmot. Mówiono tam, że grzmot wylatuje z nieba wtedy, jak dwie chmury spotkają się z sobą i wypuszczają z siebie siłę jakąś, która nazywa się elektryczność. Ja o takiej sile nigdy nie słyszałem i nie wiem, czy to prawda, że ona jest na świecie i że z niej wielkie grzmoty powstają...

W czasie mowy tej Gerszona nieruchomy dotąd mędrzec uczynił parę niecierpliwych poruszeń, a po wargach jego, wąskich i surowych, przesunęły się szyderskie uśmiechy.

— To nieprawda! — zawołał. — Takiej siły na świecie nie ma i z niej nie powstają grzmoty. Kiedy Izraelici mieszkali w Palestynie, a świątynia Salomonowa wznosiła się na górze Syjonu błyszcząca cała od diamentów i złota, grzmotów na świecie nie było. Ale kiedy rzymski cesarz świątynię zburzył i lud izraelski rozproszył się po całej ziemi, na świecie ryknął pierwszy grzmot. A skąd on pochodził? On pochodził z piersi samego Boga, który nad gruzami świątyni swojej i nad niedolą swojego ludu głośno zapłakał. I teraz Pan Bóg często po wspaniałości świątyni swej i po minionym szczęściu ludu swego płacze, a kiedy On zapłacze, to łkanie Jego rozchodzi się po całym świecie wielkim grzmotem, a łzy Jego padają do morza i takie są ogromne, że morze od nich wzbiera i podnosi ziemię, która trzęsie się i ognie z siebie wypuszcza. Oto powiedziałem ci, skąd powstają grzmoty i te wielkie trzęsienia, które ziemia znosi. Idź w pokój i nauczaj bachorów swoich słów, które ode mnie usłyszałeś!

Z kornym pokłonem i dziękczynnymi wyrazami oddalił się i w tłum wpłynął ponury mełamed z wielką swą księgą

w rękach, a w tej samej chwili kędyś pod samą ścianą głośno zapłakało dziecko.

Reb Mosze zawołał:

— Chaim, pachciarz z Kamionki, i żona jego, Małka...

Z tłumu wyszli mężczyzna i niewiasta. Oboje mieli twarze zbolące i zlekniowane, niewiasta na ręku swym niosła blade, wynędzniałe dziecko. Rzucili się do kolan mędrca i wyciągając doń owinięte w bezbarwne szmaty, z cicha płaczące dziecko błagali go, aby udzielił leków na trapiącą ich z dawna chorobę syna. Todros pochylił się nad drobną, bladą twarzyczką i wpił w nią bystre, uważne spojrzenie. Reb Mosze zaś, u komina siedząc, wlepił wzrok w mistrza i mieszając łyżką gotujące się w garnkach zioła oczekiwał jego rozkazów.

W ten sposób długo i z kolei zbliżali się do uwielbionego mędrca, nauczyciela, lekarza i niemal proroka swego ludzie najróżniejsi, zadający mu i zanoszący doń najróżniejsze pytania i prośby. Był tam pomiędzy innymi strapiiony małżonek jakiś, który wiodąc ze sobą żonę swą młodą i hożą prosił wielkiego rabina, aby uczynił nad nią rodzaj próby bożej za pośrednictwem tak zwanej wody z zdrości, po wypiciu której niewiasta podejrzana o niewierność małżeńską umrzeć musi natychmiast, jeśli jest winną, a zdwojoną pięknością i zdrowiem rozkwitnie, jeśli podejrzewano ją niesłusznie. Ktoś inny zapytywał, co czynić trzeba, jeżeli pora modlenia się zaskoczy człowieka w podróży, a on ku wschodowi twarzy swej obrócić nie może, tak jak przykazanym jest, bo ze strony tej wiatr wielki wielką chmurę kurzawy w oczy mu niesie. Znaczna też była ilość takich, którzy skarżąc się, płacząc i biadając nad nędzną dolą swoją, błagali mędrca, aby proroczym okiem swym rzucił w przyszłość i oznajmił: rychło-li nadejdzie radosny dzień Mesjaszowy, dzień wyzwolenia, spoczynku i obfitości?

Większość jednak ludzi zgromadzonych w chatce i dokoła niej niczego nie żądała, żadnych nie zanosila prośb i nie za-

dawała pytań, lecz przybyła tu, stała i dusiła się w ciasnocie niezmiernej dlatego tylko, ażeby móc odetchnąć tym samym powietrzem, którym oddychała pierś uwielbionego mędrca, napoić uszy swe słowami wychodzącymi z ust jego, a oczy światłością bijącą z jego oblicza.

Widać też było, że Izaak Todros czuł i rozumiał wysokość stanowiska swego. Sprawował on czynności swe z powagą niezachwianą, z niezmordowaną gorliwością i cierpliwością niezmaconą. Nie odtrącał od siebie nikogo, nikomu niczego nie odmawiał. Gromił, objaśniał, tłumaczył, opowiadał, pokuty zadawał, leków udzielał postawy swej nieruchomej ani na chwilę nie zmieniając i wpijając tylko w twarze zbliżających się doń ludzi oczy swe surowe lub zadumane. Parę razy, gdy w izdebce rozległy się najżałośniejsze skargi i prośby o prorocze przepowiedzenie dnia Mesjaszowego, czarne te jak noc i płomienne jak namiętność oczy zaświeciły wilgotną powłoką. Kochał znać lud ten, którego żałośliwe zwierzenia i jęki łąza oblewały mu surową żrenicę. Chwilami też bujne krople potu spływały po żółtym czole jego, a pierś strudzona długim mówieniem z trudnością oddychać zaczynała. Podartym rękawem odzieży ocierał pot z czoła, wzmagął się na siły nowe i wiódł dalej dzieło nauczania, karcenia i pocieszania ludu. Pracował ciężko myślą, pamięcią, wyobraźnią i piersią z głębokim poczuciem obowiązku, z żarliwą wiarą w zbawiennność i świętość trudu swego, z najwyższą bezinteresownością człowieka, który nie potrzebował dla siebie nic prócz czarnej lepianki odziedziczonej po przodkach, szczupłej strawy codziennej dostarczanej mu rękami wiernych i tej lichej, brudnej, podartej odzieży, która od dziesiątka lat już może osłaniała chude ciało jego.

Przez synagogałny dziedziniec tymczasem przechodził człowiek śpieszący się widocznie i kogoś w tłumie szukający. Był to Ber, zięć Saula. Przejrzał on bacznie mnogie twarze ludzi otaczających lepiankę rabina, wparł się do natłoczonej

sionki i dostrzegłszy na koniec stojącego w progu izby Meira pociągnął go za rękaw od surduta.

Młody człowiek obudzony z ołowianej zadumy, która pograżała go w nieruchomość kamienną, obejrzał się i zamyślonym wzrokiem spojrzął na stojącego za nim krewnego.

— Chodź stąd! — szepnął mu Ber do ucha.

— Ja nie mogę stąd iść — również cicho odpowiedział Meir. — Ja mam ważny interes do rabina i czekać tu będę, aż ludzie ci wszyscy rozejdą się, ażeby z nim pomówić...

— Chodź! — powtórzył Ber i ujął za ramię opornego młodzieńca.

Meir targnął się niecierpliwie, ale Ber powtórzył raz jeszcze:

— Chodź! jeżeli zechcesz, przyjdiesz potem, jak ci ludzie rozejdą się... ale ja wiem, że nie zechcesz...

Wyszli obaj z natłoczonej chaty. Ber śpiesznie idąc i milcząc wiódł towarzysza swego w oddaloną stronę obszernego podwórza, kędy panowała samotność zupełna. Tu ścianą bet-ha-midrassu zakryci przed tłumem kupeczącym na rynku i w znacznym oddaleniu od tego drugiego tłumu, który oblegał chatę rabina, pewnymi być mogli, że nikt rozmowy ich nie podsłucha.

Meir oparł się plecami o ścianę budowy, Ber stanął przed nim i milcząc jeszcze wpatrywał się weń przez chwilę.

Powierzchność Bera była jedną z tych, około których miliony ludzi obojętnych przejść by mogły nie zauważywszy jej nawet, lecz w której oko baczne i myślące człowieka odkrywało cechy zaciekawiające i ciekawości godne. Czterdziestoletni, szczupły, ze staranną czystością, jakkolwiek ze ścisłą też wiernością starym przepisom i zwyczajom ubrany, z rzadkim, jasnopłowym zarostem i jasnymi, miękkimi włosy, nosił on na twarzy swej bladawej i delikatnie zarysowanej wyraz szczególnego zubożenia jakiegoś, lenistwa i senności, które znikwały i ustępowały przed ruchliwym, nerwowym

ożywieniem wtedy tylko, gdy rzecz szła o kombinacje i działania interesowe. Poza zubożeniem jednak i sennością baczące oko odkryć by mogło utajone, spodnie niby, warstwy uczuć i charakteru. Było coś marzycielskiego i cierpiącego zarazem w oczach jego, wielkich, szeroko rozwartych, o błękitnej źrenicy obleczonej szklistą powłoką. Tęsknoty jakieś zaznane i stłumione przemocą, pragnienia jakieś niezaspokojone i w głębinę piersi zepchnięte malowały się w zarysie warg jego cienkich, pojętnych i noszących na sobie piętno kamiennej jakby rezygnacji. Niekiedy na czole białym i gładkim powstawały mu dwie poprzeczne bruzdy. Wywoływały je może wspomnienia jakieś odległe, lecz wiecznie bolące, bo w chwili, w której zjawiały się, Ber dotykał dłonią piersi swej i krótkie, urwane westchnienie podnosiło mu ramiona. Widać było, że w przeszłości człowieka tego odegrał się kiedyś dramat cichy, nikomu w całej swej pełni nie znany, lecz którego rozwiązanie pogrążając w senną wolę i myśl jego w piersi mu pozostawiło wiecznie zamierające i wiecznie odradzające się echa...

Teraz stał naprzeciw młodzieńca, którego przemocą prawię wyprowadził z tłumu, i długo wpatrywał się mu w twarz szklistym swym, cierpiącym okiem.

— Meir! — rzekł na koniec — dziad twój, Saul, miał godzinę temu długą rozmowę z synem swoim, Abramem. On gości swoich porzucił, ażeby z nim rozmawiać, i mnie rozmowy tej słuchać kazał, bo chciał, żeby słowa z ust jego wychodzące i słuchające ich sumienie syna jego świadka we mnie miały. Bądź już spokojny, Meir. Stryj twój do wielkiego grzechu tego i wstydu, które niezadługo staną się, należeć nie będzie...

— Staną się! — z uniesieniem przerwał Meir. — One nie staną się! ja tak zrobię, że one nie staną się!

Uśmiech, niewesoły wcale, przeleciał po ustach Bera.

— Ty tak zrobisz? — zaśmiał się z cicha. — A jak ty to

zrobisz? Ja domyśliłem się, że ty rabinowi o tym mówić chcesz, i szukałem ciebie, żeby ostrzec cię i nieszczęście od głowy twojej odwrócić. Ty myślałeś sobie, że jak ty rabinowi cały interes rozpowiesz on zaraz zerwie się i krzyknie, aby nikt brzydkiej rzeczy takiej robić nie śmiał. Jeżeliby on tak zrobił, wszyscy byliby mu posłuszni, to jest prawda — ale on tego nie robi...

— Dlaczego on tego nie robi? — zawołał Meir.

— Dlatego że on na interesach takich nie zna się — odparł Ber.

Uśmiechnął się znowu i mówił dalej:

— Żebyś ty jego spytał się, jakie jedzenie czyste jest, a jakie nieczyste, czy w sabat można świecę objaśniać i chustką do nosa biodra swoje opasywać, czy siadając do jedzenia błogosławić trzeba pierwemu wino albo chleb, albo żebyś ty jego zapytał się, jak dusze ludzkie przechodzą z ciała do ciała i wiele Jehowa wypuścił z siebie sefirotów, i jak te sefirot nazywają się, i jak układać trzeba litery imion boskich, żeby z nich słowa wielkich tajemnic ułożyły się, i kiedy nadejdzie dzień Mesjaszowy i co w tym dniu dzieć się będzie — on na te wszystkie zapytania twoje znalazłby odpowiedzi długie i uczonne. Ale jak ty jemu opowiadać zaczniesz o gorzelniach, podatkach, o dworach pańskich i tych zamiarach, które na nie złi ludzie mają, on wytrzeszczy na ciebie oczy i będzie ciebie słuchał, jak słucha człowiek głuchy, bo on wszystkiego tego nie rozumie i dla niego za księgami tymi, z których on mądrość swoją czerpie, cały świat jest jako pustynia okryta ciemną nocą!...

Meir pochylił głowę.

— Ja czuję, że ty prawdę mówisz — rzekł — a jednak, bym ja zapytał się jego: Czy wolno jest dla własnej korzyści krzywdzić niewinnego człowieka?

Ber odpowiedział:

— On by ciebie zapytał się: A kto jest ten niewinny człowiek — izraelita czy edomita?

— Edomita! — echowym głosem powtórzył Meir.

Spojrzał w górę, jakby namyślał się, wzruszył ramionami, jakby czemuś dziwił się wewnątrz, a potem zatopił wzrok w twarzy Bera.

— Ber! — wyrzekł — czy ty edomitów nienawidzisz?

Zapytany wstrząsnął przecząco głową.

— Nienawisć przykra jest sercu — odpowiedział. — Kiedyś... jak ja młody byłem... ja chciałem nawet pójść do nich i zawołać: Ratujcie! Teraz ja kontent jestem, że nie zrobiłem tego i ze swoimi zostałem, ale nienawisści żadnej w sercu moim dla nich nie mam...

— I ja nie mam — żywo potwierdził Meir. — A czy ty myślisz — zapytał — że Kamionker ich nienawidzi?

— Nie — zaprzeczył Ber — on tylko doi ich jak krowy i ma dla nich wgardę za to, że oni interesów swoich nie pilnują i pozwalają, żeby on ich oszukiwał.

— A Todros czy ich nienawidzi? — zapytał jeszcze Meir.

— Tak — energiczniej niż kiedy potwierdził Ber. — Todros ich nienawidzi. A dlaczego on ich nienawidzi? Bo on nie żyje w tym samym czasie, co my wszyscy... on żyje ciągle w tym czasie, w którym rzymski cesarz świątynię jerozolimską zburzył i lud izraelski z Palestyny wygnał, i w którym Żydów palili na stosach i po całej ziemi gnali. On oddycha, je i chodzi teraz, ale myśli i czuje tak, jak gdyby żył dwa tysiące i tysiąc lat temu. On nic nie wie o tym, że od śmierci przodka jego, Todrosa, co z Hiszpanii tu przybył, mnóstwo lat płynęło ciągle, jak wielka i bystra rzeka, i że na tej rzece przypływali mądrzy i dobrzy ludzie przynoszący światu mądre i dobre rzeczy, i że od tego dalekiego czasu świat zmienił się, a ludzie, którzy nienawidzili i prześladowali jeden drugiego, rękę sobie do zgody podali... On nic nie wie, co na świecie dzieje się... Nu! jak on ma wiedzieć? On od

urodzenia swego nigdy z Szybowa nie wyjeżdżał, a oczy jego nie widziały innej książki, jak te, które mu po dziadach, pradziadach zostały, i żadnego człowieka z innego narodu, jak tylko z jednego narodu izraelskiego...

Meir słuchał i głową z lekka wstrząsał, jakby w myśli swej potwierdzał słowa towarzysza.

— To mnie nie ma po co do niego iść... — rzekł po chwili namysłu.

— Ja dlatego szukałem cię, ażeby ci to powiedzieć — odparł Ber. — On nie zabroni Kamionkerowi krzywdzić Kamionńskiego dziedzica, bo jemu będzie zdawać się, że Kamionński dziedzic pochodzi z narodu Idumejczyków, który wojował z Jozuem, albo z narodu rzymskiego, który bałwanom kłaniał się i świątynię jerozolimską zburzył, albo z narodu hiszpańskiego, który pięćset lat temu bardzo Żydów udręczał... On nawet z tobą rozmawiać nie zechce, bo ty w jego oczach kofrimem, niedowiarkiem jesteś, i on do tego czasu na głowie twojej rozniewanej ręki swej nie opiera przez uważanie tylko dla wielkiej familii twojej i tej miłości, którą lud dla dziada twego, Saula, ma. Ale żebyś ty Kamionkera przed nim oskarżył, Kamionker popchnąłby jego do zemsty nad tobą, tak jak go już popycha reb Mosze. Meir! bądź ty ostrożny! zguba twoja niedaleko! uciekaj ty od niej!

Meir na przestrożę tę nic nie odpowiedział.

— Ber! — wymówił — ja temu sam bardzo dziwuję się, ale mnie się zdaje, że w człowieku tym, głupim, złym i mściwym, mieszka wielka dusza... On bardzo cierpliwy, dni i noce siedzi nad księgami swymi... On litościwy! Oczy jego łzami zachodzą, jak przed nim ludzie biedni skarżą się i płaczą... On wszystkim do siebie przystęp daje, naucza i pociesza każdego... dla siebie nic nie chce i tak mocno... Ber! on tak mocno wierzy...

Słuchając słów tych Ber uśmiechał się i szklistym wzrokiem swym spoglądał ku obłokom.

— Ty, Meir, tak o rabinie mówisz — odparł z wolna — a co ty powiesz o tym biednym narodzie, którego ciało wyschło od głodu, a głowy od kłopotów bolące i od pogardy, co na niego przez dwa tysiące lat pada, nisko pochylone, a który, jak spragniony do źródła, biegnie do rzeki mądrości, żeby z niej pić? Ty nie pytaj się o to, czy mądrość ta prawdziwa jest albo fałszywa, ale ty patrz na to, jak on w brudzie, w nędzy, w małych, lichych interesach żyjąc mądrości tej pragnie... i jak on mędrców swoich czci, a tego, co za święte przykazanie ma, wiernie trzyma się. Czy tobie zdaje się, że naród ten, głupi, i chciwy, i brudny, wielką ma w sobie duszę?

Meir podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu czoło jak zwykle, gdy bywał wzruszonym.

— Izrael wielką duszę ma w sobie i ja jego kocham nad spokojność moją, nad szczęście moje i nad życie moje. Nu!...

Tu zatrzymał się przez chwilę, porywczym gestem pochwycił ramię Bera i zapytał:

— I ja wiem, czego Todrosowi brakuje, żeby on ze swoją wielką duszą wielkim człowiekiem był, i czego ludowi izraelskiemu brakuje, ażeby on wielkość swoją przed światem pokazał... Trzeba, żeby myśli ich i pamięci wyszły z tych dawnych czasów, w których one zawsze mieszkają, a zamieszkały w nowych czasach, co teraz na świat przypląnęły, i trzeba, żeby o głowy ich uderzył skrzydłami swymi Sar-ha-Olam, ten anioł poznania, który jest księżciem świata!

Kiedy młody człowiek, z czołem i wzrokiem w ogniu, słowa te mówił, Ber wpatrywał się w niego głębokim, radosnym i zarazem smutnym spojrzeniem.

Po chwili odezwał się:

— Kiedy ja na ciebie patrzę, Meir, i kiedy ja ciebie słucham, mnie się zdaje, że ja widzę siebie samego... wtedy, kiedy mi tyle lat było, ile tobie jest teraz... Ja także tak, jak

ty teraz, gniewałem się bardzo i smuciłem się... ja także chciałem...

Umilkł i dotknął dłonią piersi, bo na czole powstały mu owe dwie głębokie zmarszczki, a źrenice jego zza szklistej swej powłoki spojrzały kędyś daleko... w świat czy w przeszłość...

W ten sposób rozmawiali ze sobą dwaj ci ludzie, jeden o ścianę bet-midrachu wsparty, drugi blisko przed nim stojący. Rozmawiali zżywieniem, z gwałtownymi niekiedy gestami. Meira oczy płomienne były, a twarz bladą, Bera czoło fałdowało się zmarszczkami, a wargi drżały lekko. I ktokolwiek by z ludzi obcych świata temu, wśród którego żyli, czuli i myśleli oni, patrzył teraz na nich, a treść rozmowy ich odgadywać chciał, rzekłby: Kupują, sprzedają, targują się, o handlu mówią! Alboż ludzie tacy, jak oni, o czym innym myśleć, mówić, nad czym innym cierpieć mogą?

Mogą. Myślą, mówią, cierpią, tylko nikt w mowy ich nie wsłuchuje się, myśli nie rozumie, cierpień odgadnąć nie pragnie. Morze to jest ogromne i tajemnicze, nie badane przez tych nawet, którzy w nim toną!

— Chodź do domu! — rzekł Ber do towarzysza swego. — Dziad twój, Saul, wkrótce z gośćmi swymi do stołu zasiądzie i rozgniewa się, jeżeli ciebie tam nie zobaczy. I tak już wielka burza nad głową twoją wisi. Hana Witebska odniosła prezenty zaręczynowe, które dziad od ciebie córce jej posłał, nagadała jemu przy gościach wiele nieprzyjemności i zaręczyny zerwała.

Meir uczynił niedbały ruch ręką.

— Ja tego chciałem — rzekł — dziada ja przeproszę... Moja głowa tym tylko zajęta, do kogo mnie teraz iść...

Ber z rodzajem zdziwienia spojrzał na mówiącego.

— Jaki ty uparty jesteś! — zauważył.

Zmierzali już teraz obaj ku bramie podwórza. Ber stanął nagle.

— Meir! — rzekł — ty tylko do urzędników nie idź!

Meir powiódł dłonią po czole.

— Ja poszedłbym do nich — rzekł — ale mnie strach zdejmuję! Jeżeli prawdę wykryją, to Kamionkera srogo karać będą, a z Kamionkerem i tych nieszczęśliwych ludzi, których on skusił... Biedni ludzie! głupi ludzie! Ja ich żałuję...

Umilkł nagle i wpatrzył się w punkt jeden. Rynkiem, na wpół już opustoszałym, przejeżdżała zgrabna najtyczanka czterema dzielnymi końmi ciągnięta, a na niej siedział mężczyzna młody, przystojny, w wykwintnym ubraniu.

Meir wskazał palcem najtyczankę, która zatrzymała się przed domostwem Kamionkera, i z oczami szeroko rozwartymi od myśli jakiejś, która mu nagle w głowie zawrzała, drżącym głosem zawołał:

— Ber! czy ty widzisz? to dziedzic Kamioński!

Słońce zbliżało się ku zachodowi, kiedy na ganku domostwa Ezofowiczów ukazała się gromadka ludzi żywo, uprzejmie i wesoło ze sobą rozmawiających. Byli to dzisiejsi goście Saula, którzy uczęstowani przy gościnnym stole jego uścienieniami rąk zegnali stojącego pośród nich starca, za łaskę, którą okazał on im, dziękowali i z kolei po dwóch lub trzech na oczekujące ich wozy siadając długo jeszcze zwracali się twarzami ku stojącemu na ganku gospodarzom opuszczanego przez nich domu.

W bawialnej izbie niewiasty domowe z pomocą dziewczek służebnych sprzątały z długiego stołu liczne naczynia stołowe, chowały do szaf resztki pozostałych dań i napojów i związyły starannie grubą, lecz dostatnią i czystą bieliznę.

Na rynku tymczasem targ miał się ku końcowi; przerzedzona znaczna ilość wozów i ludzi zajmowała jeszcze pewną część przestrzeni, ale zmniejszała się z każdą chwilą. W zamian, dwa czy trzy domostwa zajezdne znajdujące się tuż przy

placu wrzały gwarem i hałasem. Ciemne, przepaściste sienie domostw tych natłoczone były wozami i końmi wieśniaków, którzy pili, tańczyli, klócili się i bawili w wielkich szynkowniach.

W szynkowni Kamionkera najtłumniej było i najhałaśliwiej. Nie dziw. Obrotny handlarz trzymał w dzierżawie kilka okolicznych gorzelni i kilkanaście karczem, kierował czynnościami i rozporządzał losami całej armii swoich znowu dzierżawców i szynkarzy. Kilkudziesięciu ludzi podobnych Samsonowi owemu, który raz w tydzień kupował trzy funty mięsa, a jedenaście osób rodziny jego składających jadło z nich i siły swoje wzmacniało (Samsonowe iście musiały być siły te!), kilkudziesięciu tedy biedaków takich zostawało w zupełnej od Kamionkera zależności. Wspaniałomyślnym władcą nie był on dla nich, oni też nawzajem wspaniałomyślnymi nie byli dla tych tłumów wieśniaczych, które topiły rozum swój i dobrobyt swych rodzin w rozlewającym rękami ich morzu alkoholu. W ten więc sposób Kamionker trzymał w ręku swym losy setek, tysięcy może rodzin wieśniaczych, których nienie obmotywały rozdwojone u końców kredki dzierżawców jego i szynkarzy, z kolei oczekujących od przedsiębiorcy głównego polepszenia albo ostatecznego zniweczenia nędznych swych, brudnych, mozolnych istnień.

Nie więc dziwnego, że dokoła domostwa Kamionkera cisnął się tłum największy wozów i koni, a w szynkowni jego piła i hałasowała największa ilość wieśniaków. Kamionker przecież nie ukazywał się tłumowi temu i sam go nie ugaszczał. Gospodarowała tam żona jego, Jenta, rozstawiając na stołach dzbany, butelki i czarki, a dopomagały jej dwie brzydkie, barczyste córki jej, sprzedające u końca jednego ze stołów obwarzanki, chały i śledzie. I ktokolwiek by patrzył wtedy na postać Jenty, chudą, podaną naprzód, obleczoną w luźną, spłowiałą suknię, i na twarz jej uwiędłą, zgorzkniałą, żółto odbijającą od sterczącej u rudego czepka czerwonej ró-

ży, ktokolwiek by widział postać tę i twarz, leniwo przesuwające się w atmosferze dusznej od tłumnych oddechów ludzkich i odurzającej wyziewami alkoholycznych napojów, przypuścić nie mógłby, że była to żona handlarza i przedsiębiorcy na wielką skalę, właściciela jednej z największych w prowincji fortun pieniężnych.

Trudno by też było odgadnąć przedsiębiorcę na wielką skalę i posiadacza kapitałów znacznych w rudym, małym człowieczku, który w wyszarzanym, długim aż do ziemi surducie, z szyją ukrytą w zwojach czerwonej chusty stał teraz w jednym z gościnnych pokoi domu swego o kilka kroków zaledwie od progu.

Był to ten pokój właśnie, w którym świeciły żółte, odwieczne sprzęty z podartym i brudnym obiciem, a także stojące na oknach w glinianych wazonach czarne i karłowate monstra roślinne.

Reb Jankiel Kamionker stał o kilka kroków od progu, a gość jego, dziedzic Kamioński, siedział na żółtym fotelu paląc cygaro i półzartobliwym, półzamyślonym wzrokiem spoglądając na reba Jankla.

Młody pan był wysoki, słusznej i silnej postaci; ciemne włosy miał nad otwartym czołem, a na całej twarzy, delikatnej, choć pozłoczonej z lekka od skwarów letnich, wyraz łagodny, trochę dobroduszy i dość myślący.

Wesoła żartobliwość, która od chwili do chwili świeciła w szafirowych oczach szlachcica, obudzaną znać była widokiem niepozornej postaci, piegowatej twarzy i długich, ognistych pejsów reba Jankla. Zamyślał się zaś on chwilami dla tego zapewne, że niepozorny rebe z długimi pejsami rozmawiał z nim o ważnym dlań interesie.

Młody pan zresztą, z otwartym, myślącym czołem i łagodnymi ustami, nie a nie wiedział o tym, z kim właściwie rozmawia. Stał przed nim Żyd, dzierżawca jego gorzelni i ko-

niec na tym. Kimże mógłby on być więcej jak Żydem i dzierżawcą gorzelni?

Że mógł on być jeszcze czynnym i wpływowym członkiem pewnego silnie i odrębnie zorganizowanego społeczeństwa, doskonałym pobożnym zostającym u prawowiernej części społeczeństwa tego we czci wysokiej, mistykiem oczekującym nadejścia dnia Mesjaszowego z wiarą taką, z jaką oczekiwali go ludzie plemienia jego przed kilkunastu wiekami; że był on uczonym i bogaczem, przed którym powstawali z głębokim szacunkiem wszyscy biedacy i prostacy narodu jego, że na koniec około niekształtnych, piegowatych, niedoskonale umytych rąk jego obmotywały się nacie licznych losów ludzkich: żydowskich i chrześcijańskich — o tym dziedzic Kamioński, z myślącym czołem i łagodnymi ustami, najlżejszego nie miał wyobrażenia.

Toteż na myśl mu nawet nie przyszło zachęcić piegowatego, rudego Żyda, aby zbliżył się doń o parę kroków więcej i usiadł w obecności jego. Reb Jankiel także o zbliżaniu się i siadaniu w obecności szlachcica nie myślał. Nie myślał o tym, bo w okolicznościach podobnych stanie pokorne było mu zwyczajem po ojcach i dziadach odziedziczonym, a jednak bladobłękitne oczy jego połyskiwały niechętnie i złośliwie, ile razy młody pan zwrócił wzrok w inną stronę i wyrazu ich widzieć nie mógł. Być może, iż reb Jankiel nie myśląc wcale o tym i sprawy sobie z uczucia swego nie zdając czuł przecie, jak od stojących w pokorze nóg jego ku sercu, które w codziennym życiu w wielkiej nurzało się dumie, płynął gryzący jad otrzymywanej i wzajem oddawanej wzgardy, wzgardy, która, gdy na grunt złego serca upadnie, zasiewa nienawiść i zbrodnię.

— Nudzisz mnie, mój Janklu, z tymi wiecznymi targami i kontraktami swymi! — niedbale i paląc cygaro mówił dziedzic Kamioński. — Wstąpiłem do ciebie na chwilę tylko, aże-

by mi konie odpoczęły trochę, a ty mię tu już na dobre złapałeś...

Reb Jankiel uklonił się szybko i giętko.

— Ja za śmiałość moją bardzo wielmożnego pana przepraszam — rzekł z uśmiechem — ale gorzelnia pańska otworzy się za miesiąc, i ja chciałbym pierwszeństwo u pana mieć...

— Dobrze! dobrze! — odparł szlachcic — dlaczegoż nie miałbym dać ci pierwszeństwa, skoro od trzech lat dzierżawisz już gorzelnię moją... ale po co tak śpieszyć... miesiąc czasu jeszcze...

— A co to szkodzi zawczasu o interesie pomyśleć? Ja woły już skupuję, a przy gorzelni wielmożnego pana sto wołów postawić trzeba. Sto wołów! czy to żart? ja takich dużych pieniędzy wydawać nie mogę nie mając jeszcze od wielmożnego pana żadnej pewności. Jeżeli wielmożny pan pozwoli, ja jutro do dworu przyjadę, i kontrakt napiszem...

Młody pan wstał z fotela.

— Dobrze — rzekł — przyjedź... nie wcześniej jednak, jak po południu, bo z rana mię w domu nie znajdziesz.

— Wielmożny pan nocować będzie w sąsiedztwie? — zapytał Jankiel i powieki drgnęły mu nerwowo.

— W bliskim sąsiedztwie — odpowiedział szlachcic i chciał coś jeszcze mówić, ale za plecami reba Jankla zwolna i nieśmiało widocznie ręką poruszone drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł młody Żyd, wysmukły, kształtny, czysto ubrany, z twarzą bladą i bardzo zmieszaną, a okiem gorzącym i śmiałym.

Na widok wchodzącego reb Jankiel instynktownym ruchem odskoczył w tył parę kroków. Po białej i piegowatej twarzy jego przebiegły drgnienia przestachu.

— Czego ty tu przyszedł... — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

Młody pan za to z obojętnym na przybyłego spojrzeniem zapytał:

— A czego chcesz, mój kochany? czy interes jaki do mnie?

— Do wielmożnego pana — odpowiedział młody człowiek głosem zniżonym prawie do szeptu.

Uczynił zwolna kilka kroków naprzód, ale Jankiel zagroził mu sobą drogę.

— Niech wielmożny pan nie pozwoli jemu rozmawiać ze sobą! — krzyknął — niech wielmożny pan ust jemu otwierać nie pozwoli! To bardzo zły człowiek jest... on wtrąca się do wszystkiego...

Dziedzic Kamioński wyciągnął rękę i usunął sprzed siebie gorączkowo gestykulującego człowieczka.

— Pozwól mu mówić — rzekł — jeżeli ma interes jaki do mnie, czemużbym porozmawiać z nim nie miał.

Mówiąc to patrzył uważnie na przybyłego, którego twarz o pięknych, wyrazistych rysach bladeścią wzruszenia powleczone zaciekała go widocznie. Przy tym obrażała go i rozśmieszała zarazem nagle powstała gwałtowność gestów i mowy Jankiela.

— Wielmożny pan mnie nie zna, ale ja wielmożnego pana znam... — zaczął przybyły cichym wciąż, ciężkim głosem.

— Po co wielmożny pan znać ma łajdaka takiego, jak ty... — spróbował znowu wpaść mu w mowę Jankiel, ale Kamioński uczynił ku niemu gest nakazujący milczenie.

— Ja wielmożnego pana widziałem kilka razy u dziada mego, Saula Ezofowicza, którego syn, Rafał, u wielmożnego pana zboże zawsze kupuje...

— Więc jesteś wnukiem starego Saula?

— Tak, ja jestem jego wnukiem.

— A Rafał Ezofowicz to twój ojciec?...

— Nie; ja jestem synem Beniamina, najmłodszego z synów Saula, który dawno już temu umarł.

Meir wyrażał się polszczyzną łamaną nieco, lecz dość znośną. W domu dziada swego słyszał on często rozmowy prowa-

dzzone w tym języku przez przybywających tam za interesami dziedziców dóbr sąsiednich, a i stary edomita, który uczył go czytania i pisanie innego jak hebrajskie, tym samym językiem mówił:

— Czy Rafał przysłał cię do mnie? — zapytał szlachcic.

— Nie; ja sam przyszedłem...

Milczał chwilę, jakby wzmagał się na siły i odwagę. Wzmógł się, podniósł głowę i śmielszym już nieco głosem zaczął:

— Ja przyszedłem, żeby wielmożnego pana ostrzec przed wielkim nieszczęściem, które źli ludzie dla pana przygotowują...

Jankiel poskoczył znowu i rozpościerając ramiona zasłonił go przed Kamiońskim.

— Czy ty będziesz milczał? — krzyknął. — Po co ty masz wielmożnemu panu głowę turbować swoim głupim gadaniem...

A zwracając się do szlachcica rozpaczliwie mówił:

— To wariat jest, miszugener, łajdak...

Tym razem jednak nie Kamioński usunął już go sprzed siebie, ale uczynił to Meir. Ze zdwojoną gorączką w oczach, z przyspieszonym oddechem odepchnął Jankla i śpiesznie mówić zaczął:

— Ten człowiek mówić mi nie pozwala, dlatego ja wielmożnemu panu prędko wszystko powiem. Niech wielmożny pan jemu nie ufa, on jest bardzo złym człowiekiem i nieprzyjacielem pana... on panu wielkie nieszczęście zrobi... niech pan jego strzeże się i niech pan domu swego strzeże jak oka w swojej głowie... Ja donosicielem nie jestem i dlatego przyszedłem tu, aby wielmożnemu panu powiedzieć to przy nim... On będzie mścił się nade mną, ale niech mści się... ja musiałem zrobić to, co każdy prawy izraelita zrobić powinien... bo napisane u nas jest: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzony z potomków Izraelowych“,

a w drugim miejscu napisanym jest: „Jeżeli milczeć będziesz, na głowę twoją spadną nieszczęścia Izraela!“

Przestał mówić, bo w piersi głosu mu nie stało. Widać było, że drżał cały i że kipiący zapal boleśnie walczył w nim z tajemną, dojmującą trwogą.

Kamioński spoglądał na mówiącego z zajęciem, ze zdziwieniem i — uśmiechem. Tak przywykł uśmiechać się patrząc na Żydów, że i teraz drżąca postawa Meira, zagadkowe słowa jego, a szczególnie uczynione przezeń biblijne cytaty, piękne same w sobie, ale dziwnie brzmiące w niewprawnej i łamanej mowie Żyda, bardziej śmieszyły go, niż zadziwiały i zaciekawiały.

— Jak widzę — zaczął — stary Saul ma wnuka uczonego w Piśmie świętym i obdarzonego darem proroczym. Powiedzże mi jednak, mój młody proroku, jaśniej i wyraźniej, jakie to nieszczęście grozi mi i dlaczego ten pocziwy Jankiel, który od trzech lat jest moim dobrym znajomym, powziął nagle taką nieprzyjaźń dla mnie?

Jankiel stał teraz tuż przy fotelu, na którym siedział dziecić, i schylony trochę ku niemu, ze słodkim uśmiechem na ustach szeptał:

— To wariat! jemu zdaje się ciągle, że on prorokiem jest i on wszystkim ludziom różne rzeczy zawsze przepowiada, a na mnie on zły za to, że ja z niego bardzo śmieję się i drwię...

— No, to już ja śmiać się ani żartować nie będę, żeby on i na mnie zły nie był — wesoło odparł szlachcic, a zwracając się ku Meirowi z pewną jednak ciekawością zapytał:

— Jakież to nieszczęście spotkać mię może? Powiedz jasno i wyraźnie, a jeżeli powiesz prawdę, zrobisz dobry uczynek, i wdzięcznym ci za to będę...

Meir odpowiedział:

— Wielmożny pan żąda ode mnie rzeczy bardzo trudnej...

ja myślałem, że wielmożny pan zrozumie wszystko z kilku słów... mnie ciężko o tym mówić...

Powiedział dłonią po czole, na które wystąpiło kilka kropel potu.

— Czy wielmożny pan przyrzecze mi, że kiedy ja powiem straszne słowo, ono wpadnie w ucho pana, jak kamień wpada w wodę, i że pan nie powtórzy słowa tego przed sądem, tylko sam użytek z niego zrobi? Czy wielmożny pan mnie da na to swoje słowo?

Bladość mówiącego zwiększała się i głos drżał.

Młody pan walczył widocznie pomiędzy ciekawością a wesołym śmiechem, który go napastował.

— Daję ci słowo honoru — rzekł uśmiechając się — że słowa twoje wpadną do ucha mego jak kamień do wody.

Gorejące oczy Meira zwróciły się ku Janklowi. Otworzył usta, ażeby coś powiedzieć, lecz drżały one gwałtownie i żadnego dźwięku wydać nie mogły. Jankiel korzystając z gwałtownego wzruszenia, które, zda się, odebrało na chwilę młodemu człowiekowi siłę i przytomność, nagłym i sprężystym ruchem rzucił się ku niemu, pochwycił za przednie klapy surduta jego i z całej siły popychać go ku drzwiom zaczął. Przy tym krzyczał:

— Co ty do domu mego przychodzisz, żeby memu gościowi głupim gadaniem swoim głowę turbować? To jasnie wielmożny gość jest... wielki pan, z którym ja trzy lata już handuję i przyjaźń trzymam... Idź stąd! idź stąd! idź!

Meir usiłował wyzwolić się z rąk targających go i popychających, ale jakkolwiek wyższym i silniejszym był od Jankla, Jankiel posiadał większą giętkość i sprężystość ciała, a przy tym dokonywał wysilenń rozpaczliwych. W ten sposób obaj posuwali się ku drzwiom, a młody pan spoglądał na zapasy te z uśmiechem. Nad głową i ramionami miotającego się Jankla podnosiła się bledsza coraz twarz Meira. Nagle oblał ją płomienny rumieniec.

— Niech wielmożny pan nie śmieje się — zawołał przerywanym głosem — wielmożny pan nie wie, jak mnie trudno mówić... Niech wielmożny pan domu swego od ognia strzeże...

Przy ostatnim wyrazie zniknął z progu, a Jankiel zdyszany, zmęczony, z drgającą twarzą drzwi za nim zatrzasnął.

Kamioński uśmiechał się ciągle. Nie dziw. Zapasy małego, rudego Jankla z wysokim i silnym, lecz zbyt wzruszonym, aby dostatecznie bronić się mógł, młodym Żydkiem rozbawiającego miały pozór. Śród zapasów tych długa odzież obydwóch zapasników rozwiewała się szeroko; Jankiel z uniesienia i wysilenia wielkiego podskakiwał i przysiadł. Meir drżał cały, tak jakby się bardzo lękał, i niezgrabnymi ruchy odpychał napastnika. Tworzyło to obraz śmieszny, tym śmieszniejszy, iż składali go ludzie, z których śmiać się ogólnym jest i odwiecznym zwyczajem.

Jakimże zresztą sposobem młody szlachcie zrozumieć mógł tajemny, a bynajmniej niekomiczny sens odgrywającej się przed nim sceny? Kiedy rozmawiał z Meirem, czy wiedział, kto właściwie stał przed nim? Młody to Żydek był, łamanym i zabawnym językiem mówiący, wnuk kupca i sam przyszły kupiec zapewne. Kimże by innym mógł być jak młodym, dość zabawnym Żydkiem i przyszłym zapewne kupcem? Że był on duchem szlachetnym, zbuntowanym przeciw głupotom i nieprawościom wszelkim, duchem aż do rozpaczliwej tęsknionym za swobodą i wiedzą, że przychodząc tu dokonywał aktu wielkiej odwagi i krokiem tym gubił całą przyszłość swoją, młody pan najłżejszego o tym nie miał wyobrażenia. Alboż istnieją pomiędzy Żydami duchy szlachetne, zbuntowane przeciw złemu, wysoką tęsknotą rozebrane, odważne?

Po chwili jednak dziedzic Kamioński przestał uśmiechać się i patrząc na Jankla zapytał:

— Wy tłumacz mi teraz, co to takiego było i co to za człowiek?

— At! co to było i co to za człowiek? — powtórzył Jan-

kiel, który w mgnieniu oka pozór spokojności odzyskać zdołał. — Było to głupstwo, za które ja wielmożnego pana bardzo przepraszam, że ono wielmożnego pana w domu moim spotkało, a ten człowiek jest wariat... On bardzo zły był i ze złości zwariował...

— Hm — rzekł Kamioński — nie wygląda jednak całkiem na wariata. Ładną ma twarz i wcale roztropną...

— On bo i niezupełny wariat... — zaczął Jankiel, ale przerwał mu Kamioński:

— Wnuk to Saula Ezofowicza?... — zapytał z zamyśleniem.

— On wnuk Saula, ale dziadek bardzo jego nie lubi...

— Lubi czy nie lubi, ale rodzzonego dziada pytać się o niego darmo...

— I owszem, niech wielmożny pan zapyta się... — wykrzyknął Kamionker, a oczy świeciły mu tryumfem. — Niech pan i stryjów jego zapyta się... Ot, ja zaraz pobiegnę i stryja jego, Abrama, tu przyprowadzę...

— Nie trzeba — rzekł krótko szlachcic.

Wstał i zamyślił się. Spojrzał potem na Jankla bystro i uważnie. Jankiel spotkał spojrzenie to śmiałym okiem. Milczeli obaj chwilę.

— Słuchaj, Janklu — rzekł Kamioński — jesteś człowiekiem niemłodym, zamożnym kupcem, ojcem rodziny, powinienem więc ufać ci więcej niż młokosowi, którego pierwszy raz w życiu widziałem i który zresztą naprawdę wariatem być może... Jednak w tym coś być musi... ja o młodego człowieka tego rozpytać się muszę...

— Niech wielmożny pan rozpytuje się — ze wzgardliwym wzruszeniem ramion rzekł Jankiel.

Kamioński po dość długiej chwili namysłu zapytał:

— Czy wasz sławny rabin jest teraz w miasteczku?

— A gdzie on ma być? on od urodzenia swego nigdy z miasteczka nie wyjeżdżał.

— Stateczny człowiek — uśmiechnął się znowu Kamioński i wziął ze stołu zgrabną swą czapeczkę.

— No, Janklu — rzekł — prowadź mię do rabina... Jeżeli i nie dowiem się nic ciekawego, zyskam przynajmniej to, że choć raz w życiu rabina waszego zobaczę...

Jankiel z pośpiechem drzwi przed wychodzącym gościem swym otworzył i wraz z nim na plac zupełnie już prawie pusty wyszedł.

Przez plac przechodził w tej chwili Eli Witebski i spostrzegłszy kamiońskiego pana z uśmiechem pełnym uprzejmości ku niemu pośpieszył. Kamioński też powitał go grzecznie. Zewnętrznym wyglądem swym przynajmniej światowy kupiec bardziej od innych mieszkańców miejsca tego zbliżonym był do tej odmiany rodu ludzkiego, która nosi nazwę ucywilizowanej.

— Wielmożny pan do miasteczka naszego zawitał! Czy za interesem jakim?

— Nie, przejazdem tylko.

— A dokąd wielmożny pan teraz dąży?

— Do rabina waszego, panie Witebski.

Witebski zdziwił się.

— Do rabina? a czego wielmożny pan od niego chce?

— Śmieszna historia, mój Witebski! Ot, powiedz mi, czy znasz wnuka Saula Ezofowicza?

— Którego? Saul ma wielu wnuków!

— Jak mu na imię? — przez ramię ku Janklowi rzucił pan.

— Meir! Meir! ten niegodziwiec! — zakrzyczał Kamionker.

Witebski skinął głową w znak zrozumienia.

— Nu! — zaczął z łagodnym i ugodliwym uśmiechem — niegodziwcem on nie jest. Młody jeszcze, poprawić się może... Ale niespokojną głowę on ma... to jest prawda...

— Cóż? miszugener trochę? — zaśmiał się pan żartobliwym gestem palec do czoła swego przykładając.

— Nu — odpowiedział Eli — wariatem on także nie jest... młody, porozumnieje jeszcze... ale teraz on wielkie głupstwa wyrabia... to prawda! On i mnie dziś nieprzyjemności wielkich narobił... Aj! aj! co ja przez niego zmartwienia i kłopotu miałem i będę jeszcze miał!...

— Tak więc — rzekł Kamioński — rodzaj to jest półgłówka i złośnika, który sam nie wie, czego chce, i wszystkim przykrości sprawia?

— Pan zgadł! — odpowiedział Witebski i zaraz dodał: — ale on młody jeszcze, z niego kiedyś porządny człowiek może być...

— Co znaczy, że teraz nie jest on porządnym człowiekiem...

— Proszę wielmożnego pana tędy — rzekł w tej chwili Jankiel wskazując dziedzicowi bramę synagogałnego dziedzińca.

— A gdzież jest mieszkanie waszego rabina?

Kamionker wyciągnął palec ku przytulonej do ściany świątyni ciemnej lepiance.

— Jakto! — zawołał szlachcic — w tej chacie?

I zmierzał ku chacie, ale z Jankielem już tylko, Witebski bowiem spostrzegłszy, że zanosí się na jakąś sprawę ważną może i przykrą, z ukłoniemi i uśmiechami szybko synagogałny dziedziniec opuścił.

Drzwi chaty rabina zamkniętymi już były, ale u otwartego jej okna stało jeszcze ludzi kilkunastu, z cicha pomiędzy sobą rozmawiających i od czasu do czasu we wnętrze chaty rzucających nieśmiało spojrzenia. Ale we wnętrzu chaty panowało już milczenie głębokie i ktokolwiek by widział wprzód, jak mozolnie i niezmordowanie Izaak Todros pracował przez długi szereg godzin, przypuściłby niezawodnie, iż teraz używał on spoczynku w śnie lub bezczynności zupełnej. Przypuszczenie takie byłoby grubą omyłką. Z wyjątkiem kilku krótkich godzin nocnych, w których sypiał on snem tak prze-

rywanym i trudnym, jakim bywa zazwyczaj sen ludzi o wytężającym się wciąż umyśle i rozdrażnionych nerwach, Izaak Todros nie spoczywał nigdy. Było to żyjące wcielenie pracy niezmordowanej, namiętnej, nie znającej, co to zniechęcenie płynące ze zwątpienia jakiegokolwiek albo trwożliwej o własne zdrowie i życie dbałości. I teraz także po całodziennym przenoszeniu upalnej i dusznej atmosfery sprawionej w ciasnej chacie jego ogromnym natłokiem ludzi, po długim wysilaniu myśli, pamięci i piersi, szybowski rabin nie legł na twarde łożo swe ani wyszedł za miasteczko, kędy świeżość i cisza owiać by mogły czoło jego oblane potem i zmięte brudami mozołu, ale pozostał na tej samej ławie, na której siedział od wczesnego ranka, i tylko księgę wielką przed sobą rozwarłszy wczytał się w nią pilnie, nabożnie, bezpamiętnie. Księgę tę zresztą, jak wszystkie inne, które posiadał, przeczytał on już tyle razy, że umiał ją na pamięć prawie od początku do końca. Czytał ją jednak ciągle, bo zza wyrazów jej błyskały mu coraz nowe sensy i tajemnice, a on ku ostatecznemu pojęciu sensów tych i odkryciu tajemnic dążył wszystkimi siłami ducha swego palącego się w ogniu mistycznych wiar, marzeń i pragnień.

Reb Mosze za to spoczywał, choć także niezupełnie. Siedział on w kątku izby na ziemi, łokcie opierał na podniesionych kolanach, brodę chował w dłonie, a wzrok zatapiał nieruchomo w twarzy mistrza schylonej nad księgą. Była to kontemplacja taką, z jaką mnich chrześcijański wpatruje się w obraz świętego patrona zakonu swego, z jaką wpółdziki murzyn przygląda się fetyszowi wystruganemu z drzewa, z jaką miłośnik i badacz natury spogląda w przestrzeń usianą miliardem świecących ciał niebieskich. W oczach reb Mosza wlepionych w twarz wielkiego rabina malowały się: uwielbienie, podziw i miłość.

Nagle otworzyły się drzwi izdebki i za progiem jej ukazał

się dziedzic Kamioński. Zatrzymał się tam chwilę i rzekł do idącego za nim Jankla:

— Zostań tu, panie Janklu, ja sam rozmówię się z panem rabinem.

Rzekłszy to pochylił nisko głowę, aby przestąpić próg drzwi zbytnie niskich dla wysokiej i okazałej jego postaci.

Przestąpił próg i pytającym okiem powiódł dokoła.

Naprzeciw niego, u czarnej od pyłu i brudu ściany, siedział na ławie człowiek w nędznym odzieniu, z czarnymi jak noc włosami i brodą, z twarzą pomarańczowego prawie koloru, którą podniósł przy wejściu jego znad książki o żółtych, odwiecznych kartach. Nad czołem człowieka tego, niskim i przerzniętym kilku grubymi poprzecznymi zmarszczkami, sterczał w półkole zmięty daszek czapki na tył głowy zsuniętej, a oczy jego, czarne i gorejące, z osłupieniem zdumienia utkwily w twarzy przybysza.

W kącie izby, nisko przy ziemi, szarzała druga jeszcze postać ludzka, ale na nią młody pan przelotnie tylko rzucił spojrzenie. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby człowiek siedzący na ławie, z dziurami na rękawach odzieży i osłupiałym wyrazem w oczach, był tym właśnie rabinem szybowskim, którego sława, rozchodząc się po świecie żydowskim na wiele mil dokoła, oderwanymi, niewyraźnymi echemi wnikała i w świat chrześcijański.

Zbliżył się tedy do człowieka tego i dość grzecznie jednak zapytał, czy może widzieć się z szybowskim rabinem.

Odpowiedzi nie było żadnej.

Siedzący na ławie człowiek wyciągnął tylko ku niemu długą, żółtą szyję i szerzej jeszcze otworzył oczy i usta. Osłupienie, a może i inne też nagle doznane uczucie rzuciły na całą powierzchowność jego wyraz ogłupiałości, do idiotyzmu niemal posuniętej. I nie dziw wcale, że Izaak Todros podobnie piorunującego doświadczył wrażenia na widok stojącego przed nim szlachcica. Pierwszy to był edomita, który progi

jego przestąpił, odkąd on sam w progach tych żył, pierwszy, którego z bliska ujrzały oczy jego i który przemówił doń dźwiękami rozlegającymi się w uszach jego obco zupełnie, niezrozumiale, a nieledwie dziko. Gdyby anioł Metatron, niebieski patron i obrońca Izraela, albo nawet wódz i naczelnik szatanów zjawili się byli przed nim, byłby on mniej zdumionym i przerażonym; z nadprzyrodzonymi bowiem jestestwami tymi wiązały go ściśle, jakkolwiek nie bezpośrednie stosunki. Badał i znał pochodzenie ich, naturę, właściwości i czynności wszelkie. Ale ten okazały, wysoki człowiek, w obrzydliwym ubraniu, które do kolan nie sięgało mu nawet, z białym jak u niewiasty czołem swoim i niezrozumiałą swą mową, z jakich stron przybywał? po co przychodził? czego chciał? Idumejczykiem-że był on? Filistynem? srogim Rzymianinem, który zwyciężył mężnego Barkobeka? albo co najmniej Hiszpanem, który mordował słynną rodzinę Abrabanelów, a i przodka jego, Todrosa, bezcennie z kraju swego wygnał?

Kamioński oczekiwał chwilę odpowiedzi na pytanie swe, a nie doczekawszy się jej zapytał powtórnie:

— Czy mogę widzieć się z szybowskim rabinem?

Tym razem na dźwięk podniesionego nieco głosu jego postać ludzka szarzejąca w kącie izby poruszyła się i powstała zwolna. Reb Mosze z otwartymi od zdziwienia usty i osłupiałym, w twarz przybysza utkwionym wzrokiem wysunął się na światło i gardłowo, przeciągle wymówił:

— Ha?

Na widok człowieka tego odzianego z pierwotną i niesłychaną już gdzie indziej prostotą po całej twarzy kamiońskiego dziedzica drgnęły i rozbiegły się szybko jednak powstrzymane uśmiechy.

— Mój panie! — zwrócił się do reb Mosza — czy człowiek ten głuchy jest i niemy? Dwa razy pytałem go już o szybowskiego rabina, a odpowiedzi żadnej nie otrzymałem.

Mówiąc to wskazywał Todrosa, który teraz z wolna zwrócił się ku mełamedowi i wyciągając ku niemu szyję zapytał:
— *Wos sagt er? Wos wil er?* (co on mówi? czego on chce?)

Reb Mosze zamiast odpowiedzi szerzej jeszcze otworzył usta, a w tejże chwili za otwartym okienkiem ozwały się szmery i szepty. Kamioński spojrzał ku okienku i zobaczył, że było ono całe napełnione twarzami spoglądającymi w głąb izby z zewnątrz. Twarze te były ciekawe i nieco przełknięte. Kamioński zwrócił się ku nim z zapytaniem:

— Czy tu mieszka rabin szybowski?

— Tu! — odpowiedziało głosów kilkanaście.

— A gdzież on?

Kilkanaście palców wskazało człowieka siedzącego na ławie.

— Jakto! — zawołał szlachcic — człowiek ten jest tym waszym sławnym i mądrym rabinem?

Twarze napełniające okno rozpromieniły się szczególną błogością jakąś i oczami dawały znaki twierdzenia.

Widać było, że Kamiońskiego ogarniała wielka chęć śmiechu, którą jednak powstrzymywał jeszcze.

— A to kto? — zapytał wskazując reb Mosza.

— Nu — odpowiedziało mu z okna parę głosów — to jest mełamed, bardzo mądry i pobożny człowiek.

Kamioński zwrócił się znowu do Todrosa.

— Szanowny panie rabinie — rzekł — chciałbym chwil kilka pomówić z panem bez świadków.

Todros milczał grobowo. Oddech jego tylko stawał się coraz śpieszniejszym, a oczy coraz płomienniejszymi.

— Panie mełamedzie! — rzekł szlachcic do bosonogiego człowieka w grubej koszuli — czy to może u was dzień taki, że rabinowi waszemu mówić nie wolno?

— Ha? — przeciągle zapytał reb Mosze.

Kamioński wpół śmiejąc się, wpół z gniewem zawołał ku stojącym za oknem ludziom:

— Dlaczego oni nie odpowiadają?

Długie nastąpiło milczenie. Twarze napełniające okno spoglądały ku sobie z widocznym zakłopotaniem.

— Nu! — ozwał się ktoś śmielszy — oni nie rozumieją tego języka, którym pan gada!

— A jakiż język do licha rozumieć oni mogą? — zawołał szlachcic.

— Nu — odpowiedział ten sam co wprzód głos — oni umieją tylko po żydowsku!

Kamioński szeroko roztworzył oczy. Nie chciał wierzyć uszom własnym. Śmiech go ogarniał, ale zarazem też i nieokreślony gniew jakiś.

— Jakto! — zawołał — oni nie rozumieją języka kraju, w którym żyją?

Milczenie.

— Nu — rzekł na koniec ktoś z okna — nie rozumieją!

W głosie, który krótki wyraz ten wymówił, dzwięczała też głucha jakaś niechęć.

W tejże chwili Izaak Todros porwał się z siedzenia swego, stanął, wyprostował się, podniósł obie ręce nad głowę i śpiesznie bardzo mówić zaczął:

— Przyjdzie taki dzień, że Mesjasz w ptasim gnieździe, które w raju zawieszonym jest, obudzi się i na ziemię zejdzie. Wtedy na całym świecie rozpostrze się wojna ogromna, Izrael stanie naprzeciw Edomu i Izmaela, a Edom i Izmael, zwyciężone, u nóg jego położą się, jako ścięte cedry.

Wymawiając wyrazy: Edom i Izmael mówiący wyciągnął wskazujący palec swój ku stojącemu na środku izby edomicie. Gest ten jego groźny był i uroczysty; groźnie i namiętnie płonęły mu oczy, piersią pochwycił szybko powietrze i z wybuchem głosu powtórzył raz jeszcze:

— Edom i Izmael położą się u nóg Izraela, jako złamane

cedry, a grom pomsty Pańskiej spadnie na nich i zetrze ich w proch.

Teraz kolej nierozumienia przyszła na stojącego pośrodku izby edomite. Podobnym on był wprawdzie do smukłego i silnego cedru, ale nie do takiego wcale, który wkrótce ulec ma katastrofie rozsypania się w proch. Przeciwnie, był on bliższym coraz katastrofie homerycznego śmiania się, której szczęśliwie, choć z niemałym wysileniem, unikał dotąd.

— Co on mówi? — zapytał ludzi tłoczących się w oknie.

Odpowiedzi nie było. Wszyscy stali z oczami wlepionymi w mówiącego mędrca, a na ciemnej, okrągłej twarzy mela-meda rozlewał się już wyraz niewysłowionego zachwyty.

— Moi kochani! — zawołał Kamioński — powiedzcie mi, co on mówił?

Głos jakiś z okna, gruby i chropowaty, ale dziwnym jakby szyderstwem, dziwną jakby żądzą odwetu nabrzmiała, odpowiedział pytaniem:

— Jasny pan nie zrozumiał?

Pytanie to naiwne, dziwaczne, niesłychane położyło kres silnej woli młodego pana. Szafirowe oczy jego zaświeciły nieposkromioną wesołością, a z piersi wybuchnęła długa, głośna gama śmiechu.

Ze śmiechem tym zwrócił się ku wyjściu.

— Dziecy ludzie! — zawołał we drzwiach.

Idąc synagogałnym dziedzińcem śmiał się wciąż i coraz więcej, a ludzie, którzy cisnęli się ku oknu rabina, poodwracali teraz głowy i ścigali go wejrzeniami pełnymi zdumienia i dotkliwej, głębokiej obrazy.

Nie dziw. Młody pan śmiał się, a pomimo śmiechu w głębi piersi czuł głuchy gniew i urazę, bo mędracy izraelscy, których widział przed chwilą, wydali się mu ludźmi dzikimi i wysoce komicznymi, a nie rozumieli nawet języka ziemi tej, której powietrzem oddychali, a płodami żywili się od wieków. Ludzie zaś cisnący się do chaty rabina ścigali go wzrokiem

niechętnym, aż do nienawiści prawie, bo śmiechem swym zbluźnił on temu, co oni najgoręcej miłowali i czcili najwyżej.

Biedni mędracy izraelscy i czciele ich, którzy ścigali edomitę nienawistnymi spojrzzeniami! Biedny edomita śmiejący się z izraelskich mędrców i ich czcicieli! Lecz najbiedniejsza, o! najbiedniejsza ziemia, której synowie po wspólnej wiekowej podróży nie rozumieją wzajem mowy ani ust, ani serc swoich!

W bramie synagogałnego dziedzińca Jankiel Kamionker znalazł się obok młodego dziedzica.

— No, panie Jankiel — zawołał dziedzic — mądrego i uczonego rzeczywiście macie rabina!

Jankiel nie odpowiedział na to nic i zaczął zaraz mówić o przyszłorocznej dzierżawie kamiońskiej gorzelni. Zdawałoby się, że tak lekcewazył wszystko, co zaszło, iż zapomniał już nawet o tym. Kamioński nie zapomniał, ale jedynym wrażeniem, które pozostawiło mu wszystko, co słyszał i widział, było zdziwienie połączone z wesołością. Młody prorok, rozgniewany na proroka Jankiel z długimi pejsami, rabin nie znający żadnego innego języka jak żydowski i towarzysz jego ubrany z pierwotną prostotą — wydawali mu się na przemian to niezrozumiałymi, to oburzającymi, to śmiesznymi. Pilno mu było o doświadczonej w żydowskim miasteczku awanturze opowiedzieć krewnym i przyjaciółom, do których jechał. Jakże głośnie i serdecznie śmiać się będzie z opowiadania jego rumiany i dobroduszny pan Andrzej! Z jak wdzięcznym uśmiechem na różanych ustach wysłucha go córka pana Andrzeja, prześliczna Jadzia, o której wdzięcznych uśmiechach od wielu już tygodni i miesięcy dziedzic Kamioński marzył jak wierny o raj!

Myśląc o uśmiechu prześlicznej Jadzi młody pan wskoczył na najtyczankę swą, a spojrzawszy ku zachodniej stronie nieba zawołał:

— O! jakżeście mię długo tu zatrzymali!

Skinął potem głową ku Jankłowi i krzyknął na furmana:

— Ruszaj!

Dzielną czwórka siwców porwała zgrabny kawalerski powozik, który jak błyskawica przemknął przez plac miasteczka i zniknął w złotych kłębach kurzawy.

Na zachodniej stronie nieba gasły zwolna jaskrawe obłoki, przezroczysty zmrok sierpniowego wieczoru spuszczał się na miasteczko i szarawym cieniem napęlniać zaczynał bawialną izbę domostwa Ezołowiczów. W izbie tej rozlegały się przed chwilą zgiełkliwe krzyki i kłótnie, wśród których wzbijał się najgłośniejszy i najzapamiętalej mówiący głos reba Jankła. W sposób rozmaity: poważnie i gwałtownie, gniewnie i ugodliwie odpowiadali mu liczni członkowie rodziny, którą rudy Jankiel osypywał skargami, wyrzutami i groźbami. Po czym skarżący się i grożący człowiek, drżąc cały od gniewu, a może i trwogi, wypadł z domostwa i pędem wielkim pobiegł ku mieszkaniu rabina, a kilku ludzi w izbie pozostałych siedziało i stało długo w milczeniu i nieruchomości zupełnej, tak jakby gniewne lub kłopotliwe myśli w głowach ich powstałe każdego z nich przykuły do miejsca.

Saul siedział na żółtej kanapie z głową schyloną i rękami nieruchomo złożonymi na kolanach, oddychał ciężko i głośno wzdychał. Dokoła niego otrząślszy się na koniec z zadumy i wzruszenia zasiedli na stołkach: Rafał, Abram i Ber. Przysunęły się też i cicho za mężczyznami swymi usiadły żony Rafała i Bera, niewiasty lubione i poważane w rodzinie. W kącie izby szarzała jedna jeszcze postać ludzka. Był to młodziutki Chaim, syn Abrama, a serdeczny przyjaciel Meira, którego obecności nikt nie spostrzegał.

Saul pierwszy przerwał milczenie.

— Gdzie on poszedł? — zapytał.

— Do rabina na skargę — odpowiedział Abram.

— On Meira przed sąd duchowny powoła... — zauważył Rafał.

Saul zakołysał się i jęknął:

— Aj! aj! biedna głowa moja! tegoż ja doczekałem się na starość moją, ażeby wnuk mój przed sądem stawiony był jak rozbójnik jaki albo oszust!

— On jako donosiciel przed sądem stanie — z uniesieniem zawołał Abram i pędkiem, gwałtownie mówił dalej:

— Tate, z Meirem coś zrobić trzeba. Ty myśl i rozkazuje, co z nim zrobić. Tak dłużej nie może być. On siebie i synów naszych zgubi, a całej familii naszej wstydu i szkód wielkich narobi. Tate! ludzie i tak już gadają, że ród Ezołowiczów ciągle wydaje z siebie ludzi takich, którzy zakon izraelski rękami swymi podkopywać chcą i do domu izraelowego wprowadzać fałszywe bogi!

Po chwili milczenia Rafał poważnie i posępnie nieco głos zabrał:

— To jest prawda. Ja sam słyszałem takich ludzi, którzy mówili, że ród Todrosów i ród Ezołowiczów są jak dwie rzeki, z których jedna płynie w tył, a druga naprzód. One ciągle spotykają się z sobą i walczą, która którą pod ziemię zepchnąć ma. Gadanie to ucichło było i zapomnieli o nim ludzie. Teraz ono znowu zaczęło rozchodzić się po świecie. Winien temu Meir. Tak dłużej być nie może. Trzeba z nim coś zrobić. Ty, tate, myśl o tym i rozkazuj, a my rozkazania twoje do skutku przyprowadzimy.

Wśród niepewnych światła szarej godziny widać było, jak na pomarszczone policzki Saula wybijały się ceglaste rumieńce.

— Co z nim zrobić? — zapytał po długiej chwili milczenia, a głos jego podobnym był do stłumionego łkania.

— Trzeba jego bardzo srogo ukarać! — zawołał Abram. Rafał wyrzekł:

— Trzeba jego jak najprędzej ożenić!

Ber, który milczał dotąd, ozwał się:

— Trzeba jego stąd wysłać.

Saul namyślał się długo, potem odpowiedział:

— Wszystkie wasze rady niedobre są. Karać bardzo srogo ja jego nie mogę. A co by na to powiedziała dusza ojca mego, Hersza, którego drogami on chce chodzić, a którego sądzić mnie nie wolno? Ożenić jego prędko ja także nie mogę, bo dziecko to nie takie jest, jak wszystkie. Harde i zuchwałe ono jest i w kajdany okuć się nie da. On już zresztą taki splamiony i srogimi naganami cały okryty, że jemu żaden bogaty i uczony Izraelita córki swojej za żonę nie da...

Tu głos Saula zadrżał znowu upokorzeniem wielkim. Też goż doczekał się, że wnuka jego, najulubieńszego niegdyś ze wszystkich, żadna już z dostojniejszych rodzin izraelskich za syna swego przyjąć nie zechce!

— Wysłać jego stąd — mówił dalej — ja także nie mogę... bo mnie strach, żeby on na szerokim świecie nie rozproszył do reszty z serca i głowy swojej wiary swoich ojców... Ja jestem teraz tak, jak ten wielki i uczony rabin, o którym takie pisanie jest, że miał on syna bezbożnego bardzo, który pod sekretem od niego *chazar* (wieprzowinę) jadł. Ludzie radzili jemu, żeby on syna tego w świat wysłał i biedzie a tułaczce srogiej w ręce oddał. Ale on powiedział: „Niech syn mój przy mnie zostanie i na zmartwioną postępowaniem jego twarz moją patrzy ciągle, bo widok ten serce jego miękkiem i posłusznym zrobić może, a sroga bieda przemieni je w twardy kamień...”

Umilkł Saul i wszyscy milczeli. Milczenie to przerywały tylko od czasu do czasu westchnienia dwóch niewiast siedzących za mężami swymi. W izbie ciemniało coraz.

Po chwili przyciszonym nieco i nieśmiałym jakby głosem Ber mówić zaczął:

— Pozwólcie, ażebym ja dziś otworzył przed wami serce

moje. Ja rzadko mówię, bo ile razy mówić ja chciałem, na mnie spadały dawne przypomnienia z mojej młodości, a głos mój odzywał się spod nich jak spod ziemi i najcichszym był ze wszystkich głosów w rodzinie naszej. Ja i przestałem mówić i doradzać i patrzyłem tylko żony mojej, dzieci i interesów moich. Ale teraz ja znów mówić muszę. Na co tu tak długo myśleć, co z Meirem zrobić? Dajcie jemu swobodę. Pozwólcie mu iść w świat, a gniewem waszym ani wtrąceniem go w biedę srogą nie karzcie go! Co on zrobił? On wszystkie przykazania synajowe wiernie pełnił i nauki świętej pilnie uczył się, a wszyscy bracia i wszystkie siostry w całej rodzinie jego i nawet ubogi, prosty lud, co w nędzy i ciemnocie żyje, kochają jego jak duszę własną. Czego wy od niego chcecie? za co wy jego karać macie? co on złego zrobił?

Przemówienie to Bera wypowiedziane w półmroku i w półmroku głosem wywarło na wszystkich obecnych silne wrażenie. Żona jego, Sara, przełęczniona widocznie, ciągnęła go za rękaw od surduta i szeptała mu w ucho:

— Szaa! szaa! Ber! na ciebie będą gniewać się za zuchwałe słowa twoje!

Saul kilka razy podniósł głowę i kilka razy pochylił ją znowu. Można by rzec, że wdzięczność dla Bera walczyła w nim z obrazą i gniewem. Porywczy Abram zawołał:

— Ber! twoje własne grzechy przez usta twoje przemówiły! Ty ujmujesz się za Meirem, bo sam byłeś taki, jaki on teraz jest!

Rafał wyrzekł ze zwykłą sobie powagą:

— Ty, Berze, mówiłeś o przykazaniach synajowych i powiedziałeś, że Meir przeciw nich nie zgrzeszył. To jest prawda. Tylko ty zapomniałeś, że zakon izraelski nie tylko na tych dziesięciu przykazaniach stoi, co je Mojżesz na górze Synaj od Pana usłyszał, ale jeszcze i na sześciuset trzynastu, które wielcy tanaici, amoraici, gaonowie i rabini w Talmudzie zapisali. My posłusznymi powinniśmy być nie dziesięciu, ale

sześciuset trzynastu przykazaniom, a Meir talmudowych przykazań wiele naruszył...

— On wiele grzechów popełnił — zawołał Abram — ale największy grzech jego jest ten, którego on dopuścił się dzisiaj. On brata swego, Izraelitę, przed cudzym człowiekiem oskarżył, głowę jego wielkim niebezpieczeństwom poddał i naruszył jedność i przymierze izraelskiego ludu! A co z nami stanie się, jeżeli my jeden drugiego przed cudzymi ludźmi skarżyć będziem? A kogóż my kochać i bronić będziem, jeżeli nie braci naszych, co są kością naszych kości i krwią naszej krwi? On więcej pożałował cudzego człowieka jak brata swego, Izraelitę, niechże jemu za to...

Nagle namiętny i zapaleczywy człowiek ten mowę swą urwał, umilkł i z otwartymi jeszcze usty nieruchomym jak posąg pozostał. Siedział on naprzeciw okna i w okno to wpatrzył się sztywnym wzrokiem.

— Co to jest? — zawołał na koniec drżącym głosem.

— Co to jest? — powtórzyli za nim i wszyscy obecni z wyjątkiem Saula powstali z miejsc swoich.

W izbie, ciemnej przed chwilą, widno zrobiło się tak, jak gdyby na placu miejskim zapłonęło tysiąc pochodni i światło swe do wnętrza domostwa obfitymi strugami wlewało. Pochodnie to były w istocie, ale nie na placu miejskim, tylko kędyś o parę wiorst dalej płonące, i nie wewnątrz domostwa Ezofowiczów tylko, ale całą firmamentu połowę oblewające morzem jaskrawych światłości.

Wśród nagle rozbłyśniętego w koło nich oświetlenia trzech mężczyzn stali pośrodku izby nieruchomi, oniemiałi, wpatrzeni w słupy ogniste rozplywające się po niebie coraz szerzej... coraz wyżej...

— Jak on prędko zamiaru swego dokonał! — wyrzekł Abram.

Nikt nie odpowiedział. W miasteczku, cichym przed chwilą, ozywać się zaczęły gwary i hałasy. Żadna w świecie

ludność tak łatwo i prędko, jak izraelska, nie daje się porwać wrażeniom wszelkiego rodzaju. Tym razem wrażenie silnym być musiało. Budził je żywioł potężny, roznoszący po ziemi zniszczenie, a po niebie prześwieczne blaski. Toteż słychać było, jak ze wszystkich ulic i uliczek miasteczka, z tętentem stóp śpiesznie biegnących, z szumami wzburzonych jakby strumieni, tysiączna ludność płynęła ku zamiejskim polom. Za oknami Ezofowiczów plac czerniał cały od płynącego w jednym kierunku tłumu tego i wrzał gwarem najrozmaitszych zapytań i przypuszczeń. Lecz ponad gwarem tym rozległo się kilka donioślejszych głosów:

— Kamionka! Kamionka! — zawołali ludzie lepiej od innych z miejscowością oznajomieni.

— Herste! herste! Kamioński dwór! — pochwyił cały chór głosów.

— Aj! aj! taki wielki dwór! taki piękny dwór!

Były to ostatnie wykrzyki, które nad tłumem szumiącym za oknami wzbijając się wniknęły do wnętrza domu Ezofowiczów.

Potem tłum ten przepłynął plac, oddalił się ku krańcowi miasteczka, a odgłosy stąpań i rozmów jego ozywały się z dala już tylko i niewyraźnie.

Wtedy stary Saul powstał z kanapy i z twarzą zwróconą ku oknu stał długo nieruchomy i milczący.

Zwolna potem podniósł ręce, które drżały trochę, i drżącym też głosem wymówił:

— Za czasów ojca mego, Hersza, i za czasów moich nie działy się rzeczy takie na świecie i grzechów takich pośród Izraela nie było... z rąk naszych płynęły na kraj ten srebro i złoto, ale nie ogień i łzy...

Po chwili milczenia, w głębokiej jakby zadumie pogrążony, ze wzrokiem wciąż wpatrzonym w ogniste niebo, rzekł jeszcze:

— Ojciec mój, Hersz, z dziadem jego w wielkiej przy-

jaźni żył... oni często rozmawiali ze sobą o ważnych interesach, a Kamioński pan, co jeszcze opasywał się pasem złocistym i długą szablę u pasa nosił, do ojca mego, Hersza, mówił: „Ezofowicz! ty wielkie serce w sobienosisz, i jak nasza strona górę weźmie, my ciebie na sejmie szlachcicem zrobim!...” Syn jego nie taki już był, jak ojciec, ale ze mną grzecznie on zawsze rozmawiał; ja w majątku jego wszystkie zboże przez trzydzieści lat zakupywałem i w każdej jego potrzebie kieszeń swoją jemu otwierałem, bo do niej z ziemi tej, co własnością jego była, wiele zysków płynęło... Kamiońska pani... ona i teraz jeszcze żyje... lubiła bardzo matkę moją, Frejdę, i raz jej powiedziała: „Pani Frejda ma w domu swoim wiele brylantów, a u mnie jest tylko jeden...” Ona brylantem syna swego nazywała, który jeden u niej był jak w oku żrenica... tego samego syna swego, którego dom teraz w płomieniu stoi...

Wskazujący palec wyciągnął ku ognistej łunie i grozą, czy żalem, czy zdumieniem jakimś zdjęty umilkł, a stojący za nim Rafał z kolei przemówił:

— Kiedy ja ostatni raz w kamiońskim dworze byłem, stara pani siedziała z synem swoim na ganku i jak ja o interesie mówić zacząłem, ona do niego powiedziała: „Pamiętaj, Zygmunte, żebyś ty nikomu zboża swego nie sprzedawał tylko Ezofowiczom, bo oni są ze wszystkich Żydów najuczciwsi i najlepiej nam sprzyjają”. A potem ona mię zapytała się: „Czy stara Frejda żyje jeszcze, a syn jej, Saul, czy zdrow i dużo już wnuków doczekał się?” Potem patrzyła ona na syna swego i powiedziała do mnie: „Panie Rafał! a ja żadnego jeszcze wnuka nie mam!” Ja jej grzecznie pokłoniłem się i powiedziałem: „Niech wielmożna pani sto lat żyje i prawnuków doczeka się!” Ja kłamstwa w ucho jej nie wkładałem! Ja jej szczerze tego życzyłem. A dlaczego ja bym miał jej źle życzyć?

Przestał mówić Rafał, a po chwili Saul nie odwracając twarzy zapytał krótko:

— Rafał! wiele ty lat z młodym Kamiońskim handlujesz?

— Ja z nim handluję od tego czasu, jak on wyrósł i gospodarzem zrobił się... on innego kupca jak tylko mnie jednego znać nie chce...

— Rafał! czy ty od niego krzywdę jaką miałeś?...

Rafał po namyśle chwilowym odpowiedział:

— Nie; ja od niego krzywdy żadnej nigdy nie miałem. On trochę pyszny jest, to prawda, i interesów swoich nie bardzo pilnować umie... pohulać on sobie lubi, a kiedy Izraelita kłania się jemu, on głową z wysoka kiwa i za przyjaciela swego mieć go nie chce... ale u niego serce dobre jest, a słowo rzetelne i w interesach on łatwiej skrzywdzić się da, jak sam kogo skrzywdzi...

Stojąca za mężem Sara splotła ręce i wzdychając, a głową kołysząc jęknęła:

— Aj! aj! taki młody pan, a takie już nieszczęście na głowę jego zważyło się!

— Taki piękny pan i z taką piękną panną żenić się miał! — zawtórowała żona Rafała.

— A jak on ożeni się teraz, kiedy dom jego płomienie pożra! — rzekł Saul i dodał ciszej:

— Na duszę Izraela spadł dziś wielki grzech!

Odpowiadając jakby słowom ojca, Rafał wymówił poważnie i z cicha:

— Na głowę Izraela spadła dziś wielka hańba!

Z kąta izby, do którego najmniej dochodziły płynące z zewnątrz jaskrawe światła, wyszedł, wysunął się raczej Abram. Przygarbiony, z głową schyloną, zbliżył się on do ojca drżąc na całym ciele, rękę jego pochwycił i do ust ją swoich przycisnął.

— Tate! — rzekł — ja tobie dziękuję za to, że ty mnie do tego należeć nie pozwoliłeś!

Saul podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu pomarszczone czoło, energia błysnęła w przygasłych oczach.

— Abram! — rzekł głosem, który brzmiał rozkazująco — niech tobie w ten moment dwa konie do wozu zaprzęgą. Siadaj ty na wóz i jedź prędko do tych państwa, u których Kamioński gości... Stamtąd pożaru nie widać... Jedź prędko i powiedz jemu, żeby on jechał matkę swoją i dom swój ratować...

Zwrócił się do Rafała:

— Rafał! idź ty do karczmy Jankla Lejzora... tam kamiońscy chłopci bawią się i piją... Popędź ich, żeby jechali prędko i dom dziedzica swego ratowali...

Posłuszni jak małe dzieci, dwaj synowie Saula śpiesznie opuścili izbę, kobiety wybiegły na ganek domu, a wtedy Ber zapytał Saula:

— Tate! a co ty teraz myślisz o Meirze? Czy on źle zrobił, że Kamiońskiego ostrzegął?

Saul pochylił głowę, ale nic nie odpowiedział.

— Tate! — mówił Ber — ratuj ty Meira. Idź do rabina i do dajonów (sędziów), i do kahalnych i proś, żeby nad nim sądu nie czynili...

Saul długo nie odpowiadał.

— Ciężko mi do nich iść — odrzekł na koniec — a najciężej siwą głowę moją przed Todrosem pochylać... Nu — dodał po chwili — pójdę jutro... dziecka bronić trzeba... choć ono zuchwałe jest, a wiarę i obyczaj ojców swoich za mało szanuje i lubi...

Kiedy tak działo się w domu Ezofowiczów, małą łąkę zamiejską pokrywał całkiem stłoczony, czarny, fałujący i szmerzący tłum. Z miejsca tego najlepiej można było oglądać widowisko straszne, a świetne. Tutaj też zgromadziła się, ciekawością i żądzą wrażeń wiedzioną, cała ludność miasteczka.

Łuna pożaru podnosiła się zza sosnowego boru. Oświetlony przez nią, stał teraz różowy cały, a tak przezroczysty, iż, zda się, można by było przeliczyć wszystkie gałęzie wien-

czące wierzchołki gładkich drzew jego. Szeroko wpółokrąg rozlana łuna ta, szkarłatna u dołu, przechodziła wyżej wszystkie odcienie złocistości, aż u szczytu samego rąbkiem bladego żółtym przerzynała na połowę sklepienie niebios i zlewała się z bladym jego błękitem. Wobec gorejących, przeraźliwych blasków tych gwiazdy świeciły mdło, jak pozłacane blaszki, a odpowiadał im tylko na drugiej stronie widnokregu wysuwający się zza gaju ogromny, czerwony księżyc.

Wśród ludu zalegającego łąkę toczyły się liczne zmieszane rozmowy. Opowiadano tam, że Jankiel Kamionker przy pierwszym zaraz błysku pożaru wielkim pędem poleciał do gorejącego dworu biadając i rozpaczając głośnie nad prawdopodobną stratą wódki swej, której tam ilość wielką posiadał. Znaczna ilość ludzi opowiadania tego słuchających uśmiechała się dwuznacznie, inni wstrząsali głową z pożałowaniem nad przypuszczalnymi a ogromnymi stratami Jankla. Większość zachowywała o Janklu i wódce zagrożonej zniszczeniem milczenie zupełne. Domyślano się znać prawdy; tu i ówdzie wiedziano nawet o niej na pewno, ale wtrącać się w sprawę choćby słowem nieostrożnym nikt nie śmiał i nie chciał.

W dobrą godzinę po pierwszym błysnięciu na niebie ognistej łuny zaturkotały w uliczce przytykającej do łąki z szybkością nadzwyczajną toczące się koła i na łąkę wpadła najtyczanka czterema końmi w pełnym galopie unoszona. Nie była to zwyczajna droga do Kamionki, nie było tu nawet żadnej drogi, ale jadąc tędy dziedzic gorejącego dworu skracał sobie znacznie przestrzeń, którą miał do przebycia. Nie siedział on w zgrabnym powoziku swoim, ale stał; ręką trzymał się poręczy kozła i pochylony naprzód, oczy wlepił w różowy od świateł bór, za którym matka jego przebywała w ogarniętym płomieniami domu jego ojców. Gdy jednak konie jego wpadły na łąkę, spostrzegł on tłoczącą się tam gęsto ludność i krzyknął na stangreta:

— Ostrożnie! ludzi nie rozjedź!

— Dobry człowiek! — rzekł ktoś w tłumie — w nieszczęściu takim myślał jeszcze o tym, żeby ludziom nieszczęścia nie zrobić!

Ktoś inny westchnął głośno.

Kilka głów nachyliło się blisko ku sobie i zaszeptało. W szepcie tym ozwało się imię Jankiela, wymówione cicho... bardzo cicho...

Było jednak miejsce jedno nie na łące, ale wśród przytykającej do niej uliczki, gdzie rozmawiano głośno. U chaty krawca Szmula na stojącej pod oknami ławie stał Meir. Patrzył on stamtąd na łąkę czarną od ludu i na gorejącą za łąką łunę. Poniżej otaczało go kilkunastu młodych ludzi, zwykłych towarzyszy jego. Z twarzy ich odgadnąć można było, że byli oni wzburzonymi do głębi. Chaim, syn Abrama, który całą przedgodzinną rozmowę Saula i synów jego usłyszał z kątką, w którym był ukryty, opowiadał ją przyjaciółom. W uniesieniu swym nie hamował on głosu swego. Powtarzał każde słowo, które zamieniali pomiędzy sobą starsi członkowie rodziny, głośno i dobitnie, a towarzysze jego głośno też i dobitnie im przytwierdzali. Młode i nieśmiałe zwykle serca te oburzenie i wstyd uczyniły śmielszymi nieco... W chórze tym nie słychać było jednego tylko głosu, który jednak zazwyczaj odzywał się wśród niego pełnymi słodczy i mądrości słowami. Eliezer nie stał wśród towarzyszy swych skupionych dokoła Meira, ale siedział dalej nieco na ziemi, plecami oparty o czarną ścianę chaty. Łokcie wspierał on na kolanach i z nisko pochyloną głową twarz ukrywał w dłoniach. Zdawać się mogło, że skamieniał w postawie tej, pełnej żalu i wstydu. Czasem tylko zakolysał się w obie strony... Widać było, że miękki, marzący, trwożliwy duch ten tonął teraz cały w morzu gorzkich, rozpacznych, a może i wzmacniających rozmyślań.

Nagle brzegiem uliczki, pod cieniem chat i parkanów, przesunął się z szybkością nadzwyczajną wysoki i cienki cień

ludzki; obok gromadki skupionej u drzwi Szmula dał się słyszeć oddech strasznie zmęczonej piersi jakiejś, głośny i połączony z powstrzymywanymi jękami.

— Szmul! — wymówili młodzi ludzie.

— Cicho! — stłumionym głosem zawołał Meir i z ławki na ziemię zeskoczył. — Niech usta wasze nie wymawiają imienia nędzarza tego, ażeby głowy jego niebezpieczeństwu nie poddać... Ja tu stałem powrotu jego czekając... rozejdźcie się stąd i pamiętajcie o tym, że oczy wasze Szmula wracającego z ognistej strony tamtej nie widziały...

— Ty prawdę mówisz — szepnął Ariel — to jest biedny brat nasz!

— Biedny! biedny! biedny! — powtórzono dokoła.

Rozeszli się. Przy chacie nędzarza został tylko Meir, który u progu jej stanął, i Eliezer, którego nic ze skamieniałości, w jaką popadł, obudzić nie mogło.

Szmul wbiegłszy do izby, z której prócz najmniejszych dzieci i ślepej matki powychodzili wszyscy, na brudną podłogę upadł, czołem o nią uderzył i wdychając, łkając, jęcząc przerywanymi wyrazami mówił:

— Ja nie winien! ja nie winien! ja nie winien! ja nie podpalał i naczynia z oliwą tą w ręku moim nie trzymał! On... Jochel... wszystko zrobił... ja stał na polu i pilnował... ale kiedy przed oczami mymi ogień błysnął... aj waj! aj waj! ja wtedy poznał, do czego ja należał...

— Cicho! — ozwał się przy biedającym nieprzytomnie człowieku głos przyciszony i smutkiem nabrzmiały. — Zamknij usta swoje, Szmulu, a ja okno twojej chaty zamknę...

Szmul podniósł twarz i wnet ją znowu do ziemi przyłożył.

— Morejne! — zajęczał — morejne! córki moje więcej jak po szesnaście lat mają, trzeba było za męża je wydać! Po datków ja za cały rok nie miałem już czym zapłacić!...

— Wstań i ucisz się! — rzekł Meir.

Szum nie usłuchał. Ustami zmiatając pył z brudnej podłogi zajęczał jeszcze:

— Morejne! ratuj mię! Ja ze wszystkim już ciało i duszę moją zgubiłem!

— Ty duszy swojej nie zgubisz i Przedwieczny na szali grzechów twoich położy nędzę twoją, jeżeli ty pieniędzy tych, którymi skusili cię źli ludzie, nie weźmiesz...

Tym razem Szmul twarz oderwał od ziemi. Twarz ta, wychudła, blada śmiertelnie, nerwowymi drganiem targana, objawiała sobą wszechstronną, do ostatnich granic posuniętą nędzę człowieka.

Spojrzał na Meira oczami, w których malowały się na przemian rozdzierający ból i śmiertelny przestrah, a trzęsącą się dłonią wskazując dokoła izbę swą wyjąknął:

— Morejne! a jak ja bez pieniędzy tych dłużej żyć będę?

Dobre pół godziny upłynęło, zanim Meir opuścił izbę, w której coraz ciszej już obwiniał się, wyrzekał i rozpaczał Szmul. Wnikający z ulicy szeroki pas jaskrawego światła oświetlał w pełni jeden z kątów ciasnej sionki. W kącie tym pod czarną, chylącą się ścianą bieleły dwie kozy, z których jedna stała, a druga leżała. Pomiędzy kozami, na więzi zmiętej słomy, z rękami wsuniętymi w podarte rękawy szarej surduciny, z głową ołożoną światłem pożaru, a wspartą o deskę wystającą ostro spośród ściany, spał Lejbele. Ani krzyk i wrzawa, ani rażące światłości niebios, ani jęki i wyrzekania ojca nie przerwały snu niewinności, którym wśród dwóch kóz, przyjaciółek swych, usypiało dziecko to nędzy, ciemnoty i występku...

III

Nazajutrz w miasteczku całym panował ruch niezwykły. O niczym więcej nie mówiono tam jak o pożarze, który do szczytu prawie zniszczył dwór kamioński, o chorobie starej pani, którą przewieziono naprędce do dworu sąsiadów jakichś czy krewnych, i o ogromnych stratach kamiońskiego pana, któremu oprócz zabudowań dworskich spłonęła stodoła napełniona zdjętym z pól zbożem.

Ażeby rozmawiać o wypadku tym, ludzie schodzili się w gromadki na placu, pośród uliczek, u progów domostw, a gdyby kto podsłuchiwał rozmowy ciche, choć żwawe, toczące się pośród gromadek owych, dosłyszałby tu i ówdzie formułowane pytanie:

— A co z nim stanie się?

Pytanie to tyczyło się nie Kamiońskiego, lecz Kamionkera. Kamiońskiego żałowano tu i ówdzie, jak tu i ówdzie naganiano Jankła — lecz był to człowiek całkowicie dla ludności szybowskiej obcy, nie znający jej i przez nią wzajem z twarzy tylko znany; Kamionker zaś żył się z ludnością tą od pierwszych dni swego istnienia, posiadał wśród niej szeroką sieć stosunków interesowych i przyjaznych, a w dodatku wobec niższej jej warstwy obleczony był aureolą bogactwa i prawowiernej, żarliwej pobożności. Nie dziw też, iż przyganiający mu nawet lękali się o niego.

— Czy jego będą podejrzewać? — zapytywano tu i ówdzie.

Ten i ów odpowiadał:

— Na niego żadne nie padłoby podejrzenie, gdyby Meir Ezofowicz purycowi złych myśli w głowę nie włożył...

— On zerwał jedność i przymierze izraelskiego ludu...

— On głowę brata swego niebezpieczeństwu poddał...

— A co to dziwnego? On kofrim jest... niedowiarek...

— On na reb Mosza rękę swoją śmiało podnieść...

— On z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma...

I ci, co to mówili, niechętnie, groźne czasem spojrzenia rzucali na okna domostwa Ezofowiczów.

Domostwo to stało dnia tego milczące i martwe jak nigdy. Okien nawet na plac wychodzących nie otworzono, choć zwykle przez wiosnę i lato całe bywały one otwieranymi tak ciągle i szeroko, że ktokolwiek by chciał tylko, mógłby od rana do wieczora patrzeć przez nie na życie licznej rodziny, która nic nigdy do ukrywania nie miała.

Dnia tego jednak nikt w domie tym nie pomyślał o otwarciu okien ani uprzątnieniu wielkiej izby bawialnej, starrannie zwykle uprzątaney. Kobiety chodziły z kąta w kąt jak nieswoje, w czepcach zmiętych nieco od częstego chwytania się rękami za głowę, stawały przed ogniskiem kuchennym z twarzami opartymi na dłoniach i w zamyśleniu wzdychały. Sara miała nawet oczy zapłakane. Nie dziw; mąż jej, Ber, przez cały ranek nosił na czole swym owe dwie grube zmarszczki, w których ona odgadywała nieznane i niepojęte dla niej cierpienie, a do niej słowa nie przemówił i siedział teraz w izbie bawialnej, z głową opartą na dłoni, milcząc i szklistym wzrokiem spoglądając z kolei na dwu braci jej, Rafała i Abrama. Rafał pochylał wprawdzie twarz nad rachunkową księgą, ale widać było, że nie rachował, lecz o czymś ważnym bardzo głęboko myślał. Od chwili do chwili podnosił oczy znad książki i spoglądał na Bera i Abrama. Stary Saul na żółtej kanapie siedząc zdawał się także zatonionym w czytaniu grubej nabożnej księgi. W rzeczywistości zaś mniej jeszcze niż zwykle czytana rzecz rozumiał, a z twa-

rzy jego poznać można było, iż dolegało mu coś srodze i głęboko.

U okna, na zwykłym swym miejscu, więc w poręczowym, głębokim fotelu, siedziała prababka Frejda. Spośród rodziny całej na niej jednej tylko nie znać było zmiany żadnej. Senny uśmiech z warg jej nie zniknął. Przymrużała powieki i podnosiła je, budząc się, to usypiając znowu.

Zaraz po południu kobiety zasłały stół białym obrusem i poczęły ustawiać na nim stołowe naczynia.

Do izby wszedł Meir. Wchodząc otwierał on drzwi cicho i powoli, a potem stanął u ściany i spojrzeniem powiódł po wszystkich twarzach. Spojrzenie to było niespokojne, trwożne niemal i pełne głębokiego żalu... Obecne w izbie osoby podniosły nań oczy i wnet je spuściły, ale przez to jedno mgnienie oka na młodego człowieka nieśmiało stojącego u ściany spadł tłoczący ciężar niemych wyrzutów. W wyrzutach tych była uraza gorzka za doświadczane przezeń troski, trwoga istnień spokojnych, których spokojowi on zagroził, była głęboka litość nad nim, ale także i daleka, nie wypowiedziana jeszcze groźba odrzucenia... Jedna tylko prababka na widok wchodzącego podniosła całkiem mrużące się wprzód powieki, uśmiechnęła się szerokim uśmiechem i szepnęła:

— Kleniskind!

Do jej też twarzy przylgnęły oczy Meira, a błysnęła w nich myśl jakaś paląca i niecierpliwa.

W tej chwili rozległ się po izbie brzęk i stuk. Spośród gromadek ludzi czerniejących tu i ówdzie na placu i ku domowi Ezofowiczów niechętnie spoglądających ktoś w jedno okno domu tego rzucił spory kamyk, który rozbił szybę na drobne kawałki i przeleciawszy tuż przed czołem Frejdy upadł pośrodku izby.

Twarc Saula oblał ceglasty rumieniec, kobiety nakrywające do stołu krzyknęły, Rafał, Abram i Ber powstawali z miejsc swych jak poruszeni sprężyną. Wszyscy utkwili zrazu wzroki

w rozbitej szybie, lecz wkrótce przenieśli je na prababkę Frejdę, która wyprostowała się nagle i patrząc na kamyk leżący pośrodku izby bezdźwięcznym, lecz głośnym szeptem swym zawołała:

— Nu! to jest ten sam kamień! Oni jego rzucali w okno domu naszego, kiedy mój Hersz z rebem Nochimem klócił się i z cudzymi ludźmi przyjaźń chciał trzymać... to jest ten sam kamień... Na kogo oni teraz jego rzucili?...

Kiedy mówiła to, wszystkie zmarszczki na twarzy jej drżały, oczy jej po raz pierwszy od lat wielu rozwarły się szeroko.

— Na kogo oni teraz znów kamień rzucili? — zapytała i zatoczyła dokoła żrenicą, która pociemniała i błysnęła.

— Na mnie, alte bobe! — odpowiedział spod przeciwległej ściany głos drżący niewysłownym żalem.

— Meir! — krzyknęła prababka nie bezdźwięcznym już szeptem jak zwykle, ale donośnym, przeraźliwym niemal głosem.

Meir przeszedł izbę, stanął przed nią i obie jej małe, pomarszczone ręce ujął w swoje dłonie. Spuszczał ku twarzy jej wejrzenie pełne czułości i zarazem pytań i prośb jakichś nie wymawianych ustami, a ona podnosiła ku niemu złotawe swe żrenice, które niespokojnie migotać zaczęły.

Saul wstał z kanapy.

— Rafał! — rzekł — podaj mnie płaszcz mój i kapelusz.

— Dokąd ty pójdziesz, tate? — zapytali jednogłośnie obaj synowie.

Stary, z rumieńcami na twarzy, drżącym głosem odpowiedział:

— Pójdę, ażeby głowę moją przed Todrosem pochylić... Niech on nad zuchwałym dzieckiem tym sądu nie czyni, dopóki nie zgaśnie ogień gniewu, który zapalił się w duszy ludu...

Po chwili siwy patriarcha najdostojniejszej w gminie rodziny, długim, czarnym płaszczem okryty i w wysokim, świe-

cącym kapeluszu na głowie, kroczył przez plac zwolna i poważnie. Stojące na placu czarne gromadki rozstępowały się przed nim, a składający je ludzie kłaniali się mu nisko. Ktoś jednak wyrzekł głośno:

— Biedny ty jesteś, rebe Saulu, że masz takiego wnuka...

Saul na zaczepkę tę nie odpowiedział, tylko wąskie wargi jego zacisnęły się silniej.

Dobra godzina upłynęła, zanim Saul z odwiedzin swych powrócił. Znalazł on wszystkich starszych członków rodziny swej zgromadzonych w izbie bawialnej. Meir był tam także; siedział on tuż przy fotelu prababki, której mała, sucha dłoń ścisnęła mocno połą odzieży jego.

Sara zdjęła płaszcz z ramion ojca.

— A co ty, tate, przyniosłeś nam stamtąd? — zapytał Rafał.

Saul oddychał ciężko i ponuro patrzył w ziemię.

— Co ja stamtąd przyniosłem? — odpowiedział po chwili milczenia. — Wstyd i gniew wielki przyniosłem. Serce Todrosa raduje się nieszczęściem, które przytrafiło się domowi Ezofowiczów... Uśmiechy jak węże pełzają po żółtej twarzy jego.

— A co on powiedział? — zapytało parę głosów.

— On powiedział, że bezbożnemu i zuchwałemu wnukowi memu za długo pobłażał... Reb Mosze i Kamionker i cały lud proszą jego, żeby on nad Meirem sąd uczynił... Na prośby moje on sąd ten do jutrzejszego wieczora odłożył i powiedział, że jeżeli Meir upokorzy się przed nim, a cały lud o przebaczenie grzechów swoich prosić będzie... na głowę jego lżejszy wyrok spadnie...

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Meirowi.

— A co ty, Meir, powiesz na to? — zapytano chórem.

Meir myślał chwilę.

— Dajcie mnie trochę czasu — odpowiedział — może ja sobie do jutrzejszego wieczora ratunek jaki znajdę.

— A skąd ty ratunek ten mieć możesz? — zawołano.

— Pozwólcie, żebym ja wam do jutrzejszego ranka nie odpowiadał — powtórzył Meir.

Wstrząsając głowami umilkli wszyscy. Oznaczało to milczące przyzwolenie.

W sercach wszystkich obecnych uczucia obawy i gniewu walczyły z uczuciem dumy. Gniewali się na Meira, lękali się o niego i o spokój a pomyślność całego domu swego, ale zarazem przykrą im była myśl, że jeden z członków rodziny ich upokorzyć się ma przed rabinem i ludem.

— Co to można wiedzieć? — rzekł Rafał do brata. — Może on sobie radę jaką znajdzie...

— Może matka jego pokaże się jemu w nocy i nauczy go, jak on ma czynić... — z cicha westchnęła Sara.

Spóźniony obiad zszedł w głuchym milczeniu przerywanym tylko westchnieniami kobiet i płaczem dzieci, którym matki zabraniały szczebiotać i śmiać się. Stroskani i posępnie wyglądający członkowie rodziny z zadziwieniem spoglądali od chwili do chwili na starą Frejdę objawiającą wciąż szczególną jakąś niespokojność. Wprawdzie nie mówiła ona nic, ale nie zadrzemała w ciągu obiadu ani razu, owszem, poruszała się wciąż na krześle swym spoglądając to na stłuczoną szybę, to na Meira, to na miejsce pośrodku izby, na które przed parą godzinami upadł był kamyk rzucony z ulicy.

— Co jej jest? — zapytywali siebie obecni z cicha i z niepokojem.

— Ona sobie coś przypomina — odpowiadano.

— Ona czegoś lęka się!

— Ona chce coś powiedzieć, ale nie może...

Gdy powstano od stołu, dwie prawnuczki chciały, według zwyczaju, wyprowadzić Frejdę do sąsiedniej izby i do spoczynku ułożyć, ale ona silnie stopami o podłogę wsparła się i palcem wskazała fotel swój przy oknie stojący.

Po chwili osoby napełniające obszerną izbę wysuwać się

z niej zaczęły jedna za drugą. Rafał i Ber wyjechali na resztę dnia do sąsiedniego dworu jakiegoś, w którym mieli do załatwienia ważny dla nich i pilny interes. Abram zamknął się w izbie swej, ażeby oddać się rachunkom albo może i nabożnemu czytaniu. Saul rozkazał córkom, aby w domu cicho było, i wdychając ciężko legł na łożu swym. Kobiety zgasiły ogień na kuchni, zamknęły z cicha drzwi bawialnej izby i wyszły na dziedziniec, gdzie naglądały bawiące się dzieci, szyły i wiodły ze sobą ciche rozmowy.

Prababka pozostała w izbie bawialnej i — dziwna rzecz! — choć zapanowała w koło niej cisza głęboka, nie usnęła, nie zadrzemała nawet ani na chwilę. Siedząc w głębokim fotelu swym patrzyła ona na szybę rozbity i poruszała wciąż ustami, jakby coś do samej siebie mówiła. Czasem też zakołysała głową obciążoną barwistym zawojem, wtedy diamentowe spięcie zawoju zdawało się osypywać żółtkę jej czoła potokiem iskier, a długie kolce dzwoniły po ogniwach złotego łańcucha. Poruszała wciąż ustami, a wkrótce i rękami też poruszać zaczęła. Mogło się zdawać, że z kimś niewidzialnym, z widmami może wyłaniającymi się z własnej pamięci jej, toczyła żywą jakąś a trudną rozmowę. Nagle wstrząsnęła głową i wymówiła:

— Tak samo było, kiedy mój Hersz pisanie Seniora znalazł... Na niego wtedy źli ludzie kamieniami rzucali...

Umilkła, lecz natomiast wielkie perły i złote ogniwa łańcucha zadzwoniły na piersi jej, która podniosła się westchnieniem i zajęczała płaczliwym jakimś jękiem, a łzy duże, szkliste opłynęły złotawe źrenice jej i nieruchome stanęły pod zmarszczoną, drgającą powieką.

Wtedy z ławy umieszczonej pod przeciwległą ścianą wstał Meir i szybko przeszedłszy izbę usiadł na niskim stołku, o który stara kobieta nogi swe wspierała, a składając na kolanach jej splecione swe ręce zapytał:

— Bobe! gdzie jest pisanie Seniora?

Na dźwięk głosu tego, który zapewne, tak jak i twarz Meira, przypominał jej człowieka gorąco umiłowanego w dniach młodości i szczęścia, Frejda uśmiechnęła się. Nie spuściła jednak spojrzenia ku siedzącemu u kolan jej wnukowi, lecz zza łez nieruchomo wciąż w oczach jej stojących patrzyła w przestrzeń i szeptać zaczęła:

— Kiedy on pierwszy raz pokłócił się z reb Nochimem i całym ludem, przyszedł on do domu swego, usiadł na ławie smutny bardzo i zawołał do siebie żony swej, Frejdy. Frejda była wtedy młoda i bardzo piękna; na głowie swej nosiła zawój biały jak śnieg, a przy ogniu stojąc, który w kuchni palił się, dzieci i sług swoich naglądała. Ale kiedy usłyszała ona wołanie swego męża, poszła zaraz do niego, stanęła przed nim i przemówienia jego czekała. A on wtedy zapytał się: „Frejda! gdzie jest pisanie Seniora?...“

Szept starej kobiety umilkł. Natomiast młody mężczyzna u kolan jej siedzący zaciskając mocniej splecione swe ręce zapytał znowu:

— Bobe! gdzie jest pisanie Seniora?

Głowa kobiety obciążona barwistym zawojem zakolysała się z lekka, a wąskie, żółte wargi szeptać znowu zaczęły:

— On pytał się: „Gdzie to pisanie jest? Czy je Senior pod ziemię schował?“ „Nie; on go pod ziemię nie schował, bo ono by tam zgniło i zjadłyby je robaki“. — „Czy on je w ściany domu schował?“ — „Nu! on wiedział, że ściany te ogień pożreć może?“ — „To gdzie on je schował?...“ Tak pytał się Hersz, a żona jego, Frejda, myślała długo nad słowami jego, a potem palcem pokazała szafę, w której były stare, stare książki Seniora i powiedziała: „Hersz! mój Hersz! pisanie to tam jest!...“ Kiedy Frejda to powiedziała, Hersz uradował się bardzo, a usta jego wymówiły: „Ty, Frejdo, rozum w głowie swojej masz, a dusza twoja taka sama piękna, jak twoje oczy!...“

Przy ostatnich wyrazach łzy, nieruchome dotąd, zsunęły

się z jej źrenic i po zmarszczkach twarzy jej spłynęły na usta, które uśmiechając się do sennych wspomnień młodości i szczęścia szepnęły jeszcze:

— I powiedział on: „Dobra i mądra żona droższą jest nad złoto i perły, przy niej serce męża spokojne!“

Młody mężczyzna u kolan jej siedzący i w twarz jej patrzący wzrokiem pełnym próśb i pragnienia zapytał znowu:

— Bobe! a co Hersz z pisaniem tym zrobił?

Stara kobieta nie odpowiadała chwilę poruszając ustami tak, jakby rozmawiała z kimś niewidzialnym, potem znowu opowiadać zaczęła:

— Hersz wrócił raz z dalekiej podróży, usiadł znów na ławie bardzo smutny i do Frejdy powiedział: „Wszystko przepadło! Pisanie Seniora trzeba schować, bo ono teraz na nic nie przyda się“. Frejda zapytała się: „Hersz! a gdzie ty pisanie to schowasz?“ Hersz odpowiedział: „Ja schowam je tam, gdzie ono wprzód było, a ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz...“

Meira oczy zaiskrzyły się radośnie.

— Bobe! to pisanie tam jest!

I wskazywał na szafę ze starymi, pamiątkowymi w rodzinie księgami. Ale Frejda nie odpowiedziała mu, tylko szeptała dalej:

— On powiedział: „Ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz, a kiedy dusza twoja rozwdzić się będzie z ciałem twoim, ty powiedz o nim temu synowi albo wnukowi twemu, który do męża twego, Hersza, najpodobniejszym będzie...“ A kto z synów i wnuków Frejdy najpodobniejszym jest do męża jej, Hersza? Najpodobniejszy do niego jest Meir, syn Beniamina... on do niego taki podobny, jak podobne do siebie dwa ziarnka piasku... To moje kleniskind! to moje najulubieńsze! Frejda jemu o sekrecie tym powie!

Meir trzymał teraz w dłoniach swych obie ręce prababki i okrywał je pocałunkami.

— Bobe! — szeptał wskazując szafę z księgami — czy tam jest pisanie Seniora?

Ale stara kobieta i teraz jeszcze nie odpowiedziała mu bezpośrednio, tylko zaszeptała dalej:

— Hersz powiedział Frejdzie: „Jeżeli na syna albo wnuka twego najulubieńszego starsi w rodzinie ręce podnosić zaczną i jeżeli na niego lud kamienie rzucać będzie, ty, Frejdo, jemu o sekrecie naszym powiedz! Niech on pisanie Seniora weźmie, na sercu swoim położy, rodzinę swoją i majątek swój rzuci, a z nim w świat idzie, bo pisanie to jest droższe nad złoto i perły: ono jest przymierzem Izraela z czasem, co mu nad głową wielką rzeką płynie, i z ludami, co piętrzą się w koło niego jak wielkie góry...”

— Bobe! na mnie starsi w rodzinie naszej ręce swe podnosić zaczęli... ode mnie odwrócił lud rozgniewaną twarz swoją... ja jestem ten wnuk twój najulubieńszy, o którym tobie mąż twój, Hersz, mówił... powiedz ty mnie: czy tam, między księgami tymi, jest pisanie Seniora?

Szeroki, można by rzec, iż tryumfujący, uśmiech roztworzył żółte wargi Frejdy. Wstrząsała głową z uczuciem tajemnej radości jakiegś i szeptała:

— Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła... ona jego przed wszystkimi jak duszy swojej broniła... Kiedy ona wdową została, przychodził do domu jej reb Nochim Todros i starą szafę ze starymi książkami chciał ogniu na pożarcie dać... Przychodził potem syn reba Nochima, reb Baruch Todros, i chciał starą szafę ze starymi książkami ogniu na pożarcie dać... Ale wiele razy oni przyszli, Frejda starą szafę ciałem swym zasłaniała i mówiła: „To dom mój i wszystko, co w nim jest, moje jest!” A jak Frejda przed starą szafą stawała, przed Frejdą stawali synowie i synowie synów jej i mówili: „To matka nasza, my jej krzywdy uczynić nie damy!” Reb Nochim gniewał się i poszedł sobie... Reb Baruch gniewał się i poszedł sobie... A reb Izaak nigdy już nie przy-

chodził, bo wiedział od ojców swoich, że dopóki Frejda żyje... starej szafy nie poruszy nikt... Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła i on leży sobie do tego czasu tam... i śpi sobie...

Przy ostatnich wyrazach stara kobieta wyciągnęła ku szafie oszklonej, o kilka kroków przed nią stojącej, pomarszczony palec swój, a śmiech cichy, śmiech wewnętrznej radości jakiegś, jakiegś dzieciennego prawie tryumfu piersią jej zatrzęsł.

Meir jednym skokiem znalazł się przy szafie i silniejszą niż kiedy, bo zgorączkowaną dłonią targnął zamek jej skruszony starością i rdzą. Drzwi szafy roztwarły się na oścież, a z głębin jej buchnęła chmura pyłu i jak niegdyś biały zawój Frejdy i złote włosy Hersza okryła szarą powłoką odziei i głowę prawnuka ich...

Ale on na to nie zważał i chciwie ręce zatopił pomiędzy księgi te, z których czerpali mądrość swą dwaj przodkowie jego, a wśród których krył się namiętnie dlań upragniony drogowskaz życia...

Ale na widok roztwartej szafy i wylatującej z niej chmury pyłu Frejda pochyliła się też naprzód, ręce przed się wyciągnęła i zawołała:

— Hersz! Hersz! mój Hersz!

Nie był to już zwykły szept jej bezdźwięczny, ale okrzyk głośny, wyrrywający się z piersi, na wskrós przeszłej radością i bólem wspomnienia.

Zapomniała o prawnuku... Zdawało się jej zapewne, że urodziwy młodzieniec ten ze złotymi włosami osypanymi kurzawą był cudownym, z nieznaných światów przybyłym do niej zjawiskiem jej męża...

Meir zwrócił ku niej bladą twarz i gorejące swe oczy.

— Bobe! — pytał dyszącym głosem — gdzie ono jest? u góry? w dole? W tej książce? w tej? w tej?

— W tej! — zawołała kobieta palcem wskazując księgę, na której z kolei Meir dłoń swą położył.

Po chwili zżółkłe od starości, lecz bujnym i wyraźnym je-

szcze pismem okryte arkusze zaszeleściły pod grubą pergaminową okładką księgi. Trzymając je w dłoni Meir upadł do nóg prababki, całował stopy jej, kolana i ręce, co chwilę też chwycił się za głowę, a niewyraźne jakieś jęki i śmiechy drżały mu w piersiach.

Frejda uśmiechała się też i drżącymi rękami dotykała głowy prawnuka, lecz powieki jej zwolna przymykać się zaczęły, na twarz całą wracał zwykły od lat wielu wyraz cichej senności. Zmęczoną mówieniem i wspominaniem długim, wpatrzoną jeszcze w jasne widmo młodości, które stało przed nią w srebrzystych blaskach łyzy — stuletnią tę niewiastę ogarniało znowu ciche, słodkie drzemanie — pierwsza niby łagodna fala wiekuistego snu.

Namiętne dziękczynienia i pieśczęty prawnuka budzić ją przestały. Meir schował na piersi żółkłe arkusze i wkrótce słychać było szybki bieg jego po wschodach prowadzących do izby u szczytu domu umieszczonej, a zamieszkiwanej przez Meira i młodych jego braci.

Przez cały wieczór potem i przez noc całą w sporym oknie znajdującym się pod samym już wysokim i spiczastym dachem domostwa błyszczało mdławie światelko świecy i widać było przesuwające się za szybami wchodzące do izby i wychodzące z niej ludzkie postacie. Z rana, o świcie jeszcze, bocznymi drzwiami domu wyszło na dziedziniec kilku młodych ludzi, którzy wnet rozproszyli się w różne strony miasteczka.

Po miasteczku też od samego już nieledwie wschodu słońca obiegać poczęły wieści niewyraźne, niepewne, rozmaicie opowiadane i tłumaczone, ale zaciekawiające i wzruszające żywo wszystkie warstwy miejscowej ludności. Zajęcia powszednie zdawały się na pozór iść zwykłym trybem, a jednak na uboższych szczególniej uliczkach słychać było nieustanny szmer ludzkich rozmów, który łącząc się ze stukiem, zgrzyta-

niem i szelestem rzemieślniczych narzędzi wydawał się głuchym jakby wrzieniem szemrzącym na dnie mrowiska.

Nie wiadomo skąd, z jakiej strony i z jakich ust wypływały i po wszystkich podwórzach, zakątkach, izbach i izdebkach rozpływały się wiadomości, domysły i przypuszczenia...

— Dziś, kiedy słońce zajdzie, a zmrok wieczoru spadnie na ziemię, zgromadzi się w bet-ha-kahole wielki sąd dajonów i kahalnych z rabinem Izaakiem na czele i sądzić będzie młodego Meira Ezofowicza.

— Jak on go sądzić będzie? jaki wyrok spadnie na głowę jego? co z nim stanie się?

— Nie, wielki sąd nie zasiądzie już dziś w bet-kahole, bo kiedy słońce zajdzie i zmrok wieczoru spadnie na ziemię, zuchwały wnuk bogatego Saula przyjdzie do bet-midraszu, aby w obecności ludu całego upokorzyć się przed wielkim rabinem, grzechy swe wyznać i tych, których obraził, rozniewiał lub zgorszył, o przebaczenie prosić.

— Nie, upokarzać się przed rabinem i grzechów swych wyznawać w pokorze przed ludem całym on nie będzie.

— Dlaczego nie będzie?

— Ach! ach! to wielki sekret, ale o nim już wszyscy wiedzą. To taki wielki sekret, że słysząc o nim wszystkie oczy palają ciekawością gorączkową, wszystkie piersi drżą, aby co prędzej wchłonąć go w siebie.

— Młody Meir skarb znalazł.

— Co to za skarb? Skarb to taki, który od trzystu, od pięciuset, od tysiąca może lat, nu! od tego czasu może, jak Żydzi do kraju tego przyszli, w rodzinie Ezofowiczów ukrywa się! Skarb ten to pisanie jakiegoś przodka ich, które on przed śmiercią swoją zrobił i dalekiemu potomstwu w dziedzictwie zostawił.

— A co w pisaniu tym jest?

— Nikt o tym z pewnością nie wie.

Wszyscy mieszkańcy ubogich uliczek o pisaniu tym słyszeli

od ojców, dziadów i babek swoich, ale każdy z nich słyszał o nim inaczej. I teraz jeszcze żyli starzy ludzie tacy, którzy o pisaniu tym coś wiedzieli, ale każdy z nich wiedział co innego. Jedni mówili, że pisanie to pochodziło od mądrego i świętego Izraelity, który żył bardzo dawno temu, a przez całe życie o tym tylko myślał, jak naród swój bogatym, mądrym i szczęśliwym zrobić. Inni przeciwnie utrzymywali, że ów dawno temu żyjący przodek Ezofowiczów bezbożnikiem był, odszczepieńcem przez gojów przekupionym, ażeby imię Izraela i zakon jego z powierzchni ziemi zetrzeć.

— W pisaniu tym stoi nauka: jak piasek w złoto zamieniać można i co biedni ludzie robić powinni, żeby od razu wielkimi bogaczami stać się.

— Nie, w pisaniu tym powiedziane jest, jakim sposobem człowiek może odpędzać od siebie diabłów, ażeby oni jego nie dotykali się nigdy, a z liter imienia boskiego ułożyć taki wyraz, że kto go wymówi, ten będzie już mógł spojrzenie oczu swoich zapuścić wskrós nieba i wskrós ziemi...

— Nie, w pisaniu tym powiedziane jest, co Izraelici czynić mają, ażeby nieprzyjaciół swoich w przyjaciół zamienić i z ludami wszystkimi, co im wrogie są, przymierze zgody zawrzeć.

A ktoś jeszcze słyszał o tym, że w pisaniu tym stoi nauka, jak wskrzesić Mojżesza i wezwać jego, aby on przyszedł znowu i lud swój z niewoli, ciemności i upokorzenia wywiódł, a do krainy płynącej złotem, mądrością i chwałą zaprowadził.

— Dlaczego oni to do tego czasu nie szukali i nie oglądzali ludowi pisania tego?

— Oni bali się, bo kto pisania tego dotknie się, tego ręce zapalą się wielkim ogniem i rozsypią się w proch.

— Nie, kto pisania tego dotknie się, temu w koło serca okręca się jadowite węże...

— Temu czoło poczernieje jak od sadzy...

— Od tego szczęście i spokój odbiegna...

— Na tego posypie się grad kamieni...

— Ten na czole swym nosić będzie krwawą kresę...

— Kiedyś... starzy ludzie żyjący jeszcze coś o tym pamiętają... ojciec bogatego Saula, wielki kupiec Hersz, pisania tego dotknął się.

— A co się jemu stało?

— Starzy ludzie mówią, że jak on tego pisania dotknął się, jadowite węże okręciły się koło serca jego i tak go we środku kąsały, że on od tego młodo bardzo umarł...

— A teraz pisanie to znalazł młody Meir?

— Tak, on jego znalazł i czytać go będzie w bet-ha-midrachu przed ludem całym, jak tylko słońce zajdzie, a zmrok wieczoru ziemię okryje...

Pomiędzy ludźmi w ten sposób rozmawiającymi uwijał się reb Mosze, melamed; zjawiał się tu lub ówdzie, znikał wkrótce i znowu ukazywał się na innej uliczce jakiejś, wśród innego podwórka, pod otwartym oknem innej chaty. Nadstawiał ucha, przysłuchiwał się, uśmiechy przelatywały po wypukłych jego ustach, ostre błyski strzelały mu z burch, okrągłych oczu. Nie mówił przecież nic. Pokornie, a czasem i natarczywie zapytywany przez ludzi, do których się zbliżał, milczał albo odpowiadał niewyraźnym tylko mruczeniem i posępnym wstrząsaniem głową. Nie mógł mówić, bo o wypadkach i wieściach, które tak silnie wstrząsały umysłem publicznym, nie rozmawiał jeszcze dnia tego z mistrzem swoim, z tym, któremu przez cześć najwyższą, przez wiarę fanatyczną, przez miłość namiętną i mistyczną, ciało i duszę swą w niewolnictwo oddał. Bez wyraźnego rozkazu uwielbionego i ukochanego mistrza tego nie mógł on ani sądów swych wydawać, ani hasel wykrzykiwać, ani nawet we własnej myśli swej o czymkolwiek rozstrzygać. A nuż słowo albo czyn jego rozmięłyby się z wolą mistrza? Nuż popełniłby błąd jaki przeciw jakimukolwiek z tysięcznych przepisów, które wszystkie na pamięć umiał, ale z których nie tylko wyraz każdy, lecz każda

litera coraz innym tłumaczeniom i zastosowaniom ulegać mogła! Wiedział wprawdzie o tym reb Mosze, że uczonym był bardzo, cóż jednak znaczyła uczoność ta jego wobec uczoności wielkiego rabina, której jasność oświecała cały świat ziemski i wnikała nawet aż do samego nieba, a Jehowa lubował się patrzeć na nią i sam siebie podziwiał za to, że mógł stworzyć dzieło tak doskonałe, jakim był rabbi Izaak Todros.

Około południa tedy reb Mosze, z głową i uszami napełnionymi wszystkim, co słyszał, wsunął się cicho do czarnej chaty rabina. Nie zaraz jednak mógł rozpocząć z nim rozmowę. Todros rozmawiał ze starcem jakimś, opylona odzież którego objawiała, że przybywał z daleka, a który wspierając się na kiju stał przed nim z twarzą pokorną i razem radosną. Starzec ten prosił rabina o udzielenie mu szczypty ziemi z Jeruzolimy przywiezionej.

— Ja bardzo chcę — mówił drżącym od starości i wzruszenia głosem — pojechać do Jeruzolimy, aby tam umrzeć i w ziemi ojców naszych pogrzebionym zostać. Ale biedny jestem i pieniędzy u mnie na drogę nie ma. Daj ty mi, rabbi, garstkę piasku tego, który tobie każdego roku stamtąd przywożą, ażeby wnuki moje mogły mi ją na piersi posypać, kiedy dusza moja rozwiedzie się z ciałem. Mnie z tą garścią ziemi lżej będzie spać w grobie, a prawdą to jest, że do tych, którzy ją mają na sobie, nie zbliżają się robaki i ciała ich nie jedzą?

— To jest prawda — odpowiedział poważnie rabin i wyjąwszy garstkę białawego piasku z worka, w którym drogo-cenny przedmiot starannie owiniętym był i obwiązany, owinął ją w szmatkę papieru i podał starcowi.

Starzec przyjął dar trzęsącą się od radości dłonią,łożył na nim długi, pobożny pocałunek i schował go na piersi, za połą łachmaniastej, cuchnącej odzieży.

— Rabbi! — rzekł — ja nie mam czym zapłacić tobie...

Todros wyciągnął ku niemu żółtą szyję swą i przerwał szybko:

— Z daleka widać przybywasz, jeżeli o zapłacie dla Izaaka Todrosa myśleć i mówić możesz... Ja od nikogo za nic zapłaty żadnej nie biorę, a choć wiem, że bardzo dużo dobrego braciom moim czynię, o jedną tylko zapłatę za to błagam Przedwiecznego: ażeby On dolał choć jedną jeszcze kropelkę do tej mądrości, którą już posiadam, a której niesyta nigdy dusza moja.

Starzec chwiejnym krokiem o kiju przybliżył się do męża tego, tak już mądrego, a tak nieustannie i namiętnie łakącego mądrości.

— Rabbi — westchnął pobożnie — pozwól mi pocałować dobroczynną rękę twoją...

— Pocałuj — łagodnie odpowiedział mistrz, ale kiedy proszący schylał się przed nim, wziął on w obie dłonie głowę jego, białymi jak mleko okrytą włosami, i głośny pocałunek wycisnął na sfałdowanej i zeschniętej skórze jego czoła.

— Rabbi! — zawołał starzec z wybuchem szczęścia w głosie — ty dobry jesteś... ty ojciec nasz, mistrz i razem... brat!

— A ty — odrzekł Todros — błogosławionym bądź za to, że do późnej starości dochowałeś wierność zakonowi Pana i miłość dla ojczystej ziemi naszej, z której garść piasku wydawała ci się droższą nad srebro i złoto...

Obaj mieli łzy w oczach, i widać było, że obaj także, widząc się dziś po raz pierwszy w życiu, przejęci byli wzajem dla siebie tkliwą, braterską i dziwnie jakoś smętną miłością.

Reb Mosze, który oczekując na skończenie rozmowy usiadł na ziemi przy czarnym otworze komina, miał także łzy w oczach i po chwili dopiero, gdy Todros pozostał sam jeden, przemówił zniżonym głosem:

— Nassi...

— Haa? — zapytał mistrz pogrążony już w zwykłej swej zadumie.

— U nas w mieście wielkie dziś nowiny są!
— Jakie to nowiny?
— Meir Ezofowicz pisanie przodka swego, Seniora, znalazł i dziś je przed całym ludem czytać będzie...

Zaduma Todrosa pierchnęła bez śladu. Wyciągnął ku mówiącemu szyję i zawołał:

— Skąd ty to wiesz?

— Nu! cały świat o tym gada. Przyjaciele Meira od samego rana po mieście chodzą i wiadomość tę pomiędzy ludem puszczejają...

Todros nie odpowiedział. Oczy błyskały mu ostro, niemal dziko. Namyslał się.

— Nassi! czy ty jemu zrobić to pozwoliś?

Todros milczał jeszcze chwilę, potem odpowiedział stanowczym głosem:

— Pozwolę!

Reb Mosze aż drgnął cały.

— Rabbi! — zawołał — ty jesteś najmądrszym ze wszystkich ludzi, którzy na tym świecie żyli, żyją i będą żyć... ale czy mądrość twoja pomyślała o tym, że pisanie to odwrócić może duszę ludu od ciebie i świętego zakonu naszego?...

Todros groźnie na mówiącego spojrzał.

— Ty nie znasz duszy ludu mego, kiedy tak myśleć i mówić możesz. Nie na to pradziad mój, i dziad, i ojciec, i ja sam nad duszą tą z całych sił naszych pracowaliśmy, aby ją łatwo było od nas odwrócić...

— Niech on pisanie to przeczyta — dodał po chwili — niech obrzydliwość ta wyjdzie raz spod ziemi, gdzie ukrywała się dotąd, ażeby można było ją ogniem gniewu spalić, a prochy jej kamieniem pogardy przycisnąć... Niechaj on pisanie to czyta... on dopełni tym miary grzechów swoich i spocznie wtedy na nim mściwa ręka moja!

Przez chwilę panowało milczenie. Mistrz myślał, wielbiciel jego patrzył mu w twarz jak w tęczę.

— Mosze!...

— Co, nassi?

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

— Nassi! a jak je trzeba odebrać?

Rabin stanowczo i mrukliwie powtórzył:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

Człowiek skurczony u komina lęklawiej już nieco zapytał jeszcze:

— Nassi! a kto pisanie to z rąk jego wyrwać ma?

Todros wlepił w pytającego rozognione oczy i po raz trzeci wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać!

Mosze pochylił głowę.

— Rabbi — szepnął — już ja zrozumiałem wolę twoją. Bądź ty spokojny. Jak on obrzydliwość tę przed ludem całym przeczyta, nad głową jego zaszumi taka burza, że on od niej złamie się i w proch upadnie.

Milczeli potem obaj długą chwilę. Rabin ozwał się znowu pierwszy:

— Mosze!

— Co, nassi?

— Kiedy on i gdzie obrzydliwość tę czytać będzie?

— On ją czytać będzie w bet-ha-midrasku, kiedy słońce zajdzie, a zmrok ziemię okryje...

— Mosze! idź ty zaraz do szamosza (posłańca synagogi) i powiedz mu, że rozkazanie moje jest, ażeby on szedł zaraz do dajonów i do kahalnych i ogłosił im, że kiedy słońce zajdzie i zmrok ziemię okryje, oni wszyscy zebrać się powinni w bet-ha-kahole na wielki sąd...

Mosze powstał i zmierzał ku drzwiom, a rabin wstrząsnął kilka razy głową i podnosząc rękę zawołał:

— Biada zuchwałemu, silnemu i nieposłusznemu! Biada temu, którego naruszył trąd, i temu, który roznosi zarazę! Biada mu!

Kiedy to mówił, po całej twarzy jego rozlało się morze ciemnej, zawziętej, nieubłaganej nienawiści. A jednak przed kwadransem jeszcze twarz ta pełną była tkliwej, braterskiej miłości, usta te wymawiały słowa łagodne i pocieszające, w oczach tych stały lży rozrzewnienia!

Tak w jednym sercu tym mieścić się mogły zarazem łagodność i gniew, dobroć i mściwość, bezbrzeżna miłość i nieubłagana nienawiść; tak z jednego źródła tego płynąć mogły wzniosłe cnoty i posępne zbrodnie...

Tajemnic podobnych, zagadek podobnych spotka wiele ten, kto uważnie wpatrzy się w dzieje ludzkości. W ich to łonie wyraz miłosierdzie dziwacznie płacze się z wyrazem zemsta, wyraz bliźni — z wyrazem wróg. One to po wielokroć dały światu widok mężów jedną ręką litościwie gojących rany ludzkie, a drugą rozpalających ogniste stosy i obracających koła tortur... Skąd pochodzą tajemnice i zagadki szerokich serc i ognistych umysłów tych, tak srodze rozdwojonych i zbłąkanych? O czytelniku! gdyby nie istniały na ziemi żywioty pewne, wwdzające w obłądy straszliwe serca i umysły ludzkie, rabin Izaak Todros byłby może wielkim człowiekiem...

Bądźmy sprawiedliwi! Rabbi Izaak Todros byłby najpewniej wielkim człowiekiem, gdyby nigdy nie istnieli byli ci, którzy posługując się ogniem, torturą i stokroć sroższą jeszcze od nich — pogardą zbudowali dla plemienia jego, aż do dalekich, dalekich w przyszłości pokoleń, ciasne, ciemne, trwóg i niechęci pełne — moralne i umysłowe ghetto!

Słońce zaszło i na ziemię spływał mrok wieczora. Wielkie synagogałne podwórze mrowiło się ludnością czarną, gęstą, szemrzącą. W łonie ludności tej wrzało coś i kipiało...

Wnętrze bet-ha-midraszu czerniało całe takąż masą stłoczonej ludności. Widać tam było siwe głowy starców i płowe kędziory dzieci, długie brody, czarne jak krucze pióra, jasne jak len i ogniste jak wypolerowana miedź. Głowy te poruszały się i falowały, szyje wyciągały się i podnosiły się brody, oczy pałały ciekawością i żądzą wrażeń. Wszystko to ukazywało się w półmroku. Ogromna sala bet-midraszu oświetloną była jedną tylko lampką zawieszoną u drzwi wechodowych i jedną łojową świeczką palącą się w mosiężnym lichtarzu na stole z białego drzewa, za którym, tuż pod wysoką, nagą ścianą, stał drewniany stółek. Było to miejsce, z którego przemawiali zazwyczaj do ludu wszyscy, którzy kiedykolwiek przemawiać doń chcieli. W Izraelu bowiem człowiek każdy, od najdojniejszego i najstarszego, do najniższego i najmłodszego, prawo głosu posiada, a bet-ha-midrasz jest niestartym śladem wysoce demokratycznego ducha, przenikającego niegdyś starożytne ustawy Izraela. Każdy, ktokolwiek tylko pochodzi z domu Izraelowego, posiada prawo wchodzić w progi te, mōdlić się wśród nich, czytać, przemawiać i nauczać.

Ludzie, którzy nie wewnątrz budowy, ale dokoła ścian jej gromadnie stali, oglądali się często ku stojącemu naprzeciw bet-kałowi. W miejscu tym posiedzeń administracyjnych i sądowych władz gminy połyskiwać też zaczęły mdłe i nieliczne światła. Nad wechodowymi drzwiami zapalono tam lampkę, a na długim stole szarzejącym niewyraźnie za dużymi szybami okien ustawiono parę świec żółtych i dymiących. Po chwili na ganek bet-kałowi wstępować zaczęli ludzie całej ludności szybowskiej dobrze znani, a budzący pośród niej szacunek głęboki. Pojedynczo albo parami przebywali tam sędziowie gminy, siwi całkiem lub siwiejący, poważni ojcowie rodzin licznych, zamożni kupcy lub właściciele posiadłości miejskich. Liczba ich powinna była dosięgać dwunastu, tym razem przecież jedenastu ich tylko naliczono. Dwunastym dajonem w Szybowie był Rafał Ezofowicz. Pomiędzy ludem

szeptano, iż stryj obwinionego należeć do składu sądu nie mógł; niektórzy mówili: „nie chciał“. Po dajonach przybywali kahalni, pośród których znajdowali się morejne Kalman z rękami w kieszeniach sajetowego chałatu i z wiekuistym uśmiechem miodowej błogości na ustach i Kamionker, którego twarz zżółkła i skurczyła się w dniach ostatnich, a wejście posiadało trwożliwe i ostre błyski człowieka zagrożonego niebezpieczeństwem. Ostatni ze wszystkich ukazał się Izaak Todros. Wysunął się z niskich drzwiczek swej chatki i szczupły, przygarbiony, przemknął w cieniu ścian okrążających podwórze tak szybko i cicho, że z tłumu nikt go prawie nie dostrzegł.

W tej samej prawie chwili w głębi bet-ha-midrasy nad głuchym szmerem falującego ludu rozległ się czysty i silny głos męski:

— W imię Boga Abrahamów, Izaaków i Jakubów słuchaj, Izraelu!

Szmer ludu wzmógł się i przeszedł w gwar, nieledwie we wrzawę. Czuć w tym było niechęć trochę, a więcej jeszcze obawy walczącej z ciekawością. Toteż przez długą chwilę głos człowieka mówiącego we wnętrzu napełnionej ludźmi budowy mocował się z pochłaniającym go gwarem, a pomiędzy słów jego nieliczne tylko wzbijały się nadeń i brzmiały wyraźnie.

Nagle ktoś z tłumu zawołał donośnie:

— Uciszcie się i słuchajcie! albowiem powiedzianym jest: „Słuchajcie mowy wszelkiej czynionej w imię Jehowy!“

— To jest prawda! — zaszemrano — on mówić zaczął w imię Boga Abrahamów, Izaaków i Jakubów!

I stała się cisza wielka, przerywana tylko poruszeniami tych, którzy u drzwi i za oknami stojąc wspinali się na palce, aby zobaczyć tego, który przemawiał.

Żaden widok niezwykle oczu ich nie uderzył. Za białym stołem, więc na tym samym miejscu, z którego często przema-

wiano do ludu, Meir Ezofowicz stał w postawie spokojnej i ze spokojną również twarzą.

Bledszym był wprawdzie niż zwykle i w oczach miał blask gorącego wzruszenia, ale widać było, że wzruszenie to brało źródło nie w trwodze ni wątpliwości najłżejszej, lecz przeciwnie — w uczuciu potężnej wiary jakiejś i równie wielkiej, uszczęśliwiającej nadziei. W rękach trzymał on kilka żółkłych i bardzo starych arkuszy papieru, z których czytał i które podnosił niekiedy wysoko, jakby chciał ukazać oczom wszystkich, skąd brał słowa swoje.

— „Izraelu! — zawołał w chwili, gdy gwar ustąpił przed powszechną i głęboką ciszą — ty jesteś wielkim narodem! Ty pierwszy pomiędzy narodów wszystkich zobaczyłeś w niebie Boga jedynego, a na ziemi usłyszałeś, w huku gromów i błasku błyskawic, dziesięć ogromnych słów, na których, jak na dziesięciu opokach, inne ludy przez pokolenia wszystkie budują wschody do słońca doskonałości! Izraelu! ślepe od urodzenia albo pieprzem złości oślepione jest oko tego, kto patrząc na oblicze twoje nie zobaczy starej twej dostojności! Suchą od urodzenia albo wichrem z piekieł wiejącym wysuszoną jest żrenica ta, która na wielkie cierpienia, jakie ty przeniosłeś, nie wypuści z siebie łzy! Nieszczęsny jest ten, kto ustami swymi rzeknie na ciebie: „Nikczemny!“ Niech ulituje się nad nim i przebaczy mu Pan, albowiem nie ma w nim tej szali sprawiedliwości, na której ważą się zasługi i winy narodów, ani tego światła mądrości, które pokazuje, jak z bólu i nędzy rodzą się grzechy! Izraelu! z ciebie urodził się Mojżesz z sercem gorejącym miłością jako krzak ognisty, Dawid ze złotą harfą, piękna Ester płacząca nad biedą ludu swego, Machabeusze z potężnymi mieczami z ciebie powstał, prorocy idący na śmierć z ochotą dla prawdy serc swoich. Ty, kiedy w ziemi ojców swoich żyłeś szczęśliwy, brzydziłeś się niewolą brata, na polu swym dziesiąty snop zostawiałeś łaknącym, a głos dawałeś każdemu, co przemawiać do ludu chciał, i przed Je-

hową jednym korząc się mówiłeś: „My wszyscy równi w obliczu Ojca naszego!” A kiedy ty potem, nieszczęsny i zwyciężony, oblany krwią synów swoich, co ziemi przodków bronili, w łzach i prochu cały pomiędzy obcymi narodami stanąłeś, ty wszystkie boleści i wszystkie pogardy przeniosłeś, a jednemu Bogu swemu wiernym pozostałeś, a pamięci o przodkach swych nie straciłeś i wszystkie ludy, które kiedykolwiek gnębione i w łzach topione były, uczyłeś, jako bez broni obronić się można! Rozumnym, czystym i miłosiernym stworzył cię Pan, ludu mój, ale oto drugi tysiąc lat już przemija, odkąd nie stało ci jednej rzeczy ważnej — ojczyzny!...”

Tu głos mówiącego zadrżał i umilkł na chwilę, drżenie też przebiegło po zgromadzeniu całym, a potem rozległ się szept głosów stłumionych:

— Słuchajmy! słuchajmy! Pisanie to jest mądrego i dobrego Izraelity, który opowiada chwałę ludu swego.

Słuchali, a Meir Ezofowicz czytał dalej:

— „Biada ludowi temu, któremu zabraknie ojczyzny! „I zejda z okrętów wszyscy robiący wiosłem i wszyscy pływający po morzu — i przylgną do ziemi“. Dusza narodu wszelkiego łączy się z ziemią swoją, jak dziecko z piersią matki, i od niej bierze pokarm swój, i zdrowie swoje, i lekarstwa na swoje choroby. Tak chciał i tak uczynił Pan. Ale ludzie poszli przeciw woli Jego. Duszę twoją, Izraelu! oderwali od ziemi, do której ona przylgnęła. Jako żebrak, pukałeś ty do wrót cudzych domostw i tych, którzy plwali na cię, o zmiłowanie prosić musiałeś, głowa twoja chyliła się pod rozkazami praw, przeciw którym krzyczała w tobie ze wstrętu natura twoja, język twój łamał się, żeby naśladować mowy cudze, podniebienie twoje gorzkniało od goryczy, które piłeś, oblicze twe czerniało od gniewu i upokorzeń się, a w piersiach twych serce kurczyło się od strachu, ażeby nie zniknęło z powierzchni ziemi imię Izraela i jedynego Boga jego, Jehowy. Aż w udręczeniach i nędzach srogich opadła z ciebie stara wspa-

niałość twoja i rozmnożyły się jako gwiazdy grzechy i nieprawości twe, a Jehowa, Bóg twój, patrząc na ciebie zapytuje z gniewem: „Jestże to ten sam lud mój wybrany, którego zaręczyłem z Sobą w prawdzie i łasce? Azaliż on zakonu mego inaczej strzec nie umie jak słowami ust, które sprzeciwiają się uczynom rąk jego? Azaliż zakon ten widzi on tylko w ofiarach, śpiewach, modłach i kadzidłach, a nie we wstępowaniu na tę wielką drabinę, którą objawiłem we śnie słudze memu, Jakubowi, aby po wszystkie czasy wiedzieli ludzie o tym, jako wstępować trzeba do mnie, który jestem poznaniem i doskonałością!“

W tym miejscu głos czytającego pochłoniętym znowu został głuchym gwarem słuchaczy.

— Co on takiego czyta? — zapytywano siebie wzajem. — Pisanie to złego Izraelity jest, który na lud swój brzydkie słowa rzuca! A jakież są grzechy te i nieprawości, które rozmnożyły się pomiędzy nami jako gwiazdy na niebie? A jakoż my Pana świata chwalić mamy, jeżeli śpiewy i modlitwy nasze nic w oczach Jego nie znaczą?

Bladość Meira zwiększyła się nieco, gdy uczuł on, że głos jego ginąć zaczyna znowu we wzdymającej się fali głosów mrukliwych lub strwożonych. Umilknąć nie było przecież w mocy jego. Czytał więc dalej, a w ludzie szemrzącym ciekawość przemogła wkrótce inne uczucia; uciszono się i słuchano.

Słuchano opowieści Michała Seniora, jako z rozkazu królewskiego i dla miłości tej, którą lud dla niego zrazu miał, stanął on na czele spraw jego i chciał wprowadzać go na drogę nową, u końca której widział świtające słońce nowego dnia; jako przeszkodzono mu w dziele tym, odwrócono odeń duszę narodu, okryto go sadzą potwarzy, obrócono go w proch mizerny, po którym deptały stopy nieprzyjaciół jego.

— „Szumiały w głowie mojej myśli, których język mój wypowiadać nie miał już komu, bo opuścili mię wszyscy da-

wni przyjaciele i uczniowie moi! W piersi mej palił się płomień, przy którym grzać się nikt nie chciał, bo włożono w uszy ludu mego, że roznieciły go we mnie ręce szatana! Zmieniła się twarz moja, a oczy moje były jak te smutne gwiazdy, które na świat patrzą zza grubej chmury! Członki moje rozpadały się od niemocy, sen śmierci ogarniać mię zaczął, a z ust moich wychodziły krzyki: „Panie świata! nie opuszczaj posłańca swego! Daj mu głos taki silny, ażeby przemówić on mógł do tych, którzy nie urodzili się jeszcze; bo ci, którzy żyją, słuchać mię już nie chcą!“

„Otworzyłem księgę świętą i przeczytałem w niej: „Jeżeli ramię twoje opadnie w niemocy, walczyć będziesz jeszcze za prawdę świętą głosem swoim, miłością swoją i łzami swoimi!“

„Prawnuku mój! który pisma tego szukać będziesz i znajdziesz je, ogłoś ludowi mojemu, czego ja dla niego żądałem.

„Pierwszą rzeczą, której ja dla niego żądałem, było: zapomnienie. Czy żądałem ja, żeby zapomniał on o Bogu swoim, Jehowie, i o tym, że on Izraelem jest — ludem, który swoją duszę ma i który w przeszłości swej wielkich mężów rodził i wielkie myśli z siebie wydawał? Nie, ja nie mogłem żądać, ażeby Izrael zapomniał o tym, bo mnie samemu wspomnienia te miód kładną na podniebienie, a serce rozdymają szeroko. Ale ja żądałem, żeby Izrael zapomniał krzywd i boleści, których doznał on od cudzych narodów. „Krzywd nie pamiętaj!“ „Nie mów: Odplacę złym za złe“. Mar Zutra idąc spać mówił co dzień: „Przebaczam wszystkim tym, którzy mię zasmucili“. Mar Zutra był wielkim człowiekiem.

„Kiedy zapomnisz ty, Izraelu, wtedy zbliżysz się do płomieni tych, które ty cudzymi nazywasz, a które do wszystkich ludzi należą. Cudze płomienie te, od których ty uciekasz w zawziętym pamiętaniu swoim, roznieca ręką swoją Sar-ha-Olam, anioł poznania, który aniołem nad aniołami jest i księżciem świata. Święta jest nauka religii, ale i inne nauki które stworzył, jeżeli nie Ten, w którym mieszka doskonałość pozna-

nia? Smacznym owocem jest rajske jabłko, lecz czyliż innymi płodami ziemi żywić się nam nie potrzeba? Przyjdzie taki czas, że świat cały pełen będzie wiedzy, jak pełną wody jest otchłań morza!“ Słowa te powiedział mędrzec twój, którego wykleli fałszywi mędracy twoi. Jak nazywał się mędrzec ten? On nazywał się Mojżesz Majmonides, on był prawdziwym prorokiem, który „oczy miał nie z tyłu głowy, lecz z przodu“, a patrzył nie na to, co było, ale na to, co będzie, i lud swój do cudzych płomieni pędził, bo wiedział, że przyjdzie czas, w którym ten, co płomieni tych w siebie nie weźmie, w proch i błoto upadnie, a imię jego pośmiewiskiem i wzgardą stanie się dla wszystkich narodów... On był drugim Mojżeszem... on był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie radości i boleści moje...“

Tu czytający opuścił na stół ręce trzymające żółtkę arkusze, a podnosząc twarz okrytą wyrazem niewysłowionego zachwytu powtórzył:

— On był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie boleści i radości moje...

Dziwna rzecz! Mistrz przodka zmarłego przed trzystu laty był jeszcze mistrzem żyjącego dziś młodego potomka! Z jednego źródła spłynęły na obu boleści ich i radości. W sercach obu rozniecił on tę heroiczną i męczeńską miłość — najwyższą ze wszystkich miłości ziemskich — miłość dla idei. Tylko że potomek czytając słowa przodka, słowa, które rozpraszały i oświecały wszystkie dotychczasowe wątpliwości i niepewności jego, czuł samą tylko radość. Smutku ni bólu nie było w tej chwili ani śladu w sercu jego wezbranym pożądaną, bo młodzieńczą, wiarą i nadzieją.

Lecz w tłumie chrapliwy i zanoszący się głos jakiś zawołał:

— Herste! herste! on cudze płomienie wychwala! On wykletego kacerza drugim Mojżeszem nazywa!

Wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, aby zobaczyć, kto słowa te wymówił. Był to reb Mosze, który u drzwi wcho-

dowych na ławie stojąc, całą postacią swą wyniesiony nad tłum falujący u bosych stóp jego, trząsł głową, śmiał się szydersko, a wzrok rozplómienny wypijał w Meira. Ale ciekawość ludu nie była jeszcze nasycona; pod łachmaniastą odzieżą wiele serc biło przyspieszonym tętnem nieokreślonego, niepojętego im samym wzruszenia.

— On ustami prawnuka swego z grobu do nas przemawia! Słuchajmy tego, którego dusza mieszka już pomiędzy sefirotami! — ozwało się głosów kilka.

A starzec jakiś, zgarbiony i wspierający się na kiju, podniósł siwą głowę, mrużące się oczy zwrócił na Meira i jękliwym nieco głosem mówić zaczął:

— Jakże Izrael miał grzać się przy słońcu poznania, kiedy odpędzali go odeń nieprzyjaciele jego? Mieliśmy, rebe, niegdyś sławnych doktorów naszych i mędrców takich, którzy ministrami przy potężnych królach byli... ale kiedy nas potem odepchnięto od bram mądrości, myśmy odeszli i powiedzieli: „Oto Izrael rozwód czyni z narodami cudzymi i stać będzie pośród nich osobno, jak starszy brat, którego młodszy bracia obrazili...”

Meir patrzył na przemawiającego doń starca z współlagodnym, wółtryumfującym uśmiechem na ustach.

— Rebe! — odpowiedział — w pisaniu przodka mojego znajduje się odpowiedź na mowę twoją:

— „Znikną grzechy z powierzchni ziemi”. „I grzeszników już nie będzie”. A kiedy znikną grzechy, a przed wami otworzą się bramy mądrości, wchodźcie w nie prędkim krokiem i z wesołym sercem, bo nauka jest największym orężem Pana, który rządzi światem według wiecznych praw rozumu. „Na dzieła Stwórcy patrzeć nie chcą”. O takich powiedzianym jest w piśmie: „Głupcy nienawidzą poznania!”

„Drugą rzeczą, której ja dla ludu mego żądałem, jest: pamiętanie. Rawa zapytał Rabę, syna Mory: „Skąd wzięło się u ludzi przysłowie: „W studnię, z której pijesz, nie rzucaj

blota”. Raba odpowiedział: „Stąd, że w piśmie powiedzianym jest: „Nie odpychaj Egipcjanina, albowiem gościem byłeś na ziemi jego!” Eliezer, syn Azarii, mówił: „Egipcjanie przyjęli Izraelitów dla własnej swojej korzyści, a przetoż Przedwieczny dał im za to nagrodę”. A jeżeli kraj ten, z którego studzien pijesz ty wodę i z którego roli spożywasz chleb, przyjął cię nie jako bydlę robocze, ażeby mu ziemię orało, ale jako brata zmęczonego, ażeby na piersi jego odpoczął, jakąż ty jemu nagrodę dasz, Izraelu?

„Nie powiedzianym jest: „Będziecie odzierać cudzoziemca z dobra jego”, ale „Będziecie dzielić się z cudzoziemcem dobrem waszym”. Nie powiedzianym jest: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami jak pomiędzy szarańczą, która zboże objada z niw jego”, ale: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzony z potomków Izraelowych!”

„Kiedy ja urząd mój, przez samego króla mnie dany, w mocnym ręku trzymałem, znalazło się dwóch niecných Izraelitów, którzy do nieprzyjacielskiego obozu uciekwszy sekrety królewskiego wojska ponieśli tam z sobą i wydali, przez co wielkie szkody i trudności zrzadzili królowi w wojnie. Co ja z tymi niecnymi podwładnymi mymi uczyniłem? Ja rozkazałem po kraju całym przy dźwiękach trąb ogłaszać, że są oni zdrajcami względem Boga i zakonu Jego i że odpycha ich od siebie na wieki wieków łono Izraelowe! Ja tak zrobiłem, bo gdy gniew na nich wezbrał w sercu moim, zobaczyłem ja we śnie drugiego Mojżesza, który powiedział do mnie: „Odepchnij ich od łona Izraelowego, albowiem odepchnęli oni od siebie tych, na których ziemi gośćmi i przybylcami są!”

„Nie tylko dla świętości dusz waszych żądałem ja od was, ażebyście pełnili rozkazania wdzięczności, ale i dla szczęśliwości żywotów waszych na tej ziemi.

„Kiedy zasiadałem ja w wielkim synodzie izraelskim, który z pozwolenia króla i wszystkich wielce możnych panów tego kraju zebrał się w pięknym i bogatym mieście Lublinie, na-

mówilem wszystkich mądrych i uczciwych ludzi, którzy zasiadali ze mną, abyśmy pomiędzy Izraelitów puścili taką odezwę, która by rozumami i sercami ich zatrząść mogła tak, jak trzęsie ogrodnik drzewem, aby z niego dojrzałe owoce spadały.

„Powiedzieliśmy w odezwie naszej do wszystkich braci naszych: „Bądźcie pożytecznymi ziemi tej, na której mieszkacie, a będą was szanować“. Oto jest pierwszy krok do szczęśliwości, bo wzgarda gorzką a szacunek słodkim jest sercu ludzkiemu.

„Ale są jeszcze inne rzeczy, które ja w myśli mojej mam. „Kto jest sługą ziemi swojej, ten naje się chleba do syta!“ A jakże do syta nakarmi was ziemia ta, jeżeli wy z nią obchodzić się będziecie nie jak wierne i pracowite sługi, ale jak przechodnie, o dzisiejszy tylko dzień dbający?

„Kiedy Abraham przybył nad granicę Tyru i ujrzał, jako tam ludzie usiewali ziemię i zasadzali drzewa, zawołał on: „O! gdyby mi daną była częśćka tej ziemi!“ A Pan rzekł: „Potomstwu twemu ziemię tę ja oddam!“ I ziemię oddał on synom człowieczym.

„Rabbi Papa powiedział: „Nie prowadź handlu, ale uprawiaj ziemię, bo choć jedna i druga robota dobrą jest, ale pierwszą błogosławią ludzie!“ „Kiedy przyjdziecie na ziemię tę, zasadźcie w niej wszelkie drzewo owoc rodzące!“

„Przyjdzie pora taka, w której znikną grzechy, a ludy świata zawołają do synów Izraela: „Bierzcie w ręce wasze pługi i idźcie uprawiać rolę, abyście żyli na niej spokojnie i chleb spożywali do syta z synami i wnukami waszymi!“ Ale fałszywi mędrcy wasi powiedzą wam: „Nie będą ręce nasze prowadzić pługów po ziemi wygnania“. Prawnuku mój! który to czytać będziesz, powiedz ludowi twemu, aby zamknął on uszy przed głosem fałszywych mędrców! Napelnij pierś twoją wielkim głosem i krzyknij: „Fałszywi mędrcy twoi губią cię, Izraelu!“

Widać było, że czytający spełniał przekazane mu rozkazy

przodka z wiarą, zapałem i radością niewysłowioną. Czyliż sam on od dawna już w głębi duszy swej nie uczuwał wstrętu i żalu do mędrców fałszywych? Dlaczego fałszywymi mędrcami byli oni? — powiedzieć nie umiał. Język jego skrzepowany był niewiedzą, a oko gorejące żądzą poznania tłukło się o ściany ciemnicy, w której go zamknęto. Teraz wiedział już — widział — rozumiał. Toteż z głębi piersi głosem donośnym zawołał:

— Fałszywym mędrcom swym nie wierz, Izraelu!

Tłum zawrzał:

— O kim on mówi?

— Gdzież są w Izraelu fałszywi prorocy i mędrcy?

— On o wielkich rabinach naszych i uczonych mówi, usta jego wypuszczają z siebie obrzydliwe bluźnierstwa.

— On same tylko nagany rzuca w oczy izraelskiego ludu!

— On żąda, abyśmy uprawiali rękami naszymi ziemię wygnania!

— Rabbi Nochim, dziad rabbi Izaaka, mówił dziadom naszym: „Nie prowadźcie pługów po ziemi wygnania!“

— A rabbi Nochim był mędrcom nad mędrcami, światłość mądrości jego oświecała ziemię całą!

— Hersz Ezofowicz klócił się o to bardzo z reb Nochimem!

— Hersz Ezofowicz był wielkim grzesznikiem!

— Dlaczego nie przyczytał on nam, jak nędzarze czynić mają, żeby bogaczami stać się?

— Napisał on, żebyśmy byli sługami ziemi tej, na której mieszkamy! A kiedy Mesjasz przyjdzie i zabierze nas stąd do ziemi ojców naszych, my kraj ten porzucim! Na co nam być jego sługami?

— Gadali ludzie, że w pisaniu tym napisane stoi, jak piasek w złoto zamieniać...

— I jak diabłów odpędzać...

— I jak Mojżesza wskrzesić...

— Ludzie nieprawdę gadali! W pisaniu tym nie ma żadnych rzeczy mądrych i miłych Bogu!

Pytania te, sarkania i mnóstwo im podobnych krzyżowały się w tłumie wraz z szyderskimi uśmiechami ludzi, zawiedzionych w ciekawości swej i nadziejach. Mełamed z ławy, na której stał górując nad zgromadzeniem całym, rzucał w nie wciąż słowa obelżywe lub wybuchy grubego śmiechu, w którym czuć było jad nienawiści. Pod drugą ścianą, tuż naprzeciw mełameda, widać było stojącego też na podwyższeniu Bera. Dwaj ludzie ci stojący naprzeciw siebie i górujący nad ruchliwym tłumem przedstawiali sobą dwie krańcowe sprzeczności. Mełamed trząsł głową, rozmachiwał rękami, przysiadł, podskakiwał, śmiał się i krzyczał. Ber stał niemy i nieruchomy; głowę odchylił nieco w tył i oparł o ścianę, a z oczu jego szklistych i w daleką jakąś dal zapatrzonych po twarzy okrytej wyrazem cierpienia zmieszanego z zachwytem spływały, jedna za drugą, ciche, grube łzy. W pewnym oddaleniu od tłumy, a bardzo blisko Meira stała ściśle z sobą zwarta grupa kilkunastu młodych ludzi, którzy wszyscy wpatrywali się w twarz czytającego jak w tęczę. Oddychali oni szybko, uśmiechali się błogimi jakimiś uśmiechami, to znowu wzdychali albo ręce wznosili w górę i dotykali nimi to głów swych, to czół, to oczu. Zdawać się mogło, że nie widzieli oni ani nie słyszeli falującego i szemrzącego tłumy, że duchy ich, dawno tęskniące za prawdą i omackiem szukające jej pośród ciemności, rzucały się teraz całe w ognisty krąg głoszonych przed nimi idei... W głębi tłumy, kędyś po samym środku sali, bardzo stary i trzęsący się głos jakiś mówił:

— O wszystkim tym dużo gadali ludzie... dawno, dawno temu... w dniach młodości mojej!...

Głośnie mu westchnieniu, które towarzyszyło słowom tym zgrzybiałego starca będącego — któż wie? — jednym może z dawnych przyjaciół Hersza, odpowiedziały stłumione chichoty. Byli to chłopcy podrostki, którzy tu i ówdzie wspina-

jąc się na ławy, odrzwia i gzymsy wychylali spośród ramion starszych kędzierzawe głowy w przekrzywionych jarmułkach, a potem zsuwali się z wysokości swych i znikali ze stłumionymi śmiechami.

W ręku Meira zżółkłe, stare arkusze drzew zaczęły. Na bladą dotąd twarz jego wybiły się ogniste rumieńce. Spod przymrużonej nieco powieki cisnął on na tłum spojrzenie, w którym były gniew i prośba, litość i niecierpliwość.

— Uciszcie się! — zawołał. — Pozwólcie, aby wielki mąż, który leży w grobie, powiedział wam przez usta moje wszystkie słowa swoje... aż do końca. On mię wybrał za posłańca swego przed wami... ja wierny muszę być rozkazaniom jego...

Głos jego brzmiał przenikliwie, rozkazująco. Siła odwagi i przekonania malowała się w postawie jego i geście, jakim wyciągnął rękę ku burzącemu się dokoła niego żywiołowi.

Mełamed krzyknął:

— Sztyl! niech czyta! niech obrzydliwość ta wychodzi spod ziemi, gdzie ukrywała się do tego czasu, ażeby łatwiej było spalić ją ogniem gniewu i przycisnąć kamieniem pogardy.

— „Izraelu! — zaczął znowu wśród przycichającego gwaru głos młodzieńczy i silny — Izraelu! trzecią rzeczą, której ja żądałem dla ciebie, jest: rozpoznanie.

„Byli u nas kiedyś mędrcy wielcy, których nazwanie było Bâale-Trêssim, uzbrojeni. Czym oni uzbroili się? Uzbroili się oni wielkim poznaniem Izraelowego zakonu. A przeciw czemu oni uzbroili się? Przeciw zgubie imienia Izraelowego. Oni powiedzieli: „Nie zniknie z powierzchni ziemi dom Izraelowy, albowiem damy mu mocny opłot z wielkiego mnóstwa praw, które z zakonu Mojżeszowego wywiedziemy, a które odgradzą go od narodów innych, tak że stanie on pomiędzy nimi osobno i nie przepadnie wśród nich, jak przepada rzeka, kiedy wpływa do wielkiego morza“.

„Tak powiedzieli sobie tanaici nasi, a sanhedryn, w któ-

rym zasiadali, i szkoły, w których nauczali oni podobnymi stały się do wojennego pola, na którym leżą kule i ostrza oręża. Gamaliel, Eliezer, Jozue, Akiha, Jehuda świecą pomiędzy nimi jak słońca pomiędzy gwiazdami; i następowali oni jedni po drugich przez całe pięćset lat i przez całe pięćset lat układali, tłumaczyli i pisali tę ogromną księgę, której dali imię Talmud, a która przez długie wieki była dla synów Izraelowych opłotem przeciw morzu, co ich pochłonać chciało. Z niej synowie Izraelowi przez długie wieki brali wszystką pociechę i wszystką światłość swoją, a w ciężkim rozproszeniu swym nie byli rozłączeni, bo myśli ich i westchnienia dokoła niej zbiegały się, jak zbiegają się dokoła matki swej myśli i westchnienia rozproszonych po świetle jej dzieci.

„Księga, którą przez całe lat pięćset układali i pisali ludzie, co kochali bardzo i wiele uczyli się, i która narodowi całemu przez długie wieki dawała pociechę, nadzieję i jedność, nie może być księgą głupią i złą. Temu, kto o niej tak mówić będzie, powiedzcie: „Oczyść naprzód serce swe ze wszelkiej złości, a potem otwórz ją i przeczytaj!“

„Lecz czyliż wszystko, co jest dobre, doskonałym być musi? Po niebie samym chodzą ciemne chmury, a w sercu, by najczystszy, wszechwiedzący oko Pana odkrywa skazy. Azaliż Jehowa sam pisał księgę praw naszych? Azaliż pisali ją aniołowie? Ludzie ją pisali. Jestże jeden człowiek na ziemi całej i we wiekach wszystkich, który by nie znał, co to błąd? Jestże jedno dzieło ludzkie, które by dla wszystkich czasów i pokoleń uczynionym było? Zwalił się tron faraonowy, położyła się w gruzy Niniwa, padł Rzym, który świata połową władał, grecka mądrość ustąpiła przed inną mądrością. Pustynie leżą tam, gdzie ludne miasta kwitły, a miasta wznoszą się na dawnych pustyniach. Kruszą się dzieła ludzkie, by największe, a na ich miejsce wyrastają inne. Tak idzie świat. Izraelu! w pokarmie, który żywił duszę twoją przez długie wieki, są ziarna i jest plewa, w bogactwie twoim są brylanty

i jest piasek. Księga wiary twojej jest jako te jabłko granatu, które człowiek głupi jadł z łupiną, od której wielki niesmak miał na podniebieniu i srogie we wnętrzościach bóle. Ale kiedy rabbi Meir głupiego człowieka tego zobaczył, zerwał on z drzewa jabłko granatu, twardą i gorzką łupinę odrzucił, a soczyste i słodkie jądro zjadł. Ja pragnąłem uczyć was tak, jak uczył rabbi Meir człowieka, który jadł z łupiną jabłko granatu. Ja chciałem, żebyście osiągnęli dar rozpoznawania i dla księgi wiary naszej zrobili z rozumu waszego sito takie, które wyrzuciłoby plewy i piasek, a zostawiło wam ziarna i brylanty. Odtrąciłeś mnie od siebie za to żądanie, ludu mój, znienawidziło mię serce twoje, bo strach i nienawiść wielka zamieszkały w tobie przeciw rzeczom nowym. A przecież powiedzianym jest: „Nie patrz na naczynie, ale na to, co ono w sobie zawiera. Bywają dzbany nowe napełnione winem mocnym i stare, w których nie ma ani kropki“.

Lud, który uciszył się był przez chwilę i słuchać zaczął z rozbudzoną na nowo ciekawością, zawrzał znowu. Ber zeskoczył z ławy, na której stał, i przesunął się szybko ku Meirowi. Młodzi ludzie stojący dotąd w ściśle zwartej gromadce przybliżyli się też ku niemu.

— Meir! — szepnął Ber — rzuć ty okiem na lud!

I ciszej jeszcze dodał:

— Idź stąd! idź prędzej!

Meir powiódł wzrokiem po falującej i wrzącej czarnej masie ludu. Uśmiech smutny na wpół, a na wpół gniewny przewinął się mu po ustach.

— Nie tego ja spodziewałem się! Spodziewałem się ja zupełnie czego innego — rzekł z cicha i pochylił głowę.

Wnet jednak podniósł ją i zawołał:

— Ja jestem posłańcem przodka mojego! On wybrał mnie na czytelnika ostatnich myśli swoich! Ja woli jego posłusznym muszę być!...

Odetchnął głęboko i dodał głośniej jeszcze:

— On przeniknął pytania te, które szumieć miały w głowie prawnuka jego, i odpowiedzi na nie dał! On przeniknął skrytości dusz, które łąkną prawdy, i przysłał im przez ręce moje pociechę i naukę. Ja kocham go tak, jak żeby wychodził on mnie na kolanach swoich! Ja pokłon składam wielkiej duszy jego, która zarobiła sobie na nieśmiertelność i mieszka teraz w światłości Jehowy! Ja tak myślę, jak on myślał! tego żądam, czego on żądał! Ja taki sam, jak on, ja syn duszy jego!

Głos jego dźwięczny i donośny drżał westchnieniami i dzwinniejszymi nad nie zachwyconymi uśmiechami jakimiś, w oczach płomiennych i głębokich stanęły wielkie łzy, a usta mu drżały, i czoło bladło coraz więcej, i ręce mimo woli jakby wznosiły się w górę.

— W pisaniu przodka mego — wołał — napisanym jest, że my stoim na miejscu, kiedy wszystkie narody naprzód idą ku poznaniu i szczęśliwości; że głowy nasze napełnione są takim mnóstwem małych rzeczy, że wielkie pomieścić się już w nich nie mogą; że nauka ta, która nazywa się Kabałą, a którą wy za świętą macie, jest nauką przeklętą, bo topią się w niej rozumy synów izraelowych, i odprowadza ich ona od prawdziwego poznania... Napisane tam jest...

Tu głos mówiącego zmieszał się tak bardzo z krzykami, śmiechami i jękami ludu, że pojedyncze tylko wyrazy dochodzić mogły uszu tych, którzy słuchać jeszcze chcieli. Nie przedstawiał jednak mówić; owszem, mówił prędko, coraz prędzej, z pierśią dyszącą, z oczami, które to przymrużały się, to otwierały szeroko. Zdawało by się, że widząc bezskuteczność wysilen swych pragnął on przynajmniej spełniać jak najdłużej to, co za posłannictwo swe uważał; że zawiedziony w oczekiwaniach swych zachował jeszcze jedną jakąś iskrę nadziei...

— Biada! biada! — wołali ludzie różnymi głosy — odszczepieństwo i zgorszenie nawiedziły dom Izraelowy! Usta dzieci plują bluźnierstwa na rzeczy święte!

— Słuchajcie! słuchajcie! słowa przodka mego dalekimi są jeszcze do końca...

— Zamknijmy mu usta i odpędźmy go od miejsca, z którego przemawiają do ludu mędrcy Izraelowi!

— Słuchajcie! W pisaniu tym napisanym jest, ażeby Izrael przestał spodziewać się Mesjasza z ciała i ze krwi...

— Biada! biada! odbierać on chce sercu Izraelowemu pociechę i nadzieję jego!

— Albowiem nie przyjdzie on na świat pod postacią człowieka, ale spłynie jako czas, niosący ludom wszystkim poznanie, nasycenie, miłość i pokój...

— Meir! Meir! co ty robisz? Ty gubisz siebie! Patrz na lud! Uciekaj! — rozlegały się w pobliżu mówiącego stłumione szepty.

Ber stał tuż przy jego boku; Eliezer, Ariel, Chaim i kilku innych otoczyli go ścisłym kołem, ale on nie widział ich, ani słyszał. Krople potu wypływały na czoło jego blade jak chusta, lecz wysoko wzniesione, a w oczach błyskały mu na przemian łzy rozpacz i płomienie gniewu.

Nagle w bliskości drzwi wchodowych rozległ się głuchy stuk. Mełamed zeskoczył z ławy, na której stał, i bosymi stopami swymi po kilkakroć o podłogę uderzył. Potem w kilku poskokach przesadził salę wśród tłumu, który rozstąpił się przed nim, i gwałtownym gestem ramienia okrytego płóciennym rękawem zrzucił ze stołu mosiężny lichtarz z żółtą świecą, której płomień zdeptali wnet inni. Jednocześnie ktoś wspiął się na ławę i zdmuchnął lampkę palącą się u drzwi. Gruby zmrok, tu i ówdzie tylko rozwidniony bladymi smugami księżycy wnikającymi przez okna, ogarnął wielką salę, w której zagotowało się i zakipiało teraz tak, jak gdyby napełniały ją rozszalałe jakieś wichrem żywioły.

Najbystrzejsze ucho nie rozróżniłoby już teraz wyrazów, które sypały się tam jak grad i mieszały się z sobą w chaos nierozwikłany. Z brzmień tylko pojedynczych wykrzyków

wzbijających się nad ten szum ogromny rozpoznać można było: groźby, wyrzekania, przekleństwa i prośby. Na koniec z drzwi bet-midrassu, na oścież rozwartych, wypłynęła na synagogalny dziedziniec gęsta, czarna fala ludzi i spotkała się tu z falą drugą, która stała dotąd na zewnątrz budowy, spokojniejszą nieco była, choć także wzruszoną i szemrzącą. Tu rozlewała się już na przestrzeni szerokiej powódź jasnych księżycowych światła, a wśród niej wznosił się bet-ha-kałoł z zamkniętymi szczelnie drzwiami i okiennicami. Na wschodach gankowych tylko siedział tam szamosz z łokciami na kolanach i brodą w dłoni, nieruchomy jak posąg, oczekujący rozkazów mających wyjść z wnętrza budowy tej, która wśród wrzawy wzburzonego ludu stała niema i zamknięta jak grób.

Tłum rozproszył się na grup wiele, z których jedna przekroczyła wrota synagogalnego dziedzińca i z gwarem niezmierzonym, niby olbrzymi i szamoczący się ptak czarny, sunęła po białym od księżycy placu. Liczną była grupa ta. Składali ją ludzie w nędznych ubiorach, z długimi brodami i oczami rozpalonymi złością, dzieci różnego wieku nachylające się wciąż dla podnoszenia kamieni lub garści piasku i błota, a po samym środku jej cisnęła się ku sobie i człowieka wśród niej znajdującego się osłaniała gromadka dorosłych lub dorastających zaledwie młodzieńców. Rozpychani i potracani, walczyli oni chwilę jeszcze całą siłą piersi i ramion swoich, aż obezsileni czy złęknięci, pierzchnęli i zmieszali się z tłumem. Wtedy na plecy człowieka, którego osłaniali dotąd, posypał się grad kamieni, dziesiątki rąk chwyciły odzież jego i darły ją w szmaty, na odkrytą głowę jego padały garście żwiru i zlepki błota zaczerpnięte z kałuży. W uszach jego brzmiały chóralne, namiętne okrzyki, przed oczami migwały twarze rozognione, podnoszące się i opadające ramiona, a za tym wszystkim, jak za mgłą ognistą, milezący i zamknięty ukazywał się dom jego rodzinny. Ku domowi też temu, niby ku portowi zbawienia, biegł on tak szybko, jak tylko pozwalały

mu na to ręce szarpiące go za odzież i płaczące się mu przed stopami ruchliwe gromady dzieci. Z zaciśniętych ust jego nie wydierał się jęk najłżejszy ani wychodziło słowo żadne prośby lub skargi; można by rzec, iż nie czuł on wcale bólu spadających nań razów ani trwogi przed tymi gwizdzącymi w powietrzu kamieniami, z których jeden lada chwilę ugodził weń mógł śmiertelnie. Piersią i ramionami odpychał on wprawdzie z rozpaczłą siłą tłoczący go tłum, lecz zdawało się, że nie siebie bronił, ale skarbu, który unosił z sobą, bo co chwilę dotykał dłonią piersi, jakby chciał przekonać się, że posiada go jeszcze przy sobie.

Nagle drogę zastąpił mu człowiek w długiej, grubej koszuli i wywijając grubym kijem, który trzymał w ręku, z iskrzącymi się oczami zawołał do ludu:

— Głupcy! co wy robicie! Dlaczego wy jemu obrzydliwego pisanie tego nie odbieracie? Rabbi Izaak przykazał, abyście pisanie to wydarli mu i w ręce jego oddali! On je na piersi swej schował!

W mgnieniu oka młody człowiek, którego dotąd otaczano z tyłu tylko i z boków, ujrzał się zaskoczonym z przodu. Kilkanaście rąk ciemnych, grubych sięgnęło ku jego piersi, rozgięło ramiona jego, które on zwarł był z siły całej, i targać go poczęło za przednią część odzieży.

Wtedy podniósł on ku niebu wyiskrzonemu księżycowym światłem twarz śmiertelnie bladą i z głębi piersi krzyknął:

— Jehowa!

W tej chwili uczuł u nóg swych przeslizgujące się, szczupłe, zwinne ciało jakieś, a gorące jakieś usta przyłgnęły do jednej z opuszczonych rąk jego długim pocałunkiem. Dziwnie odbić się musiał w sercu jego pocałunek ten wmieszany w zadawane mu ciosy — ten objaw miłości wśród wrzących dokoła niego przekleństw i gróźb...

Ostatkiem sił odepchnął od siebie napastników i pochylił się ku ziemi, a zanim zdążyli oni przyskoczyć znowu ku niemu

i podnieść nań ręce, wyprostował się i w ramionach swych podniósł dziecko, którym zasłonił się jak puklerzem, a ono przyłgnęło piersią do piersi jego, oba ramiona zarzuciło mu na szyję i ku ludziom groźnie podnoszącym ręce zwróciło twarz zalaną rześzystymi łzami. Zza łez czarne, ogromne oczy dziecka patrzyły ze szczególnym, przejmującym wyrazem gniewu połączonego z błaganiem i strachem.

— To moje dziecko! to mój Lejbele! nie czynicie mu nic złego! — ozwał się spośród tłumu jękliwy i trwogi pełen głos krawca Szmula.

— Rebe! — zawołało kilka grubych głosów do mełameda uwijającego się wciąż przed tłumem z kijem w ręku. — Rebe! on zasłonił się dzieckiem! Dziecko to bardzo go kocha!

— Odbierzcie mu dziecko to! zabijcie je! wyrzycie mu przekłete pisanie! — krzyczał rebe.

Ale nie usłuchał go nikt! Szarpano jeszcze Meira z tyłu i z boków, kamień jeszcze jeden i drugi ugodził go w ramię i nad głową jego przeleciał, ale przed sobą ujrzał on już prześcienie wolne i kilku poskokami znalazł się na ganku rodzinnego domu, którego drzwi otworzył przed nim ktoś niewidzialny i wnet je za nim zamknął.

Meir postawił dziecko na ziemi w ciemnym korytarzu, a sam wbiegł do bawialnej izby, w której przy świetle lampy palącej się przed żółtą kanapą zgromadzoną znalazł całą swą rodzinę. Wbiegł i stanął nieruchomo u ściany. Oddychał prędko, wodził dokoła mętным wzrokiem i milczał. Milczeli też przez chwilę wszyscy obecni. Nigdy, odkąd ród Ezofowiczów istniał na świecie, żaden członek rodu tego nie wyglądał tak, jak wyglądał teraz blady i zdyszany młodzieniec ten, w odzieży opadającej zeń łachmanami, z głową osypaną prochem ulicy. Czoło jego zroszone potem śmiertelnego zmęczenia, przerzynała ukośnie czerwona kresa — ślad chropowatego kamienia może, który się po nim prześliznął, albo kto wie? — ostrego narzędzia jakiegoś, które podniosła nań ręka czyjaś

w ciemnej sali bet-midraszu! Miał on pozór ściganego przestępcy, miałby też pozór żebrzącego nędzarza, gdyby nie duma jakaś, która patrzyła z uznajonego i zranionego czoła jego, i nie gorący blask w oczach, w których obok niewysłowionego bólu malował się upór niepokonanej woli.

Saul zakrył twarz obu dłońmi. Kilka kobiet zaszlochało głośno, Rafał, Abram i inni dojrzaali członkowie rodziny podnieśli się z miejsc swych rozplómonieni, groźni i jednym głosem zawołali:

— Nieszczęsny!

Checieli otoczyć go i mówić coś do niego, ale nie mieli czasu, rozwarły się bowiem z trzaskiem wielkim okiennice z zewnątrz zamknięte, zadzwoniły i w drobne odłamy posypały się szyby okien, kilkanaście kamieni wpadło do izby uderzając ze stukiem w ściany i sprzęty, a za oknami zakipiała wrzawa namiętna, groźna, wśród której najgroźniejszy i najnamiętniejszy brzmiał gruby głos mełameda. Dopominało się o Meira i o pisanie Seniora, łajano ród cały, domostwo to zamieszkujący, odgrazano się pomstą boską i ludzką, krzyczano na znieważanie zakonu i bluźnienie rzeczom dla Izraela świętym.

Ezofowiczowie stali jak przykuci do miejsc swych, strachem, żalem i wstydem zdjęci.

Saul tylko odkrył twarz, wyprostował się dumnie i krokiem szybkim zmierzać zaczął ku drzwiom.

— Tate! gdzie ty idziesz? — z przestachem krzyknęli za nim mężczyźni i kobiety.

Wyciągnął ku oknom wskazujący palec i drżącymi ustami rzekł:

— Stanę na ganku domu mego i powiem głupiej zgrai tej, żeby milczała i szła precz!

Zastąpiono mu drogę. Kobiety oplotły ramionami kolana jego.

— Oni cię zabiją! — jęczano.

Nagle w jednej chwili wrzawa umilkła, i za oknami rozległ się tylko szept mnóstwem ust powtarzany.

— Szamosz! szamosz! szamosz!

W istocie, z bramy synagogałnego dziedzińca wyszedł i przez plac ku domowi Ezofowiczów szybko posuwał się człowiek, który przed kilku minutami stróżował nieruchomo u drzwi niemego jak grób bet-kafołu. Grób otworzył się znać i wypowiedział słowa zapadłego wyroku, a sługa synagogałny śpieszył, aby ogłosić go obwinionemu i jego rodzinie. Ale i lud także brzmienia wyroku ciekawym był namiętnie. Dlatego uciszył się i stał jak mur czarny, przyparty do okien, w których żadnej już prawie szyby nie było. I ci wszyscy także, którzy pozostali byli na synagogałnym dziedzińcu albo rozsypiani wśród placu beczynnie przypatrywali się burzliwej scenie, złączyli się w jedną ogromną masę i zalegli znaczną przestrzeń przed domem Ezofowiczów. Drzwi domu tego otworzono znowu i wnet zamknięto. Szamosz wszedł do bawialnej izby.

Wszedł, niespokojne trochę i nieufne spojrzenie rzucił dookoła, a potem nisko pokłonił się Saulowi.

— Szolem alejchem! (pokój tobie) — rzekł z cicha, jakby czuł sam, iż zwykle pozdrowienie to mieściło w sobie tym razem srogą ironię.

Nikt nie odpowiedział.

— Rebe Saulu! — zaczął znowu pewniejszym już nieco głosem — nie miej za złe słudze swemu, że przynosi w dom twój nieszczęście i wstyd. Spełniam rozkazy wielkiego rabina naszego i wszystkich dajonów i kahałnych naszych, którzy dziś na wnuka twego Meira sąd składali, a wyrok zapadły ogłosić mi kazali jemu i wam wszystkim.

Słowom tym odpowiedziało znowu głębokie milczenie. Po chwili dopiero Saul, który stał wsparty o ramię syna swego Rafała, rzekł przyciszonym głosem:

— Czytaj!

Szamosz rozwinął papier, który trzymał w ręku, i donośnym głosem czytać o raczej wyśpiewywać zaczął:

„Izaak Todros, syn Barucha, rabin szybowski, wraz z dajonami i kahałnymi, trzymającymi sąd i rządy nad gminą izraelską miasta Szybowa, przyjąwszy do wiadomości i mając to stwierdzonym przez mnogich świadków i dowody nie podlegające żadnemu wątpieniu, że silny, zuchwały i nieposłuszny Meir Ezofowicz, syn Beniamina, dopuścił się srogich przestępstw i nigdy niesłychanych w Izraelu zbrodni następujących:

1) iż pomieniony Meir, syn Beniamina, zaniedbywał strzec sabatu wedle praw i ustanowień izraelskiego zakonu i zamiast oddawać się w dniu tym, jak prawemu izraelicie przystoi, pobożnym czytaniom i rozpamiętywaniu niezliczonych przepisów Talmudu i niezgłębianych tajemnic Kabały ośmielał się strzec i bronić mieszkania odszczepieńcy karaima, na dzieci izraelskie w gniewie ręce podnosić, a w miejscach ustronnych przekłete księgi czytać i świeckie pieśni śpiewać;

2) iż Meir Ezofowicz, syn Beniamina, księgę przekłątą: More Nebuchim Mojżesza Majmonidesa, fałszywego mędrca wyklętego przez mnogich a świętych rabinów i uczonych naszych, nie tylko sam czytał, ale do czytania jej i rozważania zawartych w niej kacerstw i obrzydliwości towarzyszków i przyjaciół swych zachęcał;

3) iż Meir Ezofowicz, syn Beniamina, przed towarzyszami swymi i przyjaciółmi buntownicze mowy przeciw zakonowi i mędrcom izraelskim z ust swych wypuszczał, przez co duże młodzieńców izraelskich psuł i trądem niewiary zarażał;

4) iż pod pozorem litości nad nędzą i utrapieniami ludu dawał on jemu rady zbrodnicze i głupie mówiąc, żeby baczili na to, co kahałni czynią z odbieranymi od nich pieniędźmi, żeby rozróżniali w zakonie rzeczy boskie od rzeczy ludzkich, żeby rozsypali się po szerokich polach i prowadzili

po nich pługi, tak jak to czynią ciemni i niscy chłopci chrześcijańscy;

5) iż mając już na twarzy swej i brodzie wyrosłe od dawna włosy nie chciał on pojąć sobie żony, sprzeciwiał się w tym woli i rozkazaniu starszych, a przyrzeczoną sobie dziewczynę izraelską, Merę, córkę Elego, zuchwale odrzucił, przez co objawił wszetecznie swe postanowienie unikania prawych związków małżeńskich;

6) iż nieczystą przyjaźń trzymał on z Gołdą, karaimką, wnuczką odszczepieńca, któremu rabin Izaak i kahalni z wielkiego tylko miłosierdzia w domu ojców jego żyć pozwalają, albowiem karaimi, jako dobrowolnie odpadli od łona Izraelowego, a świętości Talmudu i Kabały uznać nie chcący, niegodni są, aby ich ziemia na powierzchni swej nosiła — Meir Ezołowicz, syn Beniamina, obcował często z nimi, z Gołdą karaimką w ustronnych miejscach schodził się, kwiaty z jej ręki przyjmować śmiał i głos swój dawał za towarzysza jej głosowi razem z nią świeckie pieśni w sabat śpiewając;

7) iż nie oddawał on czci przynależnej uczonym izraelskim, otwierał usta swe do zuchwałych sprzeczek z reb Moszem, ulubieńcem i uczniem rabina Izaaka, i na tegoż reb Mosza zbrodniczą rękę podnieść śmiał, tak iż ręką tą popchnięty reb Mosze przewrócił się na podłogę chederu, a na niego przewrócił się stół i powstały z tego wielkie szamotania się i stukania, dla reb Mosza strach i ból, a dla całego Izraela żal i zgorzienie;

8) iż w niepojętej złości swej oskarżył on przed cudzym człowiekiem rebe Jankla Kamionkera o zły względem tegoż cudzego człowieka zamiar, przez co zerwał jedność i przymierze izraelskiego ludu i głowę brata swego srogiemu niebezpieczeństwu poddał, które ażeby odepchnąć od siebie, musi teraz reb Jankiel wiele nieprzyjemności doświadczyć, trudów dokonać i pieniędzy utracić;

9) iż nie znając granic dla zuchwałości i bezbożności swej

wydobył on pismo przodka swego, Michała Seniora, z ukrycia, w którym oby było zgniło i rozsypało się w proch! — a nabrawszy do serca swego zbrodniczej śmiałości przyszedł do bet-midrashu, aby pismo to w obliczu ludu całego czytać, a przez to trząść srodze wiarą jego w stare prawa i obyczaje izraelskie; a że, jak nam o tym mówią świadkowie, których przyzwaliśmy, pismo to napełnionym jest najzłośliwymi radami i najsroższymi bluźnierstwami, jakie ucho Izraela słyszało kiedykolwiek, czytanie to przez Meira, syna Ezołowicza, dokonane, uważamy za największą zbrodnię spomiędzy wszystkich wielkich zbrodni, których się on dopuścił, i na podstawie praw w świętych księgach naszych zawartych i władzy, która nam, wedle tychże praw, nad wszelkim synem domu Izraelowego udzielona jest, stanowimy:

Jako jutro w wieczór rzuconym będzie na silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezołowicza, syna Beniamina, ustami rabina Izaaka, syna Barucha, herem, wielka i przeraźliwa klątwa, dla wysłuchania której zwołanym będzie przez szamoszów naród cały z miasta Szybowa i okolic, a która gdy na głowę jego spadnie, odrąconym on zostanie od łona Izraelowego i z domu Izraela sromotnie wypchniętym. Wy zaś wszyscy, którzy trzymacie się waszego Boga i zakonu Jego, życie w pokoju i szczęśliwości, wraz ze wszystkimi braćmi izraelitami!“

Skończył czytać szamosz, papier, z którego czytał, za pierś włożył, schylił się niskim ukłonem i szybko izbę opuścił.

Nastąpiło parę minut grobowego milczenia, nieprzerwanego najlżejszym choćby szmerem ludu, który za oknami czarnym murem stojąc grobowo też milczał.

Nagle Meir, który stał dotąd nieruchomy, ze wzrokiem wlepionym w miejsce, na którym przed chwilą szamosz odczytywał wyrok, podniósł w górę obie ręce, objął nimi swą głowę i krzyknął:

— Odrącony od łona Izraelowego! Z domu Izraela sromotnie wypchnięty!

Głos jego skonał w łkaniu ogromnym, które pierś mu rozdarło. Gwałtownym ruchem odwrócił się od obecnych, twarz ukrył w dłoniach, czoło oparł o ścianę i płakał głośnym, namiętnym, rozdzierającym płaczem. Dość było usłyszeć jedno tylko z łkań jego, aby poznać, że ugodzonym został on w samo serce, że rozwód ten, który uczynić z nim miał lud jego, targał i rwał w nim najmocniejsze, najgłębsze struny uczucia.

Wtedy zbliżyli się doń stryjowie jego, żony ich i córki, i różnymi głosy: gniewu i litości, groźby i prośby wołać nań zaczęli, aby upamiętał się on, upokorzył, pismo Seniora na publiczne spalenie oddał, a może przebłaganym zostanie gniew starszyny i wyrok wydany przez nią odwołany. Cisnęli się ku niemu mężczyźni, kobiety obejmowały go ramionami, i do łajañ i wyrzekań mieszały się łzy i pocałunki.

On nie przestawał płakać, nie odwracał twarzy i nie odrywał czoła od ściany, a na rozlegające się dokoła niego krzyki i prośby odpowiadał tylko przeczącym wstrząsaniem głową i krótkim wyrazem:

— Nie! nie! nie!

Wyraz ten, pośpiesznie wyrzucany z ust dławionych łkaniem, wymowniejszym był nad wszelkie długie mowy, bo przechodził wszystkie możliwe intonacje ludzkiego głosu: rozpacz, żal, wola, gniewu, błagania i miłości.

— Tate! — zawołał Rafał zwracając się do Saula, który odosobniony i nieruchomy siedział na stołku. — Tate! dlaczego ty nie powiesz jemu, dlaczego ty nie rozkażesz jemu, aby upokorzył się on i upamiętał, nieszczęsne to pisanie w ręce nasze oddał, a my je rabinowi zaniesiemy i o zlitowanie nad nim prosić będziemy!...

Kiedy Rafał to mówił, Meir odkrył twarz i zwrócił ją ku dziadowi.

Saul podniósł też głowę, wyciągnął ręce, jakby szukał

przed sobą punktu oparcia się jakiegoś, i powstał ze stołka. Szklisty dotąd wzrok jego stał się dziwnie ruchliwym i niespokojnym, aż spotkał się z utkwionym w twarz jego spojrzeniem wnuka. Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— Mów, tate, mów! rozkazuj mu! — wołało głosów kilka.

Starzec zachwiał się na nogach. Okropna walka jakaś, srogie wahanie się ducha pociąganego w dwa przeciwne kierunki odbiły się na drgającej jego twarzy. Kilka razy próbował przemówić... nie mógł... aż na koniec ciężkim szeptem zawołał:

— On jeszcze nie wyklęty... mnie jeszcze wolno... W imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba błogosławię cię, synu syna mego!...

I drżący cały, z brwiami zjeżonymi, a oczami pełnymi łez, osunął się na stołek.

Obecni zamienili się spojrzeniami pełnymi zdumienia i wzruszenia; Meir poskoczył, upadł na ziemię przed dziadem swym, stopy i kolana jego całował i śpiesznie, gorąco, cicho szeptał mu coś o miłości swej dla niego, o pisaniu Seniora, o tym, że pójdzie on sobie stąd i że wróci kiedyś... Podniósł się potem z klęczek i wybiegł z izby.

W tej chwili przed oknami domostwa nie było już nikogo. Czarna masa ludu odpłynęła na środek placu i stała tam nieruchoma prawie i z cicha tylko, bardzo z cicha szemrząca. Dziwna rzecz! Zaledwie szamosz odczytał słowa srogiemu wyroku, gdy fala gniewu niemal wściekłego, wzdymająca dotąd pierś tłumu, opadła nagle. Coś się w nim stało. Natura jego, wrażliwa i gotowa zawsze, na kształt harfy mnogostrunnej, odpowiedzieć dźwiękiem na dotknięcie każde, drgnęła pod spadłym na nią nowym jakimś uczuciem. Byłoż to uszanowanie dla nieszczęścia i wstydu, które nawiedziły rodzinę starożytną, możną a dobroczynną? Byłaż to spokojność następująca po nasyceniu się pomstą, groza czy litość, czy wszystko to razem?

Tłum, który przed chwilą kipiał cały, przeklinał, groził

i gotów był burzyć wszystko, co gniewowi jego na drodze sta-
wało, umilkł nagle, usunął się i posmutniał. Tu i ówdzie tylko
dawały się jeszcze słyszeć śmiechy mściwej radości albo słowa
obelgi i potępienia, lecz w grupach rozsianych po placu
i wpływających w boczne uliczki płynęły ciche, oderwane
szepty:

- Jednak... dobry on był i miłosierny...
- On dumny nie był...
- On głupie dziecko moje karmił i całował...
- On starego ojca mego spod woza, który na niego prze-
wrócił się, rękami swymi wydobył...
- On nam jak prosty robotnik drzewo piłować pomagał...
- Twarz jego świeciła pięknością i rozumem...
- I cieszyły się wszystkie oczy, które na młodość jego
patrzyły...
- Herem! herem! herem! — powtarzało ust mnóstwo.
Przy tym głowy kołysały się w podziwie, twarze bladły od
grozy, a z piersi wychodziły westchnienia...

Na pustych gruntach rozdzielających miasteczko z karaim-
skim wzgórzem, po srebrnym tle księżycowego światła sunęły
się szybko cienie trzech ludzkich postaci. Pierwszy z nich na-
leżał do wysokiego, kształtnego młodzieńca, drugi — do
dziecka trzymającego ręce w rękawach odzieży; dwa cienie te
znajdowały się tak blisko siebie, że łączyły się z sobą niekie-
dy, ale cień trzeci, rysujący kształty człowieka niskiego i krę-
pego, sunął się z dala od dwóch pierwszych, przystawał, garbił
się, a chwilami znikał całkiem za płotem jakimś, krzakiem lub
drzewem. Przystawanie to i ukrywanie się objawiało ostro-
żność człowieka, który spostrzeżonym zostać nie chciał. Podpa-
trywanie to było jakieś, podsłuchiwanie, czyhanie na coś lub
na kogoś...

U otwartego okna karaimskiej chaty rozległo się ciche wo-
łanie:

— Gołda! Gołda!

Z okna wychyliła się twarz ubielona księżycem i opłynięta
strugą czarnych włosów. W cichym powietrzu popłynął szept
namiętny:

— Meir! Meir! ja wielką wrzawę i okropne krzyki słysza-
łam! Serce moje drżało od strachu. Ale to nic! ty przysze-
dłeś!

Dwoje ramion okrytych rękawami grubej koszuli wycią-
gało się ku nadchodzącemu gestem trwogi i radości; korale
dzwoniły na piersi, w której łkanie mieszało się ze śmiechem.

Nagle z ust dziewczyny wyrwał się krzyk przeciągły. Meir
stał teraz tuż przed nią. Zobaczyła odzież jego podartą
i krwawą kresę przerywającą mu czoło.

— Och! — jęknęła z głębi piersi i ręce obie podniosła ku
swemu czołu, a potem opuściła je i schylona ku człowiekowi,
który usiadł pod oknem na ławie, z powstrzymanym odde-
chem i urywanym, śpiesznym szeptem jakimś wodzie poczęła
dłońmi po opylonych włosach jego i zranionym czole. W na-
miętnej pieszczocie tej było także coś z uczucia macierzyń-
skiego, pragnącego uspakajać, goić i pocieszać.

On siedział chwilę w postawie człowieka, który spoczywa
po śmiertelnym znużeniu. Oparł głowę o ramę okna, wpół-
otwartymi ustami z trudnością wciągał w pierś powietrze chłod-
nej nocy, a światło księżyca odbijało się w suchych źrenicach
jego, które z wyrazem posępnych pytań jakichś tkwiły w osre-
brzonych obłokach.

Po chwili wyprostował się i śpiesznie, półgłosem mówić za-
czął:

— Gołda! ludzie szukać mię może będą, a jak znajdą, to
skarb mój ode mnie odbiorą. Ja skarb ten mój tobie, Gołdo,
dam do schowania, a sam na całą noc pójdę w pola i lasy,
aby tam głośno do Jehowy krzyczeć o zlitowanie.

Dziewczyna, która stała teraz wyprostowana już, poważna i uważna, odpowiedziała:

— Daj!

W ręku Meira zaszeleściły arkusze papieru. Podawał je dziewczynie mówiąc:

— Schowaj ty to na pierś swoją i strzeż skarbu mego jak żrenicy swojej. To przedśmiertne pisanie przodka mego, które zdjęło do reszty ślepotę z oczu moich. To paszport mój, z którym ja pójdę w świat i który przede mną drzwi i serca mądrych ludzi otworzy. Tu cicho i bezpiecznie... nikt nie widzi i nie domyśli się... jak ja w świat iść będę, wtedy pisanie to od ciebie wezmę...

Gołda wzięła podawany jej przedmiot.

— Bądź ty spokojny o skarb swój! — rzekła. — Prędeż ja rozstanę się z życiem, niż go w ręce inne jak w twoje oddam. U mnie on bezpieczny.... tu cicho i nikt nie domyśli się...

Meir wstał z ławy.

— Śpij spokojnie! — rzekł. — Ja pójdę... We mnie szumi taka burza płaczu... że ja muszę iść... iść... iść... Pójdę ja... pomiędzy drzewami leśnymi twarzą na ziemię padnę i z wiatrami, które tam szumią, posyłać będę Jehowie głośne krzyki moje... Ja muszę przed Nim skarżyć się... muszę Jego błagać... muszę o wiele rzeczy Jego zapytywać się... Pełną jest pierś moja krzyków mojej duszy... ja muszę je z siebie wydać... bo one za gardło mnie chwytają i duszą...

Chciał odejść, ale pochwyciła go Gołda za rękaw odzieży.

— Meir! — zaszeptala — powiedz ty mi jeszcze... co tam stało się?... za co ciebie ludzie bili i kaleczyli? Dlaczego ty w świat musisz iść?

Meir z posępnym błyskiem oczów odpowiedział:

— Bili mnie i kaleczyli ludzie za to, że ja przeciw prawdzie mojej iść nie chciałem i na wszystko, na co lud mówi: „Zgoda!“, nie mówiłem: „Zgoda!“ W świat ja iść muszę dlatego,

że jutro rzuconą na mnie będzie wielka i przeraźliwa klątwa i sromotnie wypchniętym ja zostanę z domu Izraelowego!

— Herem! — krzyknęła dziewczyna i splecione ręce swe gestem grozy na głowę swą zarzuciła. Tak stała chwilę, potem jednak zamysłony, lecz łagodny uśmiech rozlał się po jej twarzy.

— Meir! — szepnęła — zejde mój wyklęty jest... i ja wyklęta... ale miłosierdzie Pana większe jak największa góra, a sprawiedliwość Jego głębsza od najgłębszego morza. Tak stoi w piśmie. Kiedy zejde mój to czyta, przestaje smucić się i mówi: „Przeklęty szczęśliwszym jest od przeklinającego... bo przyjdzie czas, że sprawiedliwość Pańska wejdzie w serca ludzi, i błogosławić oni będą imiona przeklętych...“

Meir patrzył długo na dziewczynę mówiącą słowa te z ogniem zapału w zapadłych oczach, z twarzą jaśniejącą blaskiem natchnienia.

— Gołda! — rzekł z cicha — ty jesteś połową duszy mojej... idź ze mną w świat... ja cię za żonę pojmem i trzymając się za ręce będziemy razem znosić przekleństwo ludzkie i starać się, żeby kiedyś na imiona nasze spłynęło błogosławieństwo...

Gołda stanęła cała w ogniu i w promieniach uszczęśliwienia niewysłowionego.

— O! Meir! Meir! — krzyknęła.

Chciała jeszcze coś powiedzieć — nie mogła. W radości bezprzytomnej, z piersią drżącą płaczem, śmiechem, westchnieniami i niewymawianymi dziękczynieniami, pochyliła się nisko i całą wysmukłą, giętką kibicią swą zawisała na jego ramieniu. On szyję jej objął, głowę przycisnął do piersi i usta zatopił w jedwabistej gęszczu jej włosów...

Była to chwila... mgnienie oka. Dziewczyna wyprostowała się szybko i oblana szkarłatem, z ustami drżącymi i piersią dyszącą wymówiła z cicha:

— A zejde?

Meir patrzył na nią jak człowiek nagle zbudzony ze snu. Ona szeptała dalej:

— Nogi jego są słabe, a żeby mógł on pójść z nami i on od grobów ojców swoich odejść nie zechce! A jak ja jego porzucę? jak on będzie mógł żyć beze mnie? On mnie na rękach swych kołysał, prząść i czytać w Biblii uczył, on duszę moją oświecał i serce radował tymi pięknymi historiami, które opowiadał mi ciągle... ciągle... Jeżeli odejdę, któż usta jego karmić i poić będzie?... Kto w ciemne zimowe noce położy się u nóg jego, aby ciałem swym zziębłe stopy jego ogrzewać? A kiedy dusza jego rozwód brać będzie z ciałem, kto na rękach swych siwą głowę jego zakolysze do snu wiecznego? Meir! Meir! I ty masz dziada, którego włosy białe są jako śnieg i który po tobie szaty swe w żalu rozedrze. Ale twój zejde ma synów i córki, synowe i zięciów, wnuków i prawnuków, domostwo bogate i wielkie znaczenie u ludzi... Mój zejde na świecie całym ma tylko biedną chatę swoją, starą Biblię i wnuczkę swą, Gołdę...

Meir westchnął.

— Ty prawdę mówisz, Gołdo — rzekł — ale cóż ty uczynisz? co z tobą stanie się, kiedy oczy dziada twego zamkną się do snu wiecznego, a ty zostaniesz tu sama jedna pośród wzgardy ludzkiej i ubóstwa swego?

Gołda usiadła, bo nogi drżały pod nią. Obu dłońmi powiodła po rozpalonej twarzy, a po chwili ze wzniesionymi w górę oczami z wolna odpowiedziała:

— Przed drzwiami chaty tej usiedę, prząść wełnę i kozy moje paść będę i patrzeć na drogę tę, którą ty kiedyś powrócisz...

Był to ustęp z historii Akiiby i pięknej Racheli.

Meir w rozmarzonej zadumie zapytał jeszcze:

— A jakże ty zrobisz, kiedy ludzie przyjdą, śmiać się z ciebie będą. i powiedzą: „Akiba pije u źródła mądrości, a twoje ciało pożera nędza i oczy twoje gasną od łez?...“

Przytłumiony namiętnym wzruszeniem, lecz poważny głos odpowiedział:

— Ja im odpowiem: „Niech ciało moje pożera nędza, a oczy wypływają ze łzami, ja wiary mężowi memu strzec będę... I żeby stanął on teraz przede mną i rzekł: „Wróciłem, bo nie chciałem, żebyś płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem“, powiedziałbym mu: „Idź i pij jeszcze!“

Meir wstał. Nie rozpacz już, ale siła i odwaga malowały się na twarzy i w postawie jego.

— Ja wrócę, Rachelo! — zawołał. — Jehowa ujmie się za mną i podadzą mi rękę pomocy ludzie, którym pokażę serce moje spragnione poznania i pisanie przodka mego, które zaręcza lud izraelski z innymi ludami przymierzem zgody... Ja długo, długo, chciwie pić będę ze źródła mądrości, a potem tu powrócę, biedny lud mój nauczać będę, a na twoją głowę za wszystką nędzę i wzgardę, którą ty dla mnie przeniesiesz, złotą koronę włożę...

Gołda wstrząsnęła głową. Z twarzy jej można było poznać, że czuła się ogarniętą jakby snem cudownym. Śniło się jej, że była piękną Rachelą witającą z długiej podróży męża swego, Akibę. Z marzącym uśmiechem na ustach, a ogniem namiętnym w oczach szepnęła:

— Ja wtedy kolana twoje obejmę i oczami, które znowu tak pięknymi staną się, jak przed wielu laty, w światłość twoją spojrzę i powiem: „Mistrzu! chwała twoja jest moją koroną!“

Patrzali na siebie długo przez łzy. Miłość gorejąca na dnie ich żrenic wyglądała zza tej srebrzystej powłoki tak czystą i bohaterską, jak czystymi i bohaterskimi były ich serca.

Wtem o uszy ich obił się przyciszony, dźwięczny jednak, śmiech dziecięcy. Zdziwieni, spojrzeli oboje w stronę, w której zabrzmiał. Na progu otwartych drzwi chaty siedział Lejbele i trzymał w objęciu małe, białe jak śnieg kozłę. Kozłę to było kupione na targu za pieniądze, zebrane przez Gołdę

ze sprzedaży koszów. Ujrzało je dziecko w głębi sionki oświetlonej księżycem, wzięło je w ramiona, wyniosło na próg chaty, a teraz tuląc twarz swą do miękkiej jego sierści śmiało się swawolnie i pieszczotliwie.

— Dziecko to zawsze przychodzi tu za tobą — rzekła Gołda.

— Ono dziś całowało mię, kiedy wszyscy mię bili, i ja nim od rąk silnych skarb mój zasłoniłem — odpowiedział Meir.

Gołda zniknęła z okna i wnet zjawiła się w progu chaty. Pochyliła się nad dzieckiem tak, że rozplecione jej włosy opłynęły mu głowę i ramiona. Przy tym ustami przyłgnęła do czoła jego. Lejbele nie przeląkł się wcale. Czuł się tu znać bezpiecznym. Widział już nieraz tę kobietę, której ogniste oczy wpatrywały się teraz w twarz jego z wyrazem niewysłowionej słodyczy. Podniósł na nią spojrzenie jasne, wdzięczne, pojętne prawie.

— Pozwól mi pobawić się z kozłkiem — szepnął.

— Czy chcesz mleka? — zapytała.

— Chcę — odpowiedział — daj!

Wyniosła z sionki gliniany kubek napelniony mlekiem i sama poila nim dziecko. Potem usiadła przy nim na progu i zapytała:

— Dlaczego ty porzucasz ojca i matkę, a idziesz za Meirem?

Dziecię zakołysało głową i odpowiedziało:

— On lepszy jak tatele, i lepszy jak mamele. On mię karmił i po głowie mię gładził i z rąk reb Mosza mię wyrwał...

— Czyj ty syn? — zapytała Gołda.

Lejbele milczał chwilę, podnosił w górę oczy i kołysał głową. Widocznym było, że bił się z nieposłuszną, bo zgnębioną swą myślą. Nagle wyciągnął palec w kierunku, w którym odszedł był Meir, i głośno zawołał:

— Jego!...

Zaśmiał się przy tym, ale nie był to śmiech idioty. Był to objaw radości, którą uczuła biedna, biedna dusza dziecięca, gdy z wysileniem wielkim udało się jej ująć w wyraz miłość swą i gorące swe, lubo nieokreślone żądanie.

Ale Gołda spojrzała w stronę, w którą poszedł Meir i westchnęła ciężko. Wstała potem, owinęła się starą jakąś chustą i wstąpiwszy ku połowie wzgórza usiadła pod karłowato rosnącą tam sośniną. Chciała może z wysokości tej obejmować okiem szerszą przestrzeń i ujrzeć go, jak wracać on będzie z dalekich pól i lasów. Oparła łokcie na kolanach, twarz zakryła dłońmi i siedziała tak nieruchoma jak posąg zadumy i smutku, a tylko po kruczych włosach jej, które ogromnym płaszczem zakryły ją całą i spłynęły aż na wilgotną trawę, księżyc rozsypywał miliony ruchliwych iskier.

W drzwiach chaty Lejbele usnął wkrótce, w śnie jeszcze trzymając przy piersi białe kozłkę, które spało także.

W tej samej prawie chwili otwierały się z cicha niskie drzwi chaty rabina i wchodził przez nie reb Mosze, przygarbiony, zawstydzony, znękany. Przysiadł na ziemi u komina i lękliwie patrzył na Todrosa, który siedząc u otwartego okna opierał twarz na obu dłoniach, a wzrok wlepił w księżyc.

— Rabbi! — szepnął nieśmiało.

— Rabbi! — powtórzył głośniejsze nieco — sługa twój wien jest w oczach twoich... obrzydliwego pisania nie przynosi on tobie, rabbi! Burza była sroga, ale bronili go przyjaciele jego, potem on sam bronił się, a potem obroniło go małe dziecko... Głupi lud szarpał go, bił, łajał i kamienował, ale pisania obrzydliwego z rąk mu nie wydarł. Nassi! sługa twój pełen wstydu jest i bojaźni, ale ty zlituj się nad nim i nie karz go piorunem wzroku swego...

Todros nie spuszczał wzroku podniesionego ku księżycowi wyrzekł:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wydrzeć i w moje ręce je oddać!

— Nassi! pisanie to nie jest już w rękach jego!...

— A gdzie ono jest? — nie odwracając twarzy, lecz podniesionym głosem zawołał Todros.

— Rabbi! ja przed obliczem twoim nie śmiałbym stanąć, gdybym nie wiedział, co z nim stało się... Ja szedłem za nim... cała dusza moje weszła w oczy i uszy moje... ja widziałem, jak on pisanie to karańskiej dziewczynie do schowania dawał i słyszałem, jak on je skarbem swoim nazywał... On mówił, że to paszport jest, z którym on w świat pójdzie i który przed nim serca ludzkie otwierać będzie...

Todros drgnął.

— To jest prawda! to jest prawda! — zaszeptał gwałtownie. — Pisanie to będzie mu tarczą i orężem, o które stępią się narzędzia pomsty naszej... Mosze! — dodał podniesionym głosem — obrzydliwość tę trzeba z rąk karańskiej dziewczyny wydrzeć...

Mełamed przypelzł do samych kolan mistrza i podnosząc ku niemu twarz wyrzekł z cicha:

— Rabbi! dziewczyna ta powiedziała, że prędeż pozwoli sobie wydrzeć życie swoje niż to pisanie...

Todros milczał chwilę, potem wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jej wydrzeć...

Mełamed długo milczał i myślał.

— Rabbi! — ozwał się potem cichym bardzo szeptem — a jeżeli jej co bardzo złego stanie się?

Todros nie odpowiadał chwilę, potem rzekł:

— Błogosławiona ręka, która z domu Izraelowego wymiata śmiecie...

Mełamed chciwie pochwycił krótkie te wyrazy i długo rozumiewał tajemny sens ich. Uśmiechnął się.

— Rabbi! — rzekł — już ja rozumiem wolę twoją... spuść się na sługę swego... on znajdzie ludzi, których ręce uzbro-

jone będą w siłę, a serca w nieubłaganość... Rabbi! — dodał błagalnie — spuść ty na głowę moją łagodny promień twego oka... niech ja widzę, że gniew na sługę twego dalekim jest od ciebie... Dusza moja bez łaski i miłości twojej jest jako studnia bez wody albo ciemnica, nad którą nie świeci słońce...

Todros odpowiedział:

— Łagodny promień nie powstanie w oczach moich ani gniew i smutek z serca mego wyjdą, dopóki obrzydliwe pisanie to będzie w ręku przeklętych...

Mosze jęknął.

— Rabbi! pisanie to jutro w nocy będzie w rękach twoich!

Księżyc oświecał obie twarze ludzi tych, z których jeden patrzył w niebo, a drugi w oblicze mistrza swego. Mistrz gorzącym wzrokiem szukał po niebie smug świetlistych, które oznaczają drogi aniołów wiodących gwiazdy w wiecznej ich po przestrzeniach podróży, uczeń odbicia nadprzyrodzonych światła tych szukał w źrenicach mistrza.

W obu głowach ich szumiało imię anioła śmierci, którego na pomoc sobie wzywali, a piersi obu pełnymi były jednak miłości i uwielbienia bez granic.

IV

Wzruszenie nadzwyczajne panowało wśród ludności miasteczka. Ze wszystkich stron gromadami lub sznurem ciągnęli ludzie ku wielkiej, brunatnej świątyni, pod trzypiętrowym, omszonym dachem której w oknach, podobnych do starożytnych strzelnic, błyskać poczynaly długie i wąskie smugi światła. Na niebo występowały też gwiazdy, ale bladły przed świetnym blaskiem wschodzącego w pełni księżyca.

Wnętrze świątyni było salą ogromną, pomieścić w sobie mogącą kilkutysięczną ludność, a wysokością swą dorównyującą budowie o dwóch wielkich piętrach. Ściany jej, zakreślające prawidłowy czworogran, gładkie zupełnie i białe jak śnieg, przerzynała tylko u góry ciężka galeria, o głębokich, sklepionych niszach, tworzących rodzaj łóż, osłoniętych przezroczystą, lecz wysoką barierą. W dole ławy drewniane stały gęsto jedna za drugą, od drzwi wechodowych aż ku miejscu wyniesionemu nad poziom o kilka stopni i otoczonemu też drewnianą, ozdobną barierą. Na wyniesieniu tym był stół przeznaczony do rozwijania olbrzymiego arkusza Tory (Pięcioksięgu) w dniach, w których ustępy z niej obrządek nakazywał czytać ludowi; ono służyło za kazalnicę, z której w dniu uroczyste rozlegały się religijne mowy i nauki; na nim stawały też chóry złożone z dorastających dzieci i dorosłych młodzieńców, a łączące głosy swe z głosem kantora intonującego modlitwy. Wyniesienie to kilkunastu krokami tylko rozdzielonym było z głównym punktem świątyni, z punktem, który uderzał powagą kształtów i świetnością barw, a był ołta-

rzem — jeżeli nazwę tę użyć można dla miejsca wszelkiego, w którym przechowują się świętości nad świętościami i które ściąga ku sobie najnabożniejsze spojrzenia i westchnienia wiernych. Szczyt ołtarza tego sięgał sufitu, a złożony był z dwu ogromnych tablic, których tło z najczystszo lazuru zakreślonym było zgłoskami białymi, krętymi, podobnymi z dala do sznurów arabesk wschodnich o bogatym i fantastycznym rysunku, a w których oko umiejętnie wyczytywało dziesięć przykazań synajskich. Lazurowe tablice, okryte białym, krętym pismem, dźwigane były przez dwa lwy z połączanego brązu, które w ogromnych rozmiarach i wspaniałych postawach siedziały na dwu grubych, ciężkich słupach jaśniejących najjaskrawszym szafirem, owiniętych śnieżnymi i misternie rzezbionymi wieńcami z liści i gron winnych, a wspierających się mocno o kamienną podstawę, której szeroka powierzchnia zakreślona była aż do samej już ziemi mnogimi ustępami pisma. Słupy owe na kształt potężnych i silnych strażników stały z dwu stron głębokiej niszy osłoniętej od góry do dołu oponą ze szkarłatnego jedwabiu, ozdobionego złotymi haftowaniami z bogactwem olśniewającym oko. Za oponą tą, spuszczoną zazwyczaj, a podnoszącą się w odpowiednich tylko okolicznościach, chroniła się świętość nad świętościami, Tora — olbrzymi zwój pergaminu owinięty cenną materią, a związany wstęgą, ciężką i sztywną od haftów srebrnych i złotych.

Z szarego i mizernego pozoru miasteczka wnosząc, nikt nie mógłby domyślać się wspaniałości obrazu, jaki przedstawiało wnętrze starożytnej, przez wieki pobożnie przyozdabianej świątyni tej w chwili, gdy o dość późnej wieczornej godzinie zapłonęła ona cała oświetleniem rześistym i po brzegi napełniła się ludem.

Siedem świeczników stupłomiennych spuszczać się od sufitu na szczerosrebrnych sznurach rzucało powódź światła w sklepiście głębie galerii, zza przezroczystych krat której wy-

glądała prawdziwa mozaika twarzy i szat niewieścich, i na gęste rzędy ustawionych poniżej ław, które obsiadali mężczyźni, brodaci, okryci cali miękką, wełnistą draperią białych płaszczów (talesów), skraje których w wieczny jakby i rozrzucający znak żałoby po utraconej niegdyś ojczyźnie otoczone były czarnymi szlakami; tu i ówdzie zaś u szyi bogaczów i dostojników gminy połyskiwały szerokie taśmy srebrne o wydatnych liściastych deseniach. Lecz największy ze świeczników pałał i bogatymi wisiorami od chwili do chwili srebrzyście dzwonił przed niszą zamkniętą pomiędzy dwoma potężnymi słupami. Tam iskrzyły się złote hafty i frędzle szkarłatnej opony, spod stóp wspaniałych lwów sypać się zdawały delikatne liście i ciężkie grona winne, tam, u samej góry, wydatnie od lazurowego tła odstawały białe szlaki krętych zgłosek, a w dole, przed ciosową podstawą pełną napisów ciągnących się nierównymi liniami, stał kantor i z głową okrytą białym kapturem talesa śpiewał te stare psalmy, których bezbrzeżna, zda się, melodia płynie pełną gamą ludzkich zachwytów, uwielbień, pragnień, błagań i mąk.

Nigdy jednak prześliczny głos Eliezera nie wyrażał wszystkich uczuć tych z taką siłą i wyraznością, jak wieczoru tego, nigdy nie miał on takich wybuchów potężnych, takiego uroczystego brzmienia i takich drzeń głębokich, łkających, które opadając i cichnąc stopniowo zdawały się tonąć i konać w morzu bezbrzeżnej jakiejś boleści czy prośby. Zdawać się mogło, że wieczoru tego w pierś jego weszła nadludzka prawie siła skargi i błagania, że u ramion wyrastały mu skrzydła, na których usiłował wznieść się aż do samych stóp Pana nad pany, aby tam ciało i duszę swoją złożyć w ofierze za zbawienie czegoś lub kogoś. Olbrzymia sala od brzegu do brzegu i od szczytu do podstaw pełną była brzmień płynących z piersi jego nieprzerwanym strumieniem; chóry stojące na wyniesieniu rzucały w nie od chwili do chwili potężne akordy, a zgro-

madzenie całe, porwane rozkoszą zachwytu, milczało grobowo z oczami wlepionymi w wyiskrzoną złotem szkarłatną oponę.

Ten i ów tylko, wskazując głową zachwyconego i zachwycającego piewce, szeptał:

— To jest anioł Sandalfon, który podaje Panu wieńce splecione ze wszystkich modlitw ludzkich.

Ten i ów także smutnie wstrząsał głową i wzdychał:

— On tak modli się za przyjaciela swego, którego głowę wykląć dziś mają!...

Nagle w cudowny śpiew kantora i uroczyste milczenie ludu wmieszał się stuk głuchy, lecz silny i powtarzający się kilka razy. Głos Eliezera zerwał się jak złota struna targnięta grubiańską ręką; oczy ludu przeniosły się z ołtarza ku miejscu, w którym rozlegały się gwałtowne stukania.

Z wyniesienia otoczonego drewnianą barierą zniknął chór młodych śpiewaków, a na miejscu ich stał jeden tylko człowiek, szczupły, przygarbiony, z długą szyją żółtą, podaną naprzód, z ciemną twarzą obrosłą czarnym jak noc włosom i posępnie rozświetloną gorejącymi jak żużle oczami. Trzymał on w obu rękach ogromną księgę i z całej siły uderzał nią o stół dając przez to rozkaz powszechnego milczenia. Milczenie też zupełne zapanowało w sali całej, a tylko w przedśionku słychać było szmery jakieś i stłumione wykrzyki. Tam gromadka kilkudziesięciu ludzi różnego wieku i stanu otaczała człowieka, który z bladą bardzo twarzą, zaciśniętymi ustami i suchym, palącym się okiem stał ramieniem wsparty o odrzwia świątyni. Był to Meir. W uszach jego rozlegały się szepty:

— Jeszcze pora! jeszcze czas! zlituj się nad sobą i nad rodziną swoją! upokórz się! biegnij prędko, prędko i padnij do nóg rabina! O! herem! herem! herem!

On zdawał się nie słyszeć. Silnie zwarł na piersi ramiona. Ściągnięte brwi nadawały czołu jego przerzniętemu czerwoną kresą wyraz ponurej boleści i niezłomnej woli.

— W imię Boga ojców naszych! — zabrzmiał basowy a silny głos Izaaka Todrosa.

Po zgromadzeniu całym przebiegł szmer przytłumiony, dreszcz niby przebiegający całe zbiorowe ciało to — i wnet skonał w ciszy głębokiej.

Izaak Todros zwolna, wyraźnie, oddzielając wyraz od wyrazu mówić zaczął:

— Siłą i potęgą świata, w imię świętego zakonu naszego i sześciuset trzynastu praw w zakonie tym zawartych heremem, którym Jozue Nawim przeklął miasto Jerychon, przekleństwem, którym Elizeusz przeklął prześladowające go chłopięta, szamtą, która używaną była przez wielkie sanhedryny i sobory nasze, wszystkimi heremami, przekleństwami, wypędzeniami i unicestwieniami, które używanymi były od czasów Mojżesza aż po dzisiejszy dzień — w imię Boga Przedwiecznego, Pana świata i Twórcy wspaniałości jego, w imię Matatrona, który jest aniołem stróżem i obrońcą Izraela, w imię anioła Sandalfona, który z modlitw ludzkich splata wieńce dla tronu Pańskiego — w imię archanioła Michała, potężnego wodza niebieskich wojsk — w imię aniołów ognia, wichru i błyskawic, siłą imion wszystkich aniołów prowadzących gwiazdy i jeżdżących na niebieskich rydwanach i wszystkich archaniołów rozwijających skrzydła swe nad tronem Wszechpotężnego — imieniem tym, które ukazało się Mojżeszowi w krzaku ognistym, i tym, którym Mojżesz rozdzielił wody na dwie połowy — imieniem ręki, która nakreśliła tablice świętego prawa... niszczymy, wypędzamy, hańbimy, unicestwiamy i przeklinamy silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Beniaminowego...

Zatrzymał się na chwilę i gwałtownym ruchem podniósł ręce nad głowę. Potem wśród ciszy takiej, że słyszalnym byłby wśród niej szelest przelatującej muchy, coraz śpieszniej i coraz bardziej śpiewnym i zanoszącym się głosem mówić, a raczej wołać zaczął:

— Przeklętym niech będzie on przez Boga Izraelowego! Przeklętym niech będzie on przez silnego i strasznego Boga, którego imię z trwogą wygłaszają ludzie w dniu sądnym! Przeklętym niech będzie on przez niebo i ziemię! Przeklętym niech będzie on przez Matatrona, Sandalfona, Michała, archaniołów, aniołów i wszystkich mieszkańców nieba! Przeklętym niech będzie on przez wszystkich czystych i świętych służących Bogu! Przeklętym niech będzie on przez każdą siłę wyższą na ziemi i niebie! Boże Stwórco! wytęp i zniszcz go na wieki! Boże Podnościelu! upokórz go! Gniew Twój, Boże! niech rozpiorunuje się nad głowę jego! Szatani niech idą na jego spotkanie! Złorzeczenia i jęki niech otaczają go wszędzie, gdzie się tylko obróci! Własnym mieczem niech on pierś swą przeszyje i niech skruszą się wszystkie strzały jego, a anioły boże niech gnają go wciąż z miejsca na miejsce, aby nigdzie na spoczynek nie stanęła stopa jego! Drogi jego niech będą niebezpieczne i okryte grubą ciemnością, a wśród nich towarzyszką niech mu będzie rozpacz nadzwyczajna! Niech smutki i nieszczęścia trapią go ciągle, a on niech własnymi oczami patrzy na uderzające weń ciosy i nasycy się ogniem bożego gniewu! Niech nie przebaczy mu Pan! Przeciwnie! Gniew i pomsta boża niech spłyną na człowieka tego, wpiją się weń i przenikną go aż do szpiku kości! Przekleństwem tym jako szatą niech owinie się on cały, ażeby zniknął sprzed oblicza światłości, a imię jego aby startym zostało z podniebieskiej przestrzeni.

Tu Todros umilkł na chwilę, zaczerpnął powietrza w pierś zmęczoną krzykami, które stawały się coraz bardziej urywane, głuche i ciężkie. Twarz miał w ogniu całą, a ręce jego gwałtownymi ruchy miotają się nad głowę.

— Od tego momentu — krzyknął znowu — w którym przekleństwo to na głowę jego spadło, niech nie waży się on przystąpić do żadnej izraelskiej świątyni na całym świecie bliżej jak o cztery łokcie odległości! Pod karą kłatwy i od-

rzucenia od łona Izraelowego, niech izraelita żaden nie przybliża się do niego bliżej jak o cztery łokcie odległości i niech nie waży się otworzyć przed nim drzwi domu swego ani chleba, wody i ognia mu podać, chociażby widział go zesłabłego, upadającego i zgiętego w lęk od tułactwa, głodu, choroby i nędzy! Przeciwnie! niechaj każdy, kto spotka go, pluje na twarz jego śliną ust swoich i przed stopy jego rzuca kamienie, aby potykał się on i upadał. Majątku żadnego niechaj on nie używa. Wszystko, co prawem dziedzictwa spada na niego z ojca jego i z matki jego, i wszystko, co on własnymi rękami dla siebie zebrał, niech oddanym zostanie pod rozporządzenie kahału, aby z mienia nieprawego uczynił on pociechę i podporę prawych! O pomście tej i kłatwie, która nań spadła, niech dowie się Izrael cały. Wy wszyscy, którzyście ją własnymi uszami słyszeli, głosście słowa i przykazania jej na każdym miejscu, na które zaniosą was stopy wasze, a my wiadomość o niej rozesłemy do wszystkich miast i gmin, w których mieszkają bracia nasi, od końca do końca świata. Tak niech się stanie! A wy wszyscy, którzy wiernymi zostaliście Panu waszemu i zakonowi Jego, życie szczęśliwi! życie!

Skończył, a w tejże chwili działaniem mechaniki umiejętności stosowanej przyćmiły się rześiste światła gorejące w siedmiu olbrzymich świecznikach i w czterech rogach sali rozgłosnie dźwięknęły i zawyły trąby. Z urywanym tym lub przeciągłym i ponurym wyciem mosiężnych instrumentów złączył się olbrzymi chór ludzkich szlochów, jęków i krzyków. Najgłośniejszy krzyk dał się słyszeć w przedsionku, a był tym przeraźliwszy, że wychodził z piersi męskiej i silnej. Ruch się też tam zrobił wielki; słysząc było szamotanie się jakiegoś, wypędzanie jakby, to przywoływanie. Meir zniknął z progu świątyni. Bliżej ołtarza, pomiędzy ławkami, kilku dojrzałych ludzi z chrzestem rozdzieranych sukien upadło twarzami na ziemię.

— W prochu leżą możni Ezofowiczowie! — wskazując na nich wołano skądinąd.

W górze galeria rozlegała się cała szlochaniem i płaczliwym zawodzeniem niewiast, a w głębi sali gromada ludzi lichu ubranych, bez srebrnych u tałesów tasiem, wznosiła w górę twarde, czarne, spracowane ręce i załamywała je nad głowami.

Todros podartym rękawem odzieży ocierał opływający mu czoło pot kroplisty, potem obu rękami wsparł się o drewnianą barierę i pochyłony naprzód, z piersią dyszącą i drgającymi wargami patrzył na kantora. Nie zstępował on z wyniesienia i na kantora patrzył dlatego, iż wedle obrządku po wyrazach strasznej kłatwy rzuconych na jednego człowieka nastąpić powinny były słowa błogosławieństwa zlewanego na lud cały. Słowa te, błogosławiące lud, wygłosić powinien był kantor. Todros oczekiwał na to dokończenie spełniającego się aktu. Dlaczego kantor milczał tak długo i powinności swej nie spełniał? Dlaczego nie podchwycił ostatnich słów jego: „Żyćcie szczęśliwi! żyćcie!“ i nie wysnuł z nich natychmiast modlitwy błogosławiącej?

Eliezer stał twarzą zwrócony ku ołtarzowi. Kiedy rabin wykrzykiwał słowa kłatwy, widać było, jak ramiona jego drżały pod okrywającym je tałesem. Potem jednak drżeć przestał, znieruchomiał i z podniesioną głową patrzył kędyś wysoko. Na koniec wyciągnął w górę obie ręce. Znak to był, że wzywa lud do milczenia i modlitwy. Trąby, które dotąd dzwoniły wciąż i wyły, umilkły; ustały też krzyki i jęczenia ludzkie. Przyćmione światła zagorzały znowu, a wśród pełnego blasku ich i ciszy, przerywanej tylko tu i ówdzie odzywającym się szlochaniem, głos dźwięczny jak srebro i czysty jak kryształ zwolna, z powagą jakąś wielką, z wewnętrznymi łzami, które nadawały mu niezmierną moc błagania, mówić zaczął:

— Ten, który błogosławił praojców naszych: Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza, Aarona, Dawida, proroków Izraela i wszystkich sprawiedliwych świata... On niechaj spuści łaskę

i błogosławieństwo swe na człowieka tego, którego niesprawiedliwy herem ten naruszył! Bóg przez miłosierdzie swe niech uratuje i osłoni go od wszelkiego złego i nieszczęścia, niech przedłuży czasy i lata jego, niech pobłogosławi wszelkiemu dziełu jego rąk i niech go od utrapień ciemności i kajdan oswobodzi razem ze wszystkimi braćmi izraelitami! Niech taką będzie wola Jego!... Wołajcie: Amen!

Umilkł; w sali panowała przez kilka sekund cisza osłupienia, a potem rozległ się wielki, z kilkuset piersi wydobyty okrzyk: Amen!

— Amen! — zawołali Ezofowiczowie powstając z ziemi, na którą runęli byli przed chwilą, i z rozdartych sukien swych pył otrząsając.

— Amen! — krzyknęła gromada ludzi nędznie odzianych i spracowane dłonie załamujących nad głowami.

— Amen! — rozległo się na galerii pełnej płaczących niewiast.

— Amen! — powtórzył na koniec w bliskości ołtarza chór głosów młodzieńczych.

Rabin oderwał ręce swe od poręczy bariery, wyprostował się, zdumionymi oczami powiódł dokoła i krzyknął:

— Co to jest? co to znaczy?

Wtedy Eliezer zwrócił się twarzą ku niemu i zgromadzeniu całemu. Kaptur tałesu opadł mu z głowy na ramiona. Białą twarz jego okrywały rumieńce zapału, a błękitne oczy świeciły gniewem i odwagą. Podniósł rękę i zawołał donośnie:

— Rabbi! znaczy to, że uszy i serca nasze przekleństw takich słyszeć więcej nie chcą!

Słowa te były jakby hasłem bojowym. Zaledwie wymówił je Eliezer, gdy po obu stronach jego stanęło tłumnym szeregiem kilkudziesięciu ludzi młodych i zaledwie dorastających. Byli wśród nich wszyscy najbliżsi towarzysze i przyjaciele wyklętego, ale i tacy także, którzy dawniej z rzadka tylko i z dala go widywali, i tacy nawet, którzy przed kilku dniami jeszcze

uporowi jego i zuchwałości dziwili się, wcale ich nie rozumiejąc.

— Rabbi! — rozległy się wołania — my przekleństw takich więcej słuchać nie chcemy!

— Rabbi! klątwa twoja zrodziła w duszach naszych miłość dla wyklętego!

— Rabbi! heremem tym obciążylesz ty człowieka, który miłym był oczom ludzi i Boga!

Todros gwałtownym wysiłkiem wyrwał się ze stanu skamieniałości, w jaki rzuciło go zrazu zdumienie.

— Czego wy chcecie? — krzyknął — co wy gadacie? czy szatan opętał duchy wasze? Azaliż nie wiecie, że prawa nasze nakazują pomstę i klątwę na zuchwałych, którzy buntują się przeciw zakonowi?

Nie spośród młodzieńców już, ale ze środka sali wyszedł głos poważny, który wymówił:

— Rabbi! azaliż nie wiesz, że kiedy w starożytnym sanhedrynie naszym wiódł się spór srogi o to, czy Izrael przyjął ma za swoją naukę Szammaja lub naukę Hillela, ozwał się nad zgromadzonymi Bat-Kohl, głos tajemniczy, głos przez samego Boga posłany, który powiedział: „Słuchajcie praw Hillela, albowiem łagodność w nich jest i miłosierdzie!”

Podnoszono głowy i wspinano się na palce nóg, aby ujrzeć, kto słowa te wymówił. Wymówił je Rafał, stryj wyklętego. W tejże chwili przez tłum przecisnął się Ber i stając wśród młodzieży zawołał:

— Rabbi! czy ty liczyłeś kiedy rozumy wszystkie, które zgmiotła srogość twoja i ojców twoich, Todrosów... i wszystkie dusze te, które napełnione były wielkimi pragnieniami, a które wy twardą ręką waszą straciliście na zawsze w ciemności i potajemne cierpienia?

— Rabbi! — zawołał głos jakiś młodzieńczy, dziecięcy jeszcze prawie — czy ty i wszyscy, którzy z tobą stoją, będziecie zawsze odpychać nas od tych cudzych płomieni, bez świa-

łości których sechną ze smutku serca nasze, a podłym prochem czernią się nasze ręce...

— Dlaczego ty, rabbi, nie nauczasz ludu, aby z rozumu swego czynił sito takie, które by oddzielać mogło ziarno od plewy i perły od piasku?

— Rabbi! ty i wszyscy, co z tobą stoją, zjadacie i nam jeść każecie jabłko granatu razem z twardą i gorzką łupiną. Ale przyszedł już taki czas, że uczuliśmy gorycz na podniebieniu naszym, a we wnętrznościach naszych powstał srogi ból...

— Nieszczęśni! głupi! opętani! potępieni! — z całej piersi swej krzyzcze zaczął Todros — alboż nie widzieliście oczami własnymi, że lud cały nienawidził człowieka tego, gościł go po drogach jego, kładł mu na plecy silne swe ręce, kamienował go i krwawą kresą naznaczył mu czoło!

Śmiechy dumne, oburzone, wzgardliwe rozległy się tu i ówdzie.

— Nie mów: „Zgoda!” na wszystko, na co lud mówi: „Zgoda!” — zawołało głosów mnóstwo, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Przekleństwo, które wyrzekłeś, rabbi, zmięczyło serce niejednego i ślepotę zdjęło z ocz wielu! Usta złośliwe rodmuchały w sercach naszych gniew przeciw niewinnemu, ale dziś z oczów naszych płyną nad nim łzy, bo ty, rabbi, klątwą swoją zadałeś śmierć młodości!...

— Gorszą, rabbi, od śmierci jest klątwa ta, którą ty na niego rzuciłeś, bo on z nią pośród żyjących będzie jako umarły!

— A czyliż nie napisanym jest w ustawach wielkich sanhedrynów naszych: „Sąd, który raz przez lat siedemdziesiąt wyda jeden wyrok śmierci, nazwany będzie sądem morderców!”

— W sanhedrynach nie zasiadali ludzie bezdzietni i twardego serca!

— Kto sieje nienawiść, zbiera żal.

Wołania te i mnóstwo im podobnych wychodziły spośród

gromadki stłoczonej u ołtarza. Mieszały się tam głosy, podnosiły się twarze, błyskały oczy rozognione, a rozgorączkowane ramiona rzucały na rabina i zgromadzenie całe wyzywające, zuchwałe gesta.

Todros nie odpowiadał już. Znieruchomiał całkiem, skamieniał. Z otwartymi ustami i wysoko podniesioną powieką pozor miał człowieka, który przestał rozumieć to, co się w koło niego dzieje. Ale z tłumu wyskoczył i przed barierą, oko w oko ze zbuntowaną gromadką stanął mełamed. Trzęsący się cały, rozsrożony, rozpostarł grube ramiona swe, jakby stojącego na wyniesieniu mistrza osłaniać nimi pragnął, i krzyknął:

— Biada! biada! biada zuchwalcom nie oddającym czci temu, który zajęty jest oddawaniem posług Panu świata!

Eliezer odpowiedział:

— Żaden mur nie wznosi się pomiędzy nami a Panem naszym! Ustanowiliśmy pomiędzy sobą ludzi takich, którzy uczyć się powinni zakonu i tłumaczyć go nieumiejętnym. Ale nie powiedzieliśmy im: „Oddajemy wam w niewolę dusze nasze”, albowiem każdemu synowi Izraela wolno jest szukać Pana w sercu swoim i słowa Jego tłumaczyć wedle rozumu własnego!

Inni zawołali:

— Nie ma pomiędzy Izraelem wyższego i niższego! Jesteśmy wszyscy bracia równi przed Panem, Stwórcą naszym, i nikomu nie jest danym prawo okuwania w kajdany rozumów i woli naszej.

— Fałszywi mędrcy zgubli nas, bo uczynili oni rozwód pomiędzy Izraelem a ludami innymi, tak że jesteśmy jako więźniowie w ciemnicy, których nikt nie nawiedza...

— Ale przychodzi czas, w którym wstrząśnie Izrael kajdanami swymi i pospadają z wysokości swych duchy pyszne i ślepe, a duchy więzione wyjdą na wolność...

Teraz Izaak Todros powolnym ruchem wzniosł w górę obie ręce i powiodł nimi sobie po twarzy jak człowiek, który

usiłuje obudzić się ze snu. Potem oparł się znowu o barierę i z oczami utkwionymi w górze wydobyl z piersi ogromne westchnienie:

— En Sof! — wymówił ciężkim, sennym jakby szeptem.

Była to kabalistyczna nazwa Boga, która zawirowała w tej chwili w mózgu jego przenikany głąką jakąś rozpaczą. Ale wnet, na kształt głośniego protestu przeciw naleciałościom przez czas przyniesionym, na kształt tęsknego wracania do najpierwotniejszego źródła izraelskiej wiary, rozległ się kilkudziesięciu usty wydany okrzyk:

— Jehowa!

Mełamed trząsł się cały jak w febrze. Gwałtownym ruchem zwrócił się ku zgromadzeniu i wielkim głosem, śpiesznymi wyrazy nawoływać je począł do obrony znieważonego mistrza, a ukarania zuchwalców. Lecz im dłużej i zawzięciej przemawiał, tym większe i widoczniejsze ogarniało go zdumienie. Nikt nie poruszał się. Bogacze i dostojnicy gminy siedzieli na ławach swych z czołami w dłoniach i spuszczoneymi wzrokami, w pochłaniającej zadumie pogążeni, a lud ubogi stał nieruchomy jak mur i jak grób milczał. Tu i ówdzie widać było ludzi kręto a szybko prześlizgujących się wśród tłumu i usiłujących w nim zniknąć. O czym dumali ci, dlaczego milczeli tamci, a umykali i kryli się inni — któż odgadnie? a raczej któż przeliczy wszystkie wewnętrzne drgania i chwiania się tłumu, żywiołu tego, do którego zastosować można, w zmienionej nieco formie, słowa poety: Falo tak wierna, a jednak — nie wierna“.

Zrozumiał na koniec mełamed, że wołania jego próżnymi były. Umilkł, lecz w zdumieniu najwyższym oczy roztwierał, bo dlaczego nie słuchano go? — zrozumieć nie mógł. Ale przez zmaconą myśl Todrosa przemknął promień światłości, a w nim ujrzał on przelotny obraz strasznej dla niego prawdy. Szepnęło mu coś do ucha, że w młodych piersiach tych, które z zuchwałością dłań niepojętą stanęły przeciw niemu, przebu-

dziły się i krzyknęły wszystkie uspięne żądze i opory, których człowiek przez niego wyklęty przedstawicielem był i ofiarą! Więc nie on jeden takim był w Izraelu, ale istniało wielu, wielu podobnych mu, a tylko tamten śmielszym był od tych, do walki pochopniejszym, bardziej porywczym i dumnym! I słyszał on jeszcze głos jakiś szepczący mu do ucha, że nad młodymi głowami tymi, których zuchwalstwo wprawiało go w odrętwienie, przeleciały i otarły się skrzydła anioła wieku — wieku, który — jak mu z dała, z dała bardzo i mglisto wiadomym było — buntem i burzą tchnął i obalał wszystko, cokolwiek stawać usiłowało pomiędzy ludźmi a najwyższą Prawdą! I słyszał on jeszcze szept jakiś mówiący mu do ucha, że lud milczał i nie ujmował się za nim, i nie druzgotał tych, którzy przeciw niemu powstałi, bo anioł wieku razem z burzą i walką roznosił nad światem litość i przebaczenie, a klątwy i nienawiść zmiatał skrzydłem swym ognistym i zarazem miękkim...

Wszystko to niewyraźnie, chaotycznie, mglisto, mglisto bardzo słyszał i widział Todros, ale dosyć było tego, aby serce pełne kamiennej wiary i niezmiernej pychy zdrętwiało mu w piersi.

„Bat-Kohl!“ — pomyślał.

Szepty własnej myśli, splątanej i przerażonej, wziął za szepczący mu do ucha głos nadprzyrodzony, głos tajemniczy i od samego Boga przysłany, który niegdyś, w uroczystych i krytycznych momentach ich życia, słyszeć się dawał starożytnym kapłanom i prawodawcom Izraela.

— Bat-Kohl! — powtórzył drżącymi wargami i zbladłą twarzą powolnym ruchem zwracać począł we wszystkie strony.

Sala synagogi była już na wpół pustą. Lud odpływał, odpływał zwolna, a milczał wciąż tak, jakby ogarnęła go bezdenna i nieprzewyciężona zaduma, jakby milczeniem swoim dawał znak smutku ogromnego i wahania się ducha, który na żadną stronę przechylić się nie chciał lub nie mógł...

Odeszli ubodzy i bogaci, wierni dotąd wielbiciiele rabina i ci, którzy zawsze z dala się odeń trzymali, galeria tętniła od chwili do chwili pod szybkim stąpaniem spóźnionej niewiasty, i u ołtarza nie było już nikogo...

Jak niegdyś Józef Akiba w jasną noc miesięczną wracając z długiej podróży ze drzeniem szedł ku niskiej chacie swej pasterskiej, tak teraz ku rodzinnemu domowi swemu drżący i blady przybliżał się Meir.

Przychodził on do rodzinnego domu swego, ale bez myśli wracania. Wiedział, że trzeba mu iść stąd, iść i po świecie, wśród tułaczki, odrzucenia i nędzy, ścigać cel ten, do którego tęsknił od dawna, ale który tak dalekim, tak dalekim był i do osiągnięcia trudnym.

Chciał spojrzeniem pożegnać się ze ścianami domu, który był kolebką jego młodości... przestępować progu ich nie myślał.

Ale wśród rzędu okien ciemnych i cichych zobaczył jedno, w którym połyskiwały migotliwe światełka. Stanął i patrzył chwilę. Za szybami rysowała się wyraźnie ciężka i nieruchoma postać prababki Frejdy śpiącej w głębokim fotelu. Spływała na nią szeroka smuga księżycowego światła i tysiące iskier rozpalala w okrywających ją klejnnotach.

Meir wstąpił z wolna na wysoki ganek i położył dłoń na klamce drzwi. Wbrew zwyczajowi wszelkiemu drzwi były otwarte. Przeszedł wąski, długi korytarz i stanął w rozwartych też na oścież drzwiach bawialnej izby.

Dom cały zalegała cisza grobowa. Czy spano tam tak głęboko? Było to niepodobnym. Ale najlżejszy szelest nie powinien był przeszkodzić ostatniemu żegnaniu prawnuka z prababką ani odegnąć go od jej kolan.

Meir ukląkł przed tą uśpioną i uśmiechającą się przez

sen postacią niewieścią i na kolanach jej złożył swoją głowę. Po raz ostatni spoczywał pod dachem tym.

— Bobe! — rzekł z cicha. — Elte bobo!

Frejda spała cicho jak dziecię. Na pomarszczonym czole jej, niby ulotne sny dziecięcia, igrały srebrne ogniki księżycy.

— Już ja ciebie nie zobaczę nigdy... nigdy...

Przycisnął do ust drobne, suche jej ręce, które tyle razy kołysały go i pieściły, a potem go od wszelkich ciosów osłaniały i skarb ten mu oddały, który był zbawieniem i zgubą, życiem i śmiercią jego. Poruszyła się lekko głowa Frejdy, diamentowe kolce jej zadzwoniły o perły i roznieciły w księżycowym świetle ognisko iskier.

— Kleniskind! — szepnęła nie otwierając oczu, uśmiechnęła się i znowu zasnęła.

Meir utonął w myślach. Z czołem opartym o kolana prababki żegnał duchem wszystkich i wszystko... Powstał na kolanie i powoli bardzo opuścił bawialną izbę... W korytarzu ciemnym zupełnie ktoś objął go nagle silnymi ramionami, a zarazem uczuł, że ręka czyjaś wkładała mu za odzież ciężki jakiś przedmiot.

— To ja, Meir! ja, Ber. Dziad twój szukał w rodzinie swojej człowieka odważnego, który by tobie garść pieniędzy na drogę dał, i znalazł mnie. Wszyscy w domu żałują ciebie... Kobiety płaczą w łóżkach swoich leżąc... Stryjowie gniewają się na rabina i kahalnych... Dziad mało nie umiera z żałości... ale ciebie widzieć nikt już nie chce... U nas tak!... Rozum ciągnie w jedną stronę, a stara wiara w drugą... A przy tym strach! Ale ty, Meir, nie martw się bardzo! Ty szczęśliwy! ja tobie zazdroszczę! ty nie zląkłeś się tego, czego ja zląkłem się, i wyjdiesz na światłość! Dziś przyjaciele twoi ujęli się za tobą, a lud milczał i za rabinem nie ujął się! To początek, ale koniec jeszcze daleko! Żebyś ty jutro pokazał się tutaj ludzom, oni by znowu złości przeciw tobie do serc swych nabrali! Idź ty! idź w świat! Młodość masz, wielką

śmiałość masz! życie przed tobą! Kiedyś ty może powrócisz do nas i koniec położysz ciemnocie i grzechom naszym! U nas bo wiele brylantów jest, tylko je trzeba z piasku oczyścić, i wiele u nas ziarna urodzajnego, tylko je trzeba wysiać z plewy! Ty to kiedyś zrobisz, gdy tam, na świecie, uczonym i silnym staniesz się! Teraz idź na wielką wojnę ze wszystkimi przeszkodami, których mnóstwo stanie przed tobą! Walcz ty z nimi! Bądź Bâal-Trêssim, uzbrojonym, jako byli dawni wielcy mężowie nasi, i niech w każdym dniu twoim będą z tobą błogosławieństwa moje i wszystkich ludzi, którzy tak, jak ja, chcieli, a nie mogli, pragnęli, a nie otrzymali, szli, a nie doszli...

Uścisnęli się. Ber zniknął za drzwiami jakimiś, z cicha otwartymi i zamkniętymi. Zresztą nie w domu nie ozwało się i nie poruszyło. Grobowo mileżące ściany rodzinnego domu wołać zdawały się ku wyklętemu: Wychodź! wychodź!

Wyszedł. Na świecie dniało. Place i uliczki miasteczka spały owinięte szarą mgłą jesienno-porannego. Mgły też opuszczały się na puste grunta, po których szedł Meir śpiesznym już i pewnym krokiem.

Pilno mu było iść stąd, iść, iść, a chciał pożegnać się z tą, która przyrzekła mu być wierną Rachelą, i odebrać od niej swój skarb.

Drzwi i okno karaimejskiej chaty stały otworem.

— Gołdo! — zawołał z cicha — Gołdo!

Nikt i nic nie odpowiedziało.

Powtórzył wołanie. We wnętrzu chaty panowała cisza nieskazitelna. Zbliżył się, spojrzał ku miejscu, na którym zwykle siadywał stary Abel. Nie było tam nikogo.

Wówczas zdjęła go trwoga jakaś, z której przyczyny nie zdawał sobie sprawy.

Spojrzał dokoła, po wzgórzu, po pustych gruntach, daleko, i pełnym głosem już zawołał:

— Gołda!

Szelest dość głośny dał się słyszeć w pobliżu. Pochodził on z wielkiego, głogowego krzaku, który rósł o kilka kroków od chaty, a spośród zwiłanych gałęzi którego podniósł się teraz, wilgotną mgłą zroszony cały, z mrużącą się jeszcze od snu powieką, mały Lejbele.

Meir żywo przybliżył się ku niemu. Dziecię wydobyło się do reszty z uplotów głogu i wnet za surducik ręką sięgnęło.

— Gdzie Gołda? — zapytał Meir.

Lejbele nie odpowiedział, tylko podał mu wydobyty zza odzieży żółty zwój papierów.

Meir pochylił się ku dziecku.

— Kto ci to dał? — zapytał śpiesznie.

— Ona! — wskazując chatę odparł Lejbele.

— A kiedy ona ci to dała? Dlaczego ona ci to oddała?

Dziecko odpowiedziało:

— Kiedy ludzie szli, ona z chaty wybiegła... obudziła mnie... za surducik mi to wsunęła i powiedziała: „Oddaj to Meirowi, jak on tu przyjdzie“.

Meir drżeć zaczął.

— A potem? — pytał — potem?

— Potem, morejne, ona mnie w ten krzak schowała, a sama do chaty swojej pobiegła...

— A wielu było ludzi tych?

— Dwóch, morejne... trzech... dziesięciu... nie wiem!...

— A co ci ludzie zrobili? co oni zrobili?

— Ludzie przyszli, morejne, i krzyczeli na nią, żeby ona pisanie jakieś dała... długo krzyczeli... a ona krzyczała, że nie da! nie da! nie da!... a koza w sieni tak biegała... biegała i meczała...

Meir coraz więcej drżał, ale dłoń łagodnie opierał na głowie dziecka i pytał ciągle:

— A potem co było? co było?

— Morejne! ona potem prząśnicę swoją do rąk wzięła

i przed zejdem swoim stanęła... ja z krzaku widziałem... Ona była taka biała, i prząsnica była biała, a ludzie byli czarni... i pomiędzy nimi koza biała biegła i coraz gorzej krzyczała...

— A potem... a potem...

Łzy nabiegły do oczu dziecka.

— Potem, morejne, już ja nie patrzałem i w krzak schowałem się, i bardzo trząsałem się od strachu, bo w chacie był taki szum... taki szum i takie jęczenie... Potem ludzie poszli... i ją ponieśli... i dziada jej ponieśli, a koza pobiegła na górę mecząc, i nie wiem, gdzie podziała się...

Meir wyprostował się i spojrzał w niebo zmartwiałym prawie okiem. Wiedział już wszystko.

— Gdzie ich ponieśli? — zapytał jeszcze głuchym głosem.

— Tam!

Wyciągnięte ramię dziecka wskazywało stronę, w której z oddali widać było łączkę zieloną i liliową wśród niej sadzawkę... a za sadzawką były błota, moczary, giętke, ruchome grunta, w których tak łatwo pogrążyć się i utonąć może martwe, sztywne ciało.

Tam, za tą sadzawką, z której na wiosnę wydobywała ona wodną lilię podając mu ją spośród gęstwiny trzcin... Tam, za tą łączką, wśród której po raz pierwszy wyznała mu swą miłość świeżą a płomienną jak kwiat dziko wzrosły na bogatym gruncie... tam... w głębiach gaju tego, w którego gęszczach chórem wnet zaśpiewają ptaki swobodne, szczęśliwe w gniazdach swych miłości pełnych... tam... kędyś... ukryta przed wszelkim okiem ludzkim — leżała ona u nóg dziada swego, owinięta całą płaszcem swych czarnych włosów...

Przed chatą rozległ się trzykrotnie głos wołający Jehowę, a potem u otwartych drzwi stał już tylko Lejbele i w podniesionej nieco ręce trzymał nieruchomo zwój papierów.

Meir wbiegł do wnętrza chaty.

Co mu tam opowiedziały żdźbła słomy wyrzucone z nędznego posłania Abła i usypujące podłogę i rozsypane wśród słomy tej a czerwieniejące niby krwi krople korale Gołdy? co opowiadała mu leżąca na ziemi i na dwoje złamana prząsnica dziewczyny i stara, bardzo stara Biblia starca na szmaty podarta? Była to długa, bolesna, krwawa opowieść, której młodzieniec słuchał z czołem przyciśniętym do zimnej, dziurawej ściany i z rękami załamanymi nad głową — była to opowieść tak długa, że godziny płynęły, a on słuchał jej jeszcze i wtórował słowom jej rozpaczliwymi tętnami serca i głuchymi jękami, które od chwili do chwili wyrwały się z zaciśniętych i z siniałych ust jego... Kiedy stanął znowu w otwartych drzwiach chaty, słońce ozłacało już część widnokręgu. Jakże zmienionym ukazał się on przy świetle dnia! Czoło jego, przerzniete czerwoną kresą, zmięte było i sfałdowane, tak jak gdyby przez noc tę i ten poranek przesunęły się po nim i zorały je długie, ciężkie, cierniste lata. Ponuro i rozpacznie gorzały oczy jego spod wółpuszczonych powiek, a ramiona zwisły mu bezwładnie w zniechęceniu jakby czy obezsileniu śmiertelnym... Tak stał chwilę i znać było, że wyobraźnią i pamięcią słuchał dźwięków głosu tego, który nigdy już doń przemówić nie miał, aż uczył, że słaba ręka jakaś ciągnęła go za odzież i usłyszał cichy głos mówiący:

— Morejne!

Lejbele stał przed nim, oczy swe ogromne, czarne, smutne ku twarzy jego podnosił i wyciągał doń rękę trzymającą zółty zwój papierów.

Zdawać się mogło, że widok podawanego mu przedmiotu obudził go ze snu, przypominał mu coś ważnego, przywołał go do czegoś, co dlań świętym i koniecznym było. Powiódł po czole obu dłońmi, a potem wziął z ręki dziecka przedśmiertne pisanie Seniora i gdy uczył je w dłoni swej, podniósł głowę, a oko błysnęło mu znowu odwagą i wolą.

Patrzył na miasteczko budzące się ze snu i długo coś mówił

cicho, myślą bardziej niż słowami. Mówił coś o domu Izraela, o starej wielkości jego i o wielkich jego grzechach, o tym, że nie opuści go nigdy i przekleństwa za przekleństwo nie odda, że poniesie do cudzych narodów przymierze zgody, że ze źródła mądrości pić będzie i że wróci tu kiedyś...

— Kiedyś... kiedyś... — powtarzał długo myśląc o dalekiej, dalekiej zapewne przyszłości, a wzrokiem ogarniał ściany niskiej chaty, jakby żegnał w duchu na zawsze przelotny, gorący i czysty, a tak straszliwie przzerwany sen swój o miłości.

Potem zaczął powoli wstępować na wzgórze.

Dziecię pozostałe u drzwi chaty stało chwilę nieruchome patrząc za odchodzącym. Po chwili oczy dziecka, szeroko rozwarte, zachodzić poczęły łzami, a gdy Meir znalazł się u połowy wzgórza, załkało głośno, ale raz tylko, po czym iść także zaczęło. Szło zrazu śpiesznie, a znalazłszy się o kilkanaście kroków od odchodzącego zwolniło chodu i z rękami wsuniętymi w rękawy odzieży postępowało dalej zwolna i poważnie.

Tak jedno za drugim idąc: wyklęty młodzieniec i dziecię nędzarza, zniknęli za wzgórzem, kędy rozesłał się przed nimi szlak drogi piaszczystej wiodącej w świat szeroki i nieznany.

Czy znieważony, wyklęty i ze wszystkiego odarty człowiek ten dościsnął celu, którego tak namiętnie pożądał? Czy na szerokim, nieznanym świecie znalazł on ludzi takich, którzy by przed nim drzwi i serca swe otworzyli na oścież, a drogę mu utorowali ku źródłu mądrości? Czy wrócił lub wróci kiedykolwiek do rodzinnego miejsca swego, aby przynieść tam wraz z przebaczeniem swym światło to, mocą którego „cedr Libanu“ powstanie tam, gdzie ściele się „niska tarnina“? Nie wiem. Zbyt niedawna to historia, aby koniec swój mieć już mogła. Lecz dlatego właśnie, że historia ta i liczne, liczne historie podobne dalekimi są do końców swych — czy-

telniku! — jakiegokolwiek plemienia krew płynie w żyłach twoich i na jakimkolwiek miejscu tej ziemi cześć oddajesz Bogu — jeżeli kiedyś wśród drogi swej spotkasz Meira Ezofowicza, podaj mu szczerą, prędką, braterską dłoń przyjaźni i pomocy!

— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium S.B.
w Białymstoku

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

1452/II

Latem 1877 — jak wynika z zachowanej w Bibliotece Ordynacji Kra-
sińskich w Warszawie korespondencji Orzeszkowej z S. Lewentalem (Rkp.
nr 6106) — przesłała powieściopisarka wydawcy *Kłosów* swój nowy utwór,
Meira Ezofowicza. Była już przedtem powieść ta w redakcji *Tygodnika
Ilustrowanego*, ale — jak czytamy w pierwszym tomie *Listów Orzeszkowej
(Dwugłosy str. 94)* — Jenike drukować jej nie chciał. Ukazała się tedy na
łamach *Kłosów* w r. 1878 (nry: 653 z dn. 3 stycznia — 689 z dn. 12 września)
z ilustracjami M. Andriollego. Z tymiż ilustracjami wyszła w roku następ-
nym osobno, wydana nakładem S. Lewentala. Następnie wcielił ją Lewental
do Taniego zbiorowego wydania powieści Elizy Orzeszkowej jako tom
XXVIII i XXIX (Warszawa 1886; II wyd. 1898). W czterotomowym wy-
borze Pism wydanym w r. 1899 przez Hipolita Wawelberga rozpoczęła tom
III, wreszcie znalazła się w edycji gebethnerowskiej jako tom VIII (1913)
i tu miała trzy wydania (ostatnie w r. 1936). Dla użytku młodzieży opra-
cował ją Paweł Trzciniński (Warszawa 1902, Biblioteka dla młodzieży t. 6—7),
na scenę zaś przerobiła ją, jako dramat w pięciu aktach, Aniela Kallas
(Złoczów b. r. w. [1930?] Biblioteka powszechna nr 621).

Autograf tej powieści — ofiarowany Leopoldowi Méyetowi z dedykacją:
„Najlepszemu z przyjaciół Autorka“ — zachował się w doskonałym stanie
w Bibliotece Ordynacji Krasińskich (Rkp. nr 5170). Pozwala on stwierdzić,
że znany dotychczas tekst *Meira* nie jest tekstem autentycznym, gdyż
przed wydrukowaniem w *Kłosach* powieść ta została w swoisty sposób
spreparowana: wycinano z niej całe ustępy mogące nie podobać się tym,
których opisywała. (Szczegóły w artykule *Jak spreparowano „Meira Ezo-
fowicza“*, *Prosto z mostu* 1937 nr 19). Pierwszym autentycznym wydaniem
jest edycja niniejsza oparta na autografie. Odbiega od niego jedynie w po-
dziale powieści na dwa tomy — koniecznym tu ze względów technicznych —
którego nie zna rękopis.

SPIS RZECZY

	Str.
I	5
II	34
III	119
IV	176
Nota bibliograficzna	199

Pedagogiczna
Biblioteka Wojewódzka
w Białymstoku

1452/II